

Szczepan Twardoch

WIECZNY GRUNWALD

Zwrotnice czasu
Historie alternatywne



2010

Seria „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne” powstała w wyniku konkursu literackiego zorganizowanego w 2009 roku przez Narodowe Centrum Kultury. Jego uczestnicy przygotowali intrygujące scenariusze rozwoju historii, która swój początek brała w okolicach 1939 roku, bowiem idea konkursu zrodziła się w związku z 70. rocznicą wybuchu II wojny światowej. Autorami, których proza stanowiła punkt wyjścia dla uczestników konkursu, byli wybitni pisarze: Maciej Parowski, Marcin Wolski, Lech Jęczynek i Szczepan Twardoch, którego najnowsze dzieło właśnie prezentujemy.

„Wieczny Grunwald” jest jednak powieścią inną niż poprzednie i choć doskonale wpisuje się w ideę tegorocznych obchodów 600. rocznicy bitwy pod Grunwaldem, z całą pewnością nie została napisana ku pokrzepieniu serc. To opowieść mroczna, brutalna, momentami wręcz obrazoburcza, która w ostatecznym rozrachunku przynosi jednak zrozumienie dla fatalistycznych wyborów iście tragicznego bohatera.

Zapraszam do lektury.

Krzysztof Dudek
Dyrektor Narodowego Centrum Kultury



Zwrotnice czasu
Historie alternatywne

Szczepan Twardoch
„Wieczny Grunwald. Powieść z za końca czasów”

Książka stanowi III tom serii Narodowego Centrum Kultury „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne” i została wydana z okazji obchodów 600. rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

Wydanie I, Warszawa 2010

Druk:
LEGRA Sp. z o.o., Kraków

ISBN 978-83-61587-29-3

Wydawca:
Narodowe Centrum Kultury
ul. Senatorska 12 00-082 Warszawa
www.nck.pl

Wydanie elektroniczne:

POLiSH eBook-NSB

2010

Człowiek rozumny nad żywym nie boleje, ani nad umarłym.

Bhagavadgita, II:11

Jeśm krolowic.

– Jeśm krolowic – szepnąłem, kiedy marłem naprawdę, kiedy marłem po raz pierwszy, po moim krótkiem, prawdziwem, istnem światowaniu, kiedy był jeśm naprawdę. Jestem synem króla.

Nikt mnie nie usłyszał, nie mogli mnie usłyszeć, bo szept mój uwiązł pod stalowym rondem kapalinu, bo ledwieśm wargi rozwarł do tego szeptu, bo nikt nie próbował go usłyszeć, tak jak nikt nigdy nie nachylił ku mnie ucha, tylko tak dawno temu, miriady lat temu, kiedy żyłem naprawdę, moja święta maćka słuchała moich słów, tylko ją obchodziło co jej mały, słodki Paszko dziś jej powie. Jej krolowic. Jej bastert.

Czarny destrier zatańczył na mojej piersi, kopyta pogruchotały mi żebra. Nie dojrzałem, kto siedział w siodle. Może nikt. Kiedy upadałem, kapalin zsunął mi się na twarz i widziałem tylko kopyta i pęciny.

– Jeśm krolowic, króla Kazimira syn – szepnąłem resztką tchu.

Nikt mnie nie usłyszał, bo wokół trwała bitwa. Wokół mnie trwał Grunwald.

Pierwszy Grunwald, istny Grunwald.

Chciałem ujrzeć niebo, zanim umrę, zobaczyć czarnych bogów na niebie, sięgnąłem więc lewą ręką do zasłaniającego mi twarz hełmu – lewą, bo prawą zgruchotała mi maczuga odzianego w skóry męża, którego nie zdołałem już zabić. Sięgnąłem więc lewą ręką do kapalinu, zdołałem zsunąć go z twarzy i ujrzałem niebo, nie było jednak na nim czarnych bogów. Potem umarłem, a potem mnie nie było, a potem byłem znów, już nie światując, lecz wszechżyjąc, wszechumierając.

Umierając, chciałem zobaczyć matkę. Litewska wekiera starła nienawiść i pogardę, która zrodziła się we mnie, kiedy wróciłem do Krakowa w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku po umownem narodzeniu żydowskiego mesjasza, którego prawie wszyscy znani mi w istnem światowaniu uznawali za Syna Bożego i Boga samego.

Rozwarłem palce, bo nie miałem już siły w mięśniach przedramienia. Miecz wysunął mi się z dłoni. Nie chciałem już tego miecza, nie miałem już woli, aby zacisnąć garść na rękojeści. A był ze mną ten miecz od wielu lat, to znaczy, w istnem światowaniu, konałem, wydawało mi się, że był ze mną od zawsze, bo prawie nie pamiętałem tego, co było wcześniej i kiedy go dostałem, to było tak, jakbym się wtedy rodził. A teraz nie chciałem już tego miecza. Pozwoliłem mu wysunąć mi się z dłoni i upaść na ziemię. Przyjdzie potem jakiś ciura i go zabierze, i będzie żył dalej mój miecz, aż w końcu się złamie albo nie będzie można go już dłużej ostrzyć, i wtedy przekują głownię na jakąś nową broń albo narzędzie, i będzie mój miecz żył dalej, w innej postaci. A ja – myślałem wtedy, z gorącą nadzieją – zniknę i nie będzie mnie już nigdy, i będzie tylko wielkie, puste nic, czarna, ślepa pustka.

I świat zaczął ciemnieć na skraju, i przesuwiała się ta pusta ciemność do środka, do samego centrum świata, które leżało w moim sercu i w mojej głowie, a ja witałem tę czerń z radością. A przecież wokół mnie leżało ich tak wielu, tysiące: Niemców w białych płaszczach

z czarnymi krzyżami, Niemców w herbowych jakach, Polaków w jakach herbowych, Żmudzinów, Czechów, Tatarów, Szlązaków, Prusów w strojach knechtów i pruskiego rycerstwa, ciurów i Bóg Gospodzin raczy wiedzieć kto jeszcze leżał tam na tym polu, pokłuty, posieczony, zbity: i krew zalewała im płuca albo treść z jelit rozlewała się po jamie brzusznej i marli, marli wszyscy i wszyscy czekali tego, co będzie, jak umrą: a więc niektórzy z nadzieją wznosili swe modły do Jezukrysta i Maryji i czekali, że jeszcze dziś zasiądą po prawicy Gospodna; inni zaś rozpamiętywali swe straszne przewiny i obawiali się, czy pospiesznie teraz szeptanych modlitw starczy im, aby diabli nie wzięli ich na wieczną mękę; inni jeszcze kreślili własną krwią magiczne znaki na ciele i wyczekiwali wysłanników Perkuna, a jeszcze inni wzywali imienia Allaha – ale nikt, poza mną, nie spodziewał się, ani nie wyczekiwał pustki, wielkiego Nic, którego ja czekałem z taką nadzieją, z jaką inni chcieli zobaczyć Maryję Pannę na świetlistym obłoku.

I ciemność przyszła do mnie, przygarnęła mnie, ukryła i ostatnią, gasnącą iskrą mojego „ja” poczułem wielką ulgę i radość, że nareszcie zaznam spokoju, spokoju w niebyciu.

A potem było wieczne nic i trwało tyle, co mgnienie oka, a potem przebudziłem się i nie ma większego bólu w świecie niż takie przebudzenie.

Kiedy zaś umierałem na polach pierwszego Grunwaldu, nie czułem już nienawiści do mojej matki. I potem, jeśli w ogóle można życie podzielić na jakieś potem i przedtem, ta nienawiść wygasła. Była we mnie, ale nie płonęła, jak popioły dawno obumarłego ogniska.

A kiedyś kochałem tylko ją. Kochałem miłością szczególną, bo nienawidziłem całej reszty stworzenia.

Potem było życie inne, gdzieś w cieniu, ledwo mogłem je odtworzyć i zobaczyć, życie, w którym mój ojciec – król – nie umarł i z tego pnia wyrastały gałęzie, w których byłech kimś zupełnie innym: nosiłem podbite jedwabiem futra, ornaty i zbroje. W tym życiu matka jaśniała i nigdy nie zdołałem jej znienaziżyć.

I także ja jasną jeśm, jakoć panosza, jakoć krolowic.

A w istnem światowaniu nawrócił jeśm byłk Krakowowi, gdaż miał jeśm lat dwadzieścia i odziewa chudego telkoć s to, co na chrzebicie i miecze trzy, i stworność szymirską miał jeśm, i skape, i czyn koński chudy.

Hajn koczugi, żeny, cośm z niemi uczynek mężczyński czynił był za srebro, to znaczy duchny, kurwy, to one, kiedy wróciłem do Krakowa, przypomniały mi, kim była moja matka. Choć przecież nigdy o tym nie zapominałem, tylko zepchnąłem to głęboko, głęboko, w miejsce, do którego nie wraca się myślami. W prawdziwym życiu... ale słowo, którego jeśm używał był, to znaczy używałem w prawdziwym życiu, aby to prawdziwe życie określić, to słowo „światowanie”. Z mojej perspektywy lepiej określa to prawdziwe życie tak dawne, że to w zasadzie nieprawda, życie na Ziemi, której już nie ma, tak jak nie ma słońca, które ją obiegało, a któremu jako dziecię rączką robiłem „pa, pa”, kiedy szło spać za horyzont. To właśnie „światowanie”. A życie – to wszystko co później, co teraz i co w ogóle. Życie, czyli

umieranie. Mrzenie.

A maćkę moją znałem tylko dziewięć lat. Odjąwszy lata najwcześniejsze, ile może tych lat być? Pięć? Sześć? Nie umiem powiedzieć, kiedy dziecko nabywa tyle samnienia, świadomości, aby móc powiedzieć, że kogoś zna.

Pierwsze co pomnę, to jak idziemy z matką przez Kazimierz, w którym wtedy nie było jeszcze Żydów, to znaczy byli, ale niezbyt wielu, matka trzyma mnie za rękę, a ja dotykam białego puchu, który spada z nieba.

– Matuśna – seplenię, a ona ściska moją rękę. Wracamy z targu, w drugiej dłoni niesie koszyk, w nim woreczek z mąką, marchew i baranią nogę.

Pamiętam jej ciepło.

A kiedy spotkaliśmy się potem, na końcu czasów, opowiedziała mi, jak powstałem.

Jak dotknął jej król.

Moja maćka nie uważała mojego oćca za człowieka: w istocie, nie był dla niej człowiekiem, był królem, był brodatą figurą Jezukrysta i Boga Gospodna, w co trudno wam oczywiście uwierzyć, mając na uwadze ich relację: czternastoletniej mieszczeni i starego króla. Ale tak właśnie było: król był jak Kryst.

Król ujrzał ją, kiedy przyniosła na zamek coś, czym handlował jej ojciec kupiec: a ja nigdy nie dowiedziałem się, coż takiego to mogło być. Czy droga tkanka na jakieś szaty, dzban z winem, miód? Nie wiem, czym zajmował się mój dziad. Mogłem się dowiedzieć bez trudu, nawet jeszcze świątując, nie mówiąc już o moim przezwiecznym umieraniu, ale ten brak zainteresowania był najdoskonalszą formą pogardy, na jaką umiałem się zdobyć.

Król ujrzał więc moją matkę z okna, jak szła ze swoim zawiniątkiem, które nie wiem co zawierało, to znaczy wiem teraz, ale przez całe swoje istne światowanie nie wiedziałem, a wolę myśleć tak, jakby to, czego dowiedziałem się później, nie istniało.

Król, pan przyrodzony, który nie umiał czytać ani pisać, władał wielkim krajem od Rajgradu po Szaflary, od Drahimia po Mohylów i ten król właśnie skinął na swojego sługę i powiedział mu, aby przyprowadził mu żenę, która idzie po wawelskim dziedzińcu.

Moja maćka również nie umiała czytać ani pisać, nie władała niczym, bo nawet samą sobą nie władała, bo władał nią jej ojciec, a mój dziad, kupiec, który do Krakowa przybył z Noremberku przed narodzeniem mojej matki. Dlatego maćka mówiła i po polsku, i po niemiecku. A na zamkowym dziedzińcu podszedł do niej królewski sługa i powiedział jej był:

– Poć se mną, junocha!

I ona owa poszła jest, ciem kaźń kalizdą jisiła jest krom mieszkania.

Czy wiedziała, co oznacza ten rozkaz, który spełniła tak naturalnie i ochoczo? Po prostu szła, nie myśląc dlaczego idzie, ani gdzie zmierza, za królewskim sługą, któremu na imię było Pełka i który był lajdakiem.

A sługa zaprowadził ją prosto do królewskiej komnaty, a maćka moja nie od razu zrozumiała, kim jest ten brodaty mężczyzna w szkarłatnej sukni, bo miała wtedy tylko

czternaście lat.

Królowi podobała się jasnowłosa dziewczyna: podobały się mu jej małe piersi, ledwie rysujące się pod sukniemi, kosmyki wymykające się spod chustki i długopalce, drobne dłonie, z których wyjął pakunek i cisnął na ziemię, po czym chwycił lnianą suknię mojej matki przy dekolcie i rozdarł ją, aż do dołu, i obnażył moją matkę, zerwał z niej ubrania i pchnął ją na wysokie łoże, na którego wezglowiu widniało ukoronowane „K”.

A ona zrozumiała, kim jest ten brodaty mężczyzna i zrozumiała też, co się zaraz wydarzy. Król rozgarnął houppelande i nakazał mojej maćce rozwiązać troczki, ktoremi miał przysupłane nogawice do koszuli; co uczyniła, krom mieszkania.

Jej wąskie, długopalce dłonie rozsypują troczki. Rozsypują troczki.

Potem król odwrócił ją na brzuch, jakby była lalką, uniósł jej biodra, mruknął coś pod nosem, niezrozumiale.

– Smiłuj się nade mną Boże, podług wielkiego miłosierdzia twego – wyszeptała maćka moja początek psalmu pięćdziesiątego, który zawsze był psalmem najdroższym jej sercu, wyszeptała z głosem stłumionym przez posłanie na królewskim łożu.

I wydarzyło się. Królewskie rzapie rozdarło moją maćkę, ona szeptała dalej swój psalm:

– I podług mnożstwa lutowania twego zgładź lichotę moje.

Król, nawykły do tego, że modlą się niewiasty, które kała, modlitw nie słuchał; dyszał głośno, aż w końcu jęknął: Kryste! – wyprężył się i już było po wszystkim, królewskie siemię zasiane w żywej glebie mojej matki.

Krwawiła niezbyt obficie.

– Dalej omyj mnie od lichoty mojej i od grzechu mego oczyści mnie – szeptała matka. – Bo lichotę moje ja poznawam i grzech moj przeciwko mnie jest zawždy. Tobie samemu zgrzeszyła jeśm i złe przed tobą czyniła jeśm, by sprawion w mołwach twojich i przemożesz, gdy cię sądzą.

Król wyszedł z komnaty, a maćka moja nie wiedziała, co ma począć.

Poczęła zaś mnie: właśnie wtedy, kiedy tak siedziała obnażona na łożu ozdobionym ukoronowaną literą „K”, właśnie wtedy wicią dobrze opatrzonej plemnik króla wniknął w komórkę jajową mojej matki.

Plemnik ten niósł w sobie geny polskich panów przyrodzonych, domini naturales, potem nazwanych Piastami; niósł też węgierską krew matki króla Władysława, babci króla, który posiadał moją matkę, a jej węgierska krew była też krwią grecką, cesarza Teodora I Laskarisa, który był jej dziadkiem, a więc moim praprapradziadem. A to znaczy, że kiedy dziewięć miesięcy później przyszedłem na świat, miałem w sobie jedną trzydziestą drugą część rzymskiej, jak sami o sobie mówili, albo greckiej krwi Laskarisów, a oprócz tego sporo krwi węgierskiej, arpadzkiej i niemieckiej, po różnych żonach Arpadów, i jeszcze francuskiej, i jeszcze innej.

Ale to wszystko bez znaczenia, bo wtedy, całkiem tak jak w waszych czasach, drodzy

sluchacze mojego zycia, krew byla tylko krwia. Wazny byl fakt prawny. To, ze mialem, czy mam w sobie krew greckich wielmozow, cesarzy rzymskich, krolow, margrabiow i ksiazat, nie uczynilo mnie przeciez nikim innym niz tylko bastertem.

Moja mačka oczywiscie nie wiedziala nic o komorkach jajowych, plemnikach, cesarzach, Arpadach, nie wiedziala nawet, co sie z nia dzieje, kiedy do komnaty przyszedl Pełka. Nie zwracal uwagi na jej niezdarnie oslaniana nagość, nie mowil nic, jedno dal jej suknie spodnia i wierzchnia, duzo piekniejsze niz te, ktore podarł na maćce mojej krol, chustke dal jej batystowa z krolewskim monogramem i woreczek, w ktorym znajdowalo sie dziesiec groszy krakowskich. Na kazdym z groszy widnial napis KAZIMIRVS PRIMUS DEI GRACIA REX POLONIE, na rewersie zas GROSSI CRACOVIENSES – ale ani mačka moja, ani moj ojciec nie potrafili tych napisow przeczytac. Mogła za to kupic piekne buty, kilka kur albo baranka, ale nie kupila.

Siedzac wiec na krolewskim lozu, na pościeli splamionej jej krwia, chciala sie modlic, chciala zwracac sie k Gospodnu i nagle zabraklo jej modlitw, szukala ich w pamieci zawzicie, przerazona, by wreszcie przypomniec sobie zakonczenie psalmu pierwszego, po niemiecku, wiec w tym jezyku zwrócila sie do Gospodna:

– Wen erkant hat got den wek der gerechten, unde der wek der boffin vortirbit. Ere sy dem vatir unde dem sonę, unde heyligen geyste.

Kiedy w nowych sukniach, z sakiewka i chustka wrócila do domu, ojciec mojej matki, a moj dziad, niemiecki kupiec z Norembkeru, wiedzial juz co sie wydarzylo na zamku, bo Pełka powiedzial innym slugom, ci powiedzieli slugom nizszym, ci jeszcze nizszym i wieść splynela w dol, w miasto: ze krol Kazimir mial uczynek męczyński z córką Floriana z Norembkeru, ktorego krew rowniez plynęła w moich zyłach, co rowniez nie mialo zupełnie znaczenia: skoro krew Arpadow i Laskarisow, i panow przyrodzonych nie miala znaczenia, jakze miala miec znaczenie krew norembkerskiego kupca?

Liczylo sie tylko to, ze jestem bastert: w krolewską krew malo kto wierzył, a ten kto wierzył, wcale na to nie zważal. Najpierw moj ojciec na polowaniu spadł z konia i złamal nogę. Potem moj dziad zmarł ze zgryzoty, kiedy mačka moja sie zbrzuchacila. Potem zmarł moj ojciec krol, wróciwszy z ziemi przedborskiej do Krakowa, podyktowawszy testament, w ktorym nie bylo wzmianki ani o mojej maćce, ani o mnie. Maćkę moje wyrzucili po śmierci jej ojca na bruk i urodzila mnie w szpitalu dla ubogich, a potem zamieszkal w domu zbytnim przy lazniach, gdzie sie wychowywalem, machlerza, duchny, kata i cielesników majac za wychowawców.

Patrzyłem, jak pokladaja sie z moja matka. Przychodzili po trzecim dzwonie, po ktorym nie wolno bylo chodzic po ulicach i patrzyłem: jak wdrapuja sie na nia, szukaja swoich rzapi pod wielkimi brzuchami i unosić musza te tluste zywoty, zeby wnijsc w nia; jak charcza, jak szarpia ja za wlosy, jak biora ja od tyłu, jak zadzieraja jej nogi, jak im rzapia nie staja i winia za to moje maćkę, wymyslajac jej szpetnie, jak ich mačka moja szoruje w wielkich baliach i

potem sama do tych balii wchodzi, do wody brudnej z ich potu i kurzu ulicznego.

Jak młodzieńcy kończą po drugim pchnięciu, zawstydzeni, a matka szepcze swoje:

– Gospodnie, wysłuchaj modlitwę moje i wołanie moje k tobie przydzi, nie otwrecaj oblicza twego ote mnie – i spycha ich z siebie.

Na wszystko patrzyłem: ja, bastert, dziecko prostytutki, wyrzutek, wymiot ludzki, jakby łono mojej maćki wypluło mnie tak, jak sowa wypluwa kulkę sierści, kostek i skorup, z której wasi ornitologowie wróżą niczym żmudczy żercy ze spalonych kości.

Kiedy cielesnicy, patroni mojej maćki i innych koczug spotykali mnie na korytarzu, nagle odrobinę zażenowani, dawali mi czasem jakiś smakołyk, czasem nawet od bogatszych dostawałem pół praskiego grosza. A ja wszystko to, co widziałem w łaźniach i w domu zbytnim, starałem się potem zapomnieć, potem, kiedy maćka już umarła.

I kto by mi wierzył, że mój przodek nosił koronę rzymskiego cesarza? A gdyby nawet ktoś wierzył, to mógłby się chwilę zadumać nad losem basterta kurwy z krakowskiego domu zbytniego: ale czy obdarzyłby mnie szacunkiem? Nie takim należnym cesarzowi, ale przynajmniej takim należnym panoszy?

Gdybym był moim własnym potomkiem, gdybym urodził się jako aantropiczny Polak w linii Przewiecznego Grunwaldu: w świecie przedzielonym pasem spalonej ziemi, zasiiek, okopów i bunkrów, z płonącymi na niebie hasłami „Total Mobilaufmachung” z jednej i „Silni, zwarci, gotowi” z drugiej strony, gdybym w tym świecie urodził się z nasienia aantropicznego samca, z łona Matki Polski, jednak niosąc w sobie odległe wspomnienie krwi bizantyjskich cesarzy, madziarskich i polskich króli, byłbym aantropem, jednym z Pasowanych. Albo przynajmniej aantropicznym pocztowym – strzelcem.

Prowadziłbym w bój, na śmierć, maszyny odziane w kompozytowe pancerze albo szedłbym w bój sam, zrośnięty ze swoją bronią, w nocy, nie czując zimna, złości, strachu ani tęsknoty, czując tylko Rozkaz, bo Pasowani czują Rozkazy, tak jak inni czują pragnienie.

A gdybym wrócił, zaspokoiwszy Rozkaz, Matka Polska ocknęłaby się na moment ze swej przewiecznej drzemki i na dziedzińcu któregoś ze swoich dworów przypięłaby do pancerza maszyny albo do mojego własnego ciała order Orła Białego lub opasałaby mnie wstęgą Virtuti Militari i pocałowałaby mnie: Pocałunek uczyniłby mnie dojrzałym, moje nagie ciało zaczęłoby wypuszczać kielki włosów, zstąpiłyby z jamy brzusznej jądra i później, po przemianie, na mnożnej audyencji mógłbym zapłodnić jedno z milionów łon Matki Polski, i wydałoby to łono na świat moje aantropiczne dzieci, a Matka Polska znów zapadłaby w swój przewieczny, niespokojny sen, pachnąc intensywnie nowymi Rozkazami z miliardów gruczołów, pokrywających jej rozległe ciało.

Mógłbym też być aantropicznym Niemcem, bratem w Zakonie lub gościem w Ewiger Tannenberg. Niemcem byłbym zupełnie inaczej, bo aantropiczność Niemca nie była aantropicznością Polaka, jedyne co ich łączyło, to fakt przekroczenia dawno temu granic człowieczeństwa: byli podobni w tym, że nie byli ludźmi, tak jak podobni są pletwal i

skorpion.

Tam, jako potomek starej szlachty, byłbym wrośniętym w pancera, małym panzergrenadierem, ze szczątkowym ciałem, skarłałym, przyrośniętym jak wyrostek robaczkowy do wielkiej, potężnej głowy bez oczu i uszu, i ust. Lub samodzielny freinachtjegr i płodziłbym dla Kaisera następnych panzergrenadierów lub freinachtjegrów w lebensbornach, kopulując bezgłowe i szerokobiodre, i wielkocyce samice aantropiczne, które służą orgazmom wojowników i do rodzenia, i do karmienia dzieci, a wokół nich uwijają się małe ludzkie robotnice: myją je, przewracają na boki, aby zapobiec odleżynom, i pilnują, aby zawsze były drożne naczynia doprowadzające Blut do wielkich matek.

W istnym światowaniu byłem jednak po prostu bastertem, w tym złym świecie, który karał dzieci za grzechy ojców.

Ale to tylko takie powiedzonko. Bo cóż w tym złego? Ukarć można zawsze i każdego, bo wszyscy są winni. Kara jest nieunikniona, kara nie potrzebuje uzasadnienia ani powodu, kara po prostu jest konsekwencją bycia.

Teraz widzę moje dzieciństwo w całości. Nie jak film, scena po scenie, raczej tak, jakbym patrzył jednocześnie na wszystkie klatki filmu, który rozpoczął się wraz z moimi urodzinami, a zakończył wraz z ciosem litewskiej wekiery i z kopytami destriera, które wyparły z mojej piersi resztki tchnienia.

Rosłem w domu zbytym: były więc chwile straszne, od momentu, w którym miałem kilkanaście miesięcy i nabrałem sąmnia, i nie rozumiałem jeszcze co się dzieje, ale zdawało mi się, że ktoś krzywdzi moją matkę. Potem, im byłem starszy, tym były straszniejsze, nie nawykłem do tego nigdy.

Ale poza tym było wiele chwil dobrych. W prostibulum publicum mieliśmy na piętrze z matką własną izbę do mieszkania, w której matka nie przyjmowała patronów, pracowała raczej w łaźni. Lubiły mnie wszystkie duchny, wołałem na nie „mamka”, co wtedy, w latach siedemdziesiątych czternastego wieku oznaczało ciotkę, i nawet machlerz przynosił mi pomłoski: kubek śmietany, ułamki kołacza, miodowe ciastka. Czasem dał mi ugryźć kawałek cytryny, a raz dał mi całą na własność, trzymałem ją długo jako największy z moich skarbów, aż spleśniała i zeschła zupełnie. Nigdy jej nie zjadłem.

Matki mojej machlerz nie bił przy mnie, w końcu nie z kamienia miał serce, bił ją, kiedy nie patrzyłem. Chociaż to tylko parę razy się zdarzyło, bo maćka była posłuszna i cały zarobek oddawała uczciwie.

Nie działo się wtedy w moim życiu nic ważnego, po prostu żyłem i rosłem. Mówiłem po polsku i rozumiałem po niemiecku, ale nie mówiłem prawie nic. Byłem silny, chociaż nikczemnego raczej wzrostu jak na swój wiek: chętnie biłem się nawet ze starszymi chłopcami, czasem wygrywałem.

Miałem paru przyjaciół: w domu zbytym mieszkało bliźniacze rodzeństwo w moim wieku, Piotrusz i Małgorzata, a przychodził do nas często bawić się Tworzyjanek, kaci syn,

starszy od nas o kilka lat – pomagał już ojcu przy łapaniu bezpańskich psów. Chodziliśmy nad Wisłę, gdzie Tworzyjanek uczył mnie i Piotrusza łapać ryby: kiedyś zabrał Małgorzatkę w krzaki, wróciła obcierając łzy, ale nie mazgała się za bardzo o to, w końcu dorastaliśmy w domu zbytnim, sprawy cielesne nie były dla nas tajemnicą, jaką być mogły dla was, drodzy słuchacze mojego życia i światowania, jeśli tylko wasze dzieciństwo przypadło na ten szczególny okres u schyłku drugiego tysiąclecia po narodzeniu Krysta, kiedy promieniująca na niższe klasy wiktoriańska moralność zamknęła kopulację za drzwiami sypialni, jeszcze przed upowszechnieniem łatwo dostępnej dzieciom pornografii. Słyszeliście zapewne o angielskim malarzu Ruskinie, który w dziewiętnastym wieku, w noc poślubną ujrzawszy włosy łonowe swojej żony, uznał ją za potwora i nie był w stanie się do niej zbliżyć. Dziecko swoich czasów, czasów, w których udawano, że pod strojami ludzie nie posiadają ciała. Ciało kobiety Ruskin znał tylko z posągów i obrazów, a tam nie były porośnięte futrem w miejscu, gdzie łączą się nogi. „Maja naga” Goi zrobiła straszny skandal swojego czasu, ale i u niej prawie nic nie widać, ledwie jakiś cień tych włosów. A Effie, nowo poślubiona żona malarza, nie znała jeszcze metod brazilian waxing, więc musiała się wydać mężowi czymś w stylu wilkołaka.

Wcześniej chłopstwo płodziło dzieci nocami we wspólnych izbach a wielmożowie rodzili się przy świadkach i swoje nowe żony deflorowali przy świadkach, żeby nikt nie mógł potem powiedzieć, że matrimonium nie było consumatum. Potem zaś wszystko można było obejrzyć w trójwymiarze i hologramie, w pełnym spektrum i dowolnej konfiguracji, i doświadczyć na żywo, sprawdzić, dotknąć, posmakować, a smakowało prawdziwiej i bardziej niż rzeczywistość.

Później znowu czasy się zmieniły i zapanował nowy purytanizm, a potem nowe rozpasanie, a wiele cykli później wszystko zredukowało się do mnożnych audiencji u przezwiecznie śpiącej Matki Polski i do cierpliwych kopulacji niemieckich samic antropicznych w lebensbornach, do fanatycznych orgazmów samców niepasowanych, którzy wszystkie swoje proteiny oddawali Matce Polsce w orgazmie jedynym, w śmiertelnej rozkoszy kończącej ich krótkie, pracowite życie. I tak milion razy w każdej z gałęzi drzewa historii. Więc nie będę się tym więcej zajmował, nie o tym na pewno chcecie ode mnie usłyszeć.

Tworzyjanek, kaci syn, był też naszym, moim pierwszym nauczycielem świata. To on uświadomił mi, kim jesteśmy: kurwie macierze i pana małodobrego syny, ja bastert, Piotrusz i Małgorzatka też nieślubni, on lepszy, bo przynajmniej z małżeńskiej łożnicy zrodzon, ale biorąc pod uwagę fach jego ojca, niewielka lub żadna to różnica. Ja zaś kim był mój ojciec nie wiedziałem, ale o tym za chwilę. Tworzyjanek pokazywał nam świat przez odniesienie do nas: a więc opowiadał nam, jak wygląda turniej, odgrywając przy tym z wielkim oddaniem rolę rycerzy, dam, widzów, króla i herolda – postaci najbarwniejszej – którego w naszym królestwie nie było, ale o którym słyszał Tworzyjanek, przebywając z ojcem w Pradze

czeskiej. Opowiadanie to, którego słuchaliśmy z rozdziawionymi z zachwytu gębami, kończyło się konstatacją, iż turniej należy do piękniejszego, lepszego świata, w którym główną rolę grają rycerze i damy, a jako cichą i pokorną publiczność dopuszcza się uczciwych i pobożnych zwykłych ludzi: jednakowoż nas, bastertów, kurwie macierze, kacie, złodziejskie siemię, przegnano by stamtąd od razu, gdybyśmy mieli czelność się tam pojawić. Albowiem nie jesteśmy godni przyglądać się rozrywkom dobrych ludzi.

Tak kończyła się każda opowieść Tworzyjanka: kiedy opowiadał o pięknych wierzchowcach, to kończył konstatacją, że takiej mierzwie ludzkiej jak my, takim wyrzutkom, wymiotom ludzkim nigdy nie będzie dane usiąść w siodle najgorszej szkapy, albowiem nawet najpodlejsza chabeta strząsnęłaby nas ze swego grzbietu z obrzydzeniem. Kiedy opowiadał o jedwabiacz – morał był ten sam, nie dla nas jedwabie.

Wtedy jednak sprzeciwiła mu się Małgorzatka, która nie miała złudzeń co do zajęcia, jakiemu przyjdzie jej się oddawać w niedalekiej już przyszłości, i obserwując swoją matkę, miała o rym zajęciu, to jest o kurestwie, nielichą już wiedzę.

Powiedziała więc wtedy Tworzyjankowi, że najpiękniejsze z duchien noszą jedwabie i batysty, które im wielmożowie przynoszą jako podarunki. Tworzyjankowi jednak nie spodobała się ta bezczelność Małgorzatki, wyrznął ją więc w twarz tak, że krew się jej puściła z ust i z nosa, a on, obrażony, poszedł do siebie, a my byliśmy na nią źli, to znaczy ja i Piotrusz, bo przez jej niewyparzoną gębę nie było tamtego dnia więcej opowieści Tworzyjanka. Więc dołożyliśmy jej jeszcze od siebie, a Piotrusz na Małgorzatkę jeszcze nasikał. Za to potem maćka jego strasznie wygarbowała mu skórę, dwa dni nie umiał wstać z łóżka.

Maćka szczydziła mi wiedzy o tym, kim był mój ojciec. Król. Powiedziała mi o tym dopiero na łożu śmierci: było to w dziesiątym roku panowania króla Ludwika, maćka umierała w bólach, które rozlewały się znad prawego biodra na cały żywot. Dziś wiem, że moja matka zmarła na zwykłe zapalenie ślepej kiszki, ale cóż mi po tej wiedzy? Wtedy myślałem, że to zły Bóg mi ją zabrał i często dalej tak myślę, zapominając, że w Boga Gospodna nie wierzę, złego ni dobrego, nie wierzę, bo go nie ma, jest tylko zły, tępy wszechbożek, w którym zanurzeni przezwiecznie umieramy.

A maćki mojej przecież i tak nie widuję, bo z mojego szeolu nie można sięgnąć miejsca, w którym ona mieszka.

O tym, kto jest moim ojcem, dowiedziałem się więc na kilka chwil przed śmiercią mojej matki, córki kupca z Noremburku, krakowskiej prostytutki.

Jej boleść na chwilę zelżała; maćka wyciągnęła do mnie ręce, chwyciła mnie za ramiona, zacisnęła palce na moich chudych ramionach.

– Jeś krolowic – powiedziała. Nie zrozumiałem.

– Synem króla Kazimira jeś. Bastertem jego. On cię zaczął jest w żywocie mojem.

Podawała mi batystową białą chustkę, z królewskim monogramem.

– Król wzdał mi jest ten płatek, po tym jako jest miał se mną był uczynek mężczyński – szeptała.

Nie płakała, wyplakała już wszystkie łzy dawno temu.

– Wezi to, nosi to wždy. To znamię, iżeś krolowic, Kazimira króla bastert. Ac by nie zahaczył, synaczku.

Bolesny skurcz zwinął ją nagle, jakby niewidzialny lalkarz szarpnął za sznurki swojej marionetki.

– Gott gebe gluck – maćka z bólu zaczęła szeptać po niemiecku, jakby w bolesti spadły z niej wszystkie lata spędzone w Krakowie, jakby zostało tylko to, co słyszała w kołysce. – Bis Etyli und vorEchwige. Geh zu Norembenk.

Bądź cichy i milczący. Jak ona, przez całe życie – i Norembenk, mej matki kraina szczęśliwa, kraina wesoła, kraina dzieciństwa.

Niewiele z tego rozumiałem. Zapytałem potem machlerza, kiedy przyszedł wieczorem załatwić pogrzeb. Wzruszył ramionami, potwierdził skinieniem głowy. Tak mówią podobno. Dopytywałem dalej: w końcu machlerz odburknął mi coś na odczepnego, żebym dał spokój.

Więc dałem.

Niedługo później o królewskim bastercie przypomniała sobie rodzina mojego zmarłego dziada, stryj mojej matki rzekł ponoć – jak mi powiedziano potem, wiele lat później, kiedy wróciłem do Krakowa – że nie da umrzeć na ulicy bastertowi swojej braturiki, ale że z drugiej strony wstyd basterta i kurwie macierze syna trzymać w mieście, między swymi, więc wyprawi mnie do Norembenku. Maćka moja musiała przewidzieć, że tam mię poślą – dlatego mówiła mi o Norembenku. Tam mogłem być po prostu płowowłosym, młodym chłopcem z dalekiego Krakowa, nie zaś nieślubnym synem koczugi.

Więc stryj maćki wyprawił mnie, dziesięciolatka, z kupiecką karawaną wiodącą do Bawarii woły, futra na wozach i zboże do dalekich krewnych, do Norembenku.

Bo ja, bastert, kurwie macierze syn, póki miałem siedem czy nawet dziewięć lat, póki chowałem się w domu zbytnim, na ulicę nawet nie wystawiając nosa, tyle cośm pobiegł na targ po sprawunki – poty mogłem się chować między krakowiany. Ale z każdym rokiem, kiedy zbliżałem się do dorosłości, stawałem się zagrożeniem: jak kurwa, jak aktor, złodziej, hycel, kat.

Moja obecność burzyła porządek. Gdaż wchodziłem do dobrego domu, kalałem go swoją obecnością: nie rytualnie, nie tak, jak skalany jest na przykład Żyd, kiedy dotknie trupa, albo Żydówka, kiedy miesiączkuje. Ja, bastert i kurwie macierze syn, byłem zagrożeniem rzeczywistym, nie rytualnym, byłem tak, jak nieczystości na posadzce komnaty, które porządek kalają nie rytualnie, lecz naprawdę: śmierdzą, uwalać mogą trzewiki, rozmazać się na posadzce wstrętną plamą.

A powinienem nosić dziecięcą houpelandę z drogich tkanin albo dublet z haftowanym herbem, machać drewnianym mieczem, uczyć się jeździć konno i strzelać z łuku.

Wtedy, kiedy siedziałem na jadącym do Noremberku wozie, nie rozumiałem tego, co powinienem: wydawało mi się, że skoro moim ojcem jest król, to ja powinienem być krolowicem.

Potem dorosłem. Przestało mi zależeć na królestwie, chciałem tylko być tym, kim były inne basterty Kazimira: rycerzem. Bo było ich przecież wielu. Więc chciałem być tak jak oni – miles strenuus. Pasowanym. To mi się należało, tego byłem godzien i to mi odebrano: bo król Kazimir umarł, zanim mnie maćka powiła, bo może nawet nie wiedział o tym, że istniałem i nie zapisał mi nic w testamencie, a innym – Pełce i Nie-mierzy – zapisał, akurat tyle, że mogli z dumą nosić swoje rycerskie pasy.

Najważniejsze jednak w moim życiu – to znaczy, nie tylko w moim istnym światowaniu, ale w całym przezwiecznym umieraniu – najważniejsze były dni, które dzieliły śmierć mej maćki od wyjazdu z kupiecką karawaną do Noremberku.

Trwało to może dwa tygodnie.

Duchny dawały mi jeść i prały moje koszulę i nogawice. Szczególnie maćka Małgorzatki i Piotrusza dbała o mnie, jakbym był jej własny. Głaskała mnie po włosach i płakała, i tłumaczyła swoim dzieciom, jakie mają szczęście, że Gospodzin nie uczynił ich sierotami jak biednego Paszka.

Ja zaś, kiedy zobaczyłem moje maćkę w trumnie, zimną i obojętną, zrozumiałem, jaki jest mój los: oto jestem sam. Sam, samiustek wobec całego świata. Wobec Boga Gospodna, któremu nie miałem za co dziękować – ja, bastert, sierota, wymiot ludzki.

Uciekłem wtedy od trumny, schowałem się w naszej dawnej izbie, leżałem na łóżku, które jeszcze nią pachniało i płakałem: matuchna, matuchna...

I tak słył i modlił się jeśm do Gospodna, i wierzyłem, że zaraz otworzą się drzwi i stanie w nich ona, rozczesze swoje jasne kosy i obejmie mnie, i powie, uśmiechając się miłośnie: nie słyż już, synaczku. Maćka cię miłuje. I ja przestanę płakać wtedy. A ona wyszepcze jeszcze, tym samym głosem, jakim szepcze psalmy: matuchna cię miłuje nade wszystko synaczku, nade wszyściek świat. I pocałuje mnie w czoło, ciągle obejmując.

I drzwi się otwały: ale to nie maćka moja jednak w nich stała. W drzwiach stał Tworzyjanek. Wszedł, nie czekając powitania ani zaproszenia, zamknął drzwi, usiadł przy stole.

Milczał.

– Jeśm krolowic. Króla Kazimira syn – powiedziałem, bo musiałem to powiedzieć.

Wybuchnął śmiechem.

– Jeś bastert, a nie krolowic, wiło – powiedział, kiedy przestał się śmiać. – Kurwie macierze synu.

– Sam jeś wiła – odszczeknąłem hardo. I opowiedziałem mu to, co powiedziała mi matuchna na łożu śmierci, po czym wyciągnąłem zza pazuchy płatek z batystu z królewskim monogramem i pokazałem mu.

Tworzyjanek obejrzał chustkę ciekawie, po czym zwinął w kłębek i schował. Po czym mówić zaczął straszne rzeczy: śmiał się okrutnie, mówiąc, że jestem wiła, głupiec, któren w bajędy wierzy. Że matka moja, jako znana kurwa i złodziejka, na pewno ukradła chusteczkę jakiemu dworzaninowi królewskiemu podczas uczynku wiadomego. I że zabierze mi ten płatek, aby oddać go prawowitemu właścicielowi, to jest na Wawel, dla mojego wyłącznie dobra, żeby mnie nie powiesili jako złodzieja.

Poprosiłem, żeby oddał. Wyśmiał mnie, wyzwał od wił i kiepusiów. Rzuciłem się na niego: odepchnął mnie bez wysiłku, silniejszy ode mnie, większy. Upadłem, Tworzyjanek kopnął mnie w brzuch i wyszedł.

Zostałem sam. Bez mojego batystowego płotka, który należał do mojego ojca i do mojej matki. Bez tego kawałka tkaniny, jak wy mówicie, który oprócz mnie samego był jedyną rzeczą, która jakoś ich łączyła. Był też jedyną rzeczą, jaką dostałem od mojej maćki.

Był wszystkim. A Tworzyjanek mi go zabrał, a wolałbym, żeby oderwał mi dłoń i zabrał.

I nienawidziłem Tworzyjanka, tym bardziej że czułem się całkowicie bezsilny. Bezsilność była zasadą mojego życia, to znaczy tamtego okresu mojego istnego światowania. Bezsilność odziedziczyłem po matce, która całe swoje krótkie życie przeżyła jako niewolnica: swojego ojca, potem, przez krótką chwilę – króla, który chyba nie był z niej zadowolony, skoro więcej po nią nie posłał, potem – machlerza, żeby wreszcie umrzeć jako niewolnica własnej choroby, własnego ciała, własnego wyrostka robaczkowego, tego niepotrzebnego kawałka flaka wielkości palca, o którym nie wiedział wtedy żaden lekarz, a który zwisa w brzuchach naszych jak głupi żart Boga Gospodna, zwisa po to tylko, aby się zakazić i pęknąć, zarażając całą jamę brzuszną swoją chorobą i sprowadzić śmierć. Aantropi nie mają już wyrostków robaczkowych, ciała aantropów stworzył lepszy bóg niż wasze i moje, ludzkie.

Tworzyjanek mógł po prostu zabrać mi mój płatek batystowy. A ja nic, zupełnie nic nie mogłem na to poradzić.

I przestałem nawet płakać, bo czułem się tak, jakby ktoś mi tego płaczu zabronił.

Wtedy drzwi mojej izby otwały się ponownie i stanął w nich machlerz.

Bałem się go jak samego diabła. Był mężczyzną niezbyt roslym, ledwie wyższym od mojej maćki, twarz golił był gładko, czaszkę miał był łysą, ale krył był łysinę pod drogim chaperonem z czerwonego aksamitu, godnym wielmoży. Poruszał się był z wysiłkiem, dokuczala mu była podagra, to jest dna nożna, i ciążył był wielki brzuch: tak wielki, jakby w brzuchu zebrał się był tłuszcz z całego ciała, bo nogi w obcisłych nogawicach miał był szczupłe, pamiętam jak moja maćka komplementowała była te jego nogi, że proste i piękne, kiedy odwiązywała była mu troczki od nogawic, gdy przychodził był mieć z nią społeczność cielesną. Odwiązywała była troczki, zsuwała była nogawice, z jego opuchłych od podagry stóp zzuwała była najpierw ochronne, drewniane patynki, potem poulaine, trzewiki krakowskie długie na łokieć, to jest na sześćdziesiąt centymetrów, szpiczaste, z noskami

wypełnionymi mchem, aby się pod stopę nie zawijały przy chodzeniu. Patynki również miały wydłużone na pół łokcia noski, aby podtrzymać noski butów z drogiego safianu. A ja patrzył byłem, a oni mnie nie widzieli byli. Machlerz, umęczony podagrą, ledwie chodził w swoich modnych, długich butach i w chodakach wysokich na dziesięć centymetrów. Maćka zaś rozdziewała go, od nogawic zaczynając. Odwiązywała go troczki. Odwiązywała go troczki. Gładziła go po włochatych, smukłych nogach, podczas gdy jego brzuch opierał się prawie na jej głowie. Odwiązywała go troczki. Zdejmowała go ubłoczone patynki, odstawiała go starannie obok łóża, delikatnie ściągała go trzewiki krakowskie i cały czas mówiła go:

– Krasne masz nogi barzo, mój panie miły. I rzapie wielkie a przekrasne.

Tak musiała go mówić, tak go kazał być, wszystkie duchny, do których przychodził był, tak musiał mu być mówić.

I całowała go moja maćka nogi machlerza i stopy, całowała go ze strachu, nie z miłości, bo go całować kazał być, a potem ściągała go bawet płócienny, obnażając się, a ja odwracałem się od szpary w drzwiach, nie chciałem być na to patrzeć, dość już przeciekło było do mnie i wsiąkło we mnie strachu i upokorzenia maćki mojej.

I kiedy stanął w drzwiach do mojej izby, to bałem się go tym strachem mojej maćki, jak samego diabła, i jak Boga Gospodna, i jak króla, bały się go wszystkie duchny, bo był panem ich ciał i dusz, i rozumów, mógł go kopiuować, nagradzać, bić, zamordować, wyrzucić z domu zbytniego na poniewierkę, mógł wszystko. Nazywał się Wszesław i był Żmudzinem ze Żmudzi najgłębszej, z tej, gdzie po żmudzku właśnie, nie po rusku mówią; do Krakowa trafił w 1352 po wyprawie litewskiej mojego ojca. Słyszałem jak duchny między sobą szeptały, że nie był nawet ochrzczony i że naprawdę nazywał się Wissegerd i że czcił żmudzkich bożków; mówiły, że kiedyś wołu złożył bożkowi w ofierze.

Stanął więc w drzwiach mojej izby ten straszny spolaczały Żmudzin, co udawał, że już po żmudzku zapomniał, ten machlerz, szef łaźni i burdelu, czyli koczot, baraśnik, mierziennik albo alfons, jakbyście go nazwali w czasach waszego istnego światowania.

A potem wszedł do środka i usiadł na łóżu, na którym kiedyś zwykł był dosiadać mojej maćki. Milczał chwilę. Zapytał, czy był u mnie kaci syn, bo go widział na schodach. Potwierdziłem, kiwnąwszy głową. Milczał znowu, i znowu przerwał milczenie po kilku pacierzach:

– Paszko, przecz słysz ty, otroczę?

Czemu płacze? Jak ja odpowiedzieć mogłem na takie pytanie? Przecież nawet w jego kamiennym sercu sprawa powinna być jasna: służę, bo mi matka umarła. A może miałem po prostu zrozumieć, że oto kamienne serce machlerza zmiękło dla sieroty, który został sam na świecie? Pewnie więc powinienem milczeć. Odezwałem się jednak.

– Służę, panie Wszesławie, ciem ten paduch Tworzyjanek, pana małodobrego syn, płątek mi semknął jest – mówiłem, ocierając łzy. Paduch to wtedy znaczyło po prostu łotr,

nikczemnik.

– Płatek, co go król Kazimir wzdął jest mojej maćce, gdaż jest miał z nią był uczynek mężczyński, a gdaż ja jeśm zaczął się był w żywocie jeji – tłumaczyłem dalej.

Wszesław pokiwał głową, nie zdziwił się, ani nie śmiał. Pewnie musiał już słyszeć tę historię od mojej matki. Milczał chwilę, po czym zaczął mówić.

Były to chyba najważniejsze zdania, jakie słyszałem w moim istnym światowaniu. Były to zdania, które mnie wychowały. Tak, wychował mnie Żmudzin, machlerz, podobno poganin, podczas tych paru minut, jakie zabrało mu opowiedzenie tych paru prostych mądrości.

To przez pana Wszesława stało się ze mną to, co się ze mną stało w istnem światowaniu i stało się przyczyną mojego przewiecznego umierania w czasach, w których inni żyją i w których wy żyjecie.

A mówił prosto. Mówił o nas, to jest o sobie mówił i o mnie, potraktował nas jednym zaimkiem, chociaż dla mnie wydawał się kimś, kto należy do drugiego rodzaju ludzkiego. Jednym rodzajem ludzkim jest mierzwa ludzka, to jest moja maćka, duchny, strycki, to jest żebractwo wszelkie, ja i Małgorzatka, i Piotrusz, i Tworzyjanek, i baby, co w łaźni wodę grzeją, i stajenny chromota, którego każdy panosza w łeb wali za to, że ten mu konia źle oporządził, a konie ciągle źle oporządza, bo skoro chromy, to powolny, a od tego walenia w łeb już trochę wiła również, i dalej kuchty, i różni luźni ludzie, co po mieście pokornie chodzą, grosza szukając – a drugim rodzajem ludzkim są ci, którzy jeżdżą konno, panosze, rycerze pasowani w zbrojach błyszczących, wielmoże.

Jezukryst i Bóg Gospodzin wydawali mi się także do tego drugiego rodzaju niechybnie należeć oraz król Ludwik, który wtedy panował, chociaż w Krakowie bywał rzadko, i ojciec mój, zmarły król Kazimir i majstrowie cechowi, i brat mojego dziada, handlerz, i wreszcie pan Wszesław, machlerz, pan mojej maćki i mój również.

A tymczasem pan Wszesław powiedział o mnie i o sobie: „my”. Mówił o nas, jakby świat dotykał nas w ten sam sposób, jakby dotyczyły nas te same prawa i jakby padały na nas podobne spojrzenia.

I mówił o tym, że to musi być moja pierwsza lekcja. Lekcja tego, że jestem zupełnie sam, sam, samiustek, sam a sam ze sobą samojeden, i że jestem sam jedynym opiekunem swoim; że ludzie nie zabiorą mi tylko tego, czego im nie pozwolę zabrać. Że dostanę tylko to, co przemocą wydrę światu. Że moim bratem – kord, siostrą moją barta, przyjacielem nóż.

Nie miałem ani kordu, ani siekiery, ani noża, kozika nawet, skąd miałbym mieć.

I wtedy pan Wszesław, machlerz krakowski, zapytał mnie, czy chcę mój płatek z powrotem? Skinąłem głową, ciesząc się w duchu na samą myśl: oto machlerz mojej matki pójdzie do pana małodobrego, powie mu, że syn jego jest przeklęty paduch i że ma czym prędzej oddać płatek batystowy, który skradł Paszkowi, synowi króla Kazimira i duchny krakowskiej.

Lecz machlerz nigdzie nie poszedł. Sięgnął do sakwy, którą nosił przy pasie i wyjął z niej nóż. Nożyk w zasadzie: ostrze na pięć palców długie, widać, że wiele razy bruszone na kamieniu, bo cienkie. Ale bez szczerb i bez rdzy. Oprawne w kawałek dębiny, wypolerowany od samego trzymania w dłoniach.

– Samojeden poci k Tworzyjankowi. A radniej – samowtór: ty a ten kozik. Wezi swój i płatek nazad.

Podał mi nóż, wstał, klepnął w plecy, jakbym był przynajmniej kilkunastoletnim wyrostkiem, który dziewczynom zaczyna zadzierać spódnice, nie dziesięciolatkiem – sirotą.

– No, junoch, no... – poszarpał mnie po czuprynie i wyszedł. Dużo później, ale jeszcze w istnym światowaniu, zrozumiałem, że to był najbardziej pieśczośliwy gest, jaki kiedykolwiek widziałem u tego straszego człowieka. Zrozumiałem też wtedy, że machlerz Wszesław mnie kochał.

Schowałem nóż do lnianego woreczka, który pełnił rolę mojej sakiewki. Wstałem i pojąłem, że byłem samojeden, samiustek, ale teraz jestem samowtór, czyli że jest nas dwóch na świecie: ja i mój kozik, mój jedyny przyjaciel.

Nie byłem w tej przyjaźni wierny, bo kozik zamieniłem na kord i miecz, na muszkiet i na karabin, na potężne pancery i bojochody wojen Przewiecznego Grunwaldu, na wrośnięte w ciało szarszuny, barty i rohatyny, na krzywe harpy, na automatyczne samostrzały, na zdalne rębiele i na gazomioty, na hotchkissy i maximy, na flammenwerfery i samostrzały, wszystko to, co dziurawi i miażdży ciało bliźniego, na to, co go truje gazem, podpala, na to, co rozsadza mu płuca nagłą zmianą ciśnienia, jak bomba paliwowo-powietrzna, na to, co zabija go promieniowaniem i co dusi.

I nawet na to, co wroga osłabia, co go łudzi, mami, co skłania go do tchórzostwa, a odwodzi od odwagi, na to, co odbiera mu wolę, na to, co pogrąża go w letargu, więc: tworzyłem mdląco słodkie figury ludzi splecionych w różnych konfiguracjach kopulacji, programy miłosne, w których każdy mógł się zatracić, bo każdy mógł znaleźć w nich to, czego naprawdę potrzebował, czasem nawet o tym nie wiedząc: czy były to białe, okrągłe kobiety na klęczkach, o kornych spojrzeniach, z tyłkiem spuchniętym od razów i drżące od chuci, czy dziesięcioletni chłopcy, czy damy, niepozwalające się dotknąć a tłukące za to po pysku, czy cokolwiek innego, a wszystko prawdziwsze niż prawda nawet, mocniej pachnące, w lepszym kolorze i o skórze elastyczniej uginającej się pod pieśczołą albo pod razem.

I tworzyłem też cierpkie i mądre teorie, dzięki którym wrogowie moi łatwo mogli się sami znienawidzić – przekonywałem ich, że niosą na swoich barkach ciężki bagaż win setek pokoleń swoich przodków, win wobec innych ludzi i win wobec świata, i było to prawdą, ale nie wiedzieli tego, pókim im tego nie powiedział. Przekonywałem ich więc, aby znienawidzili samych siebie i swoich przodków, aby pokochali tych, którzy ich nienawidzą, aby podziwiali tych, którzy nimi gardzą i żeby gardzili sobą.

Ale nawet w tych wielkich, zbrójno-rozrywkowych przedsięwzięciach, zawsze byłem

tylko ja i narzędzie do wyrządzania krzywdy bliźnim. Tego nauczył mnie ten straszny Żmudzin.

I wyszedłem wtedy na ulicę, dotykając dłonią lnianego woreczka, w którym spoczywał kozik. Było już po trzecim dzwonie, po ulicach nie wolno już było chodzić, ale ja i tak poszedłem, najdyskretniej i najciszej jak mogłem, trzymając się cienia i zaułków, poszedłem do baszty przy wylocie ulicy Szrotarskiej, minawszy uprzednio kościół św. Marka, czyli kościół Kanoników Regularnych od Pokuty.

Drzwi do baszty były zamknięte, ale odszukałem okno izby, w której spał Tworzyjanek i krzyknąłem: huj-huj, ku-ku! Huj to było zwykle wykrzyknienie w czasach mojego istnego światowania, nawet w przysłowiu się mawiało: nie mów huj, póki nie przeskoczysz. Pewnie się wam spodoba, dlatego o tym wspominam.

Nic się nie stało, więc powtórzyłem krzyki parę razy i w końcu wyjrzał. Pomachałem, żeby zszedł do mnie, na dół – skinął, że przyjdzie. I przyszedł.

– Płatka ci nie dam, wiło – powiedział od razu, bez wstępów.

A ja już trzymałem kozik w dłoni i wbiłem go w brzuch Tworzyjanka. Krótkie ostrze ledwie przebiło skórę i otrzewną, i chyba nawet nie zdołało rozszarpać jelita. Ale tego na pewno nie wiem. Nie wiedziałem wtedy, jak zabijać ludzi nożem, potem się dowiedziałem. W istnem światowaniu jeszcze, w Noremberku. Dowiedziałem się, że zabijać nożem należy nie w walce, lecz z zaskoczenia, nie patrząc w twarz, lecz zachodząc od tyłu, nie celując w serce, lecz w nerkę prawą, jednocześnie lewą ręką ciągnąć ofiarę do siebie, tak że zanim się spostrzeże, już ma poderżnięte gardło. Po pchnięciu człek się wypręża i odchyła łeb, gardło odsłania, jakby zapraszał lśniący jęzor noża. Mnie nauczyli tego w Noremberku, a za waszych czasów uczyli tego komandosów w armii, a w Przewiecznym Grunwaldzie uczono tego ludzkich robotników bitewnych, i tylko ich, bo aantropy nie musiały się uczyć, jak zabić drugiego aantropa, bo wokół tego konstituowała się ich natura, bo aantropy nie miały bliźnich, były tylko one i obowiązek płynący w Blut albo pachnący w Rozkazie.

Tworzyjanek zaś zwinął się w kłębek i padł na ziemię, krzycząc strasznie, a ja stałem nad nim, jakby całe moje ciało uczyniono z kamienia i jakby serce uczyniono mi z kamienia, stałem i patrzyłem. Tworzyjanek płakał i krzyczał, wił się, ściskając się rękami za brzuch. Dziecko, ranne dziecko. I stałbym nad nim, i patrzył, ale gdzieś za mną otworzyła się okiennica i w noc poleciały gniewne słowa o kurwiej macierze synach, co spać nie dają porządnym i tymi słowami poruszony, rzuciłem się na niego i dźgałem, dźgałem, dźgałem – tak długo, aż przestał wrzeszczeć.

I kiedy przestał, kiedy zdałem sobie sprawę, że siedzę okrakiem na trupie, na podziurawionym moją ręką trupie – świat się zatrzymał.

Wstali czarni bogowie. Bogowie machlerza Wissegerda i bogowie Ardżuny, srebrnego łuczника, bogowie tych, którzy przyjechali konno ze wschodu, bogowie Nibelungów, Ares z Dejmosem i Fobosem, Perun, Thor, Indra. Moi bogowie. Bogowie kszatrijów, tych, którzy na

rydwanach włali się do Europy. Dyeus Pater, czyli Dziw Pacierz, jasne nieba sklepienie i Perkwunos, bóg dębu. Santi, Santi, Santi – zaśpiewali.

Santi, Santi, Santi.

Wyrwałem krótkie ostrze z nieruchomej piersi, podniosłem do góry, a oni zlizywali z niego krew i byli czarni bogowie moimi sługami przez chwilę, żywili się moją ofiarą. Ja, Paszko Bękart, byłem ich panem, tak jak panem dla trzody domowej jest ten, kto bydłom daje jeść. Czarni bogowie dotknęli mojego serca. Czarni bogowie cyrkiew uczynili sobie w mojej głowie, chram sklepiony kopułą mojej czaszki, z witrażami oczu moich i wrotami moich ust.

Był pierwszym, którego zabiłem. Jako ostatni w istnym światowaniu z mojej ręki legł krzyżacki knecht. Później, dużo później, eony później, miriady czasów później dowiedziałem się, że ten ostatni nazywał się Rybka i był Wendem spod Gydańska.

Wtedy był dla mnie tylko ludzkim ciałem skrytym za harnaszem i pancerzem kolczym, i za kapalinem. Był jeść już obrażon od belta z samostrzała, a knecht plecoma się otewrocił jest był k mię, zbawił się jest był szczytem ode żmudzkiej barty, ciem ostatecznią czerstwością stanął jeść był z mieczem w ochs; ale miecz dzierzył jeść był halbszfer, aboć był on harnaszowan jest i sie hned otewrocił k mię przodkiem jest, i siec mię glewia chciał jest, ciem te sieknięcie jeść przy jedlcu zastawił, i hned mu jeść żelazo wraził w gębę, a krasne zornhau uczynił jeść, a gdaż knecht legł jest, tośm go fatał za jego gardło, aż umarł jest, to znaczy byłem ranny, postrzelony z kuszy i knecht odwrócił się do mnie plecami, tarczą odbijając cios litewskiego topora, a ja stanąłem w postawie wołu i w półmieczu, to znaczy chwyciłem lewą ręką głownię mojego miecza w połowie długości głowni, a jedlce miecza trzymałem przy lewym policzku, o tym zresztą jeszcze będę później mówił, knecht zwrócił się znowu ku mnie i chciał mnie rąbnąć glewia, a ja przyjąłem ten cios na płaz mojego miecza, po czym, ciągle trzymając głownię w lewej dłoni, wbiłem mu ostrze w twarz z wielką siłą, a potem rzuciłem się na niego i jąłem go dusić, aż umarł. I zgładziłem knechta Rybkę, a zaraz potem jakiś futrem odziany Litwin, którego nawet nie widziałem, wekierą zwałił mnie na ziemię, destrier zatańczył mi na piersi i przyszedł koniec, a z końcem przyszedł straszny początek.

Lubię o tym myśleć i lubię o tym mówić. O moich własnych i o cudzych śmierciach. Mam w tym wielkie doświadczenie. Mielicie poetkę taką, w Ameryce, która powiedziała, że umieranie jest sztuką, jak wszystko inne i że wolałaby już być pozioma. A w parę lat po mojej śmierci ogłoszono księgę, na tym samym soborze, na którym Husa spalili, księgę o ars moriendi, czyli sztuce umierania.

Ale wtedy, w istnym światowaniu i moim, i waszym, i Sylvii Plath, kto mógł uprawiać sztukę, skoro każda sztuka potrzebuje ćwiczeń? Wy przecież wszyscy umieraliście tylko raz. A ja umierałem tak wiele razy, że tylko niektóre, najmocniejsze z moich śmierci jestem w stanie dojrzeć, tylko te z najwyraźniejszych gałęzi mojego życia.

Więc w moim przezwiecznym umieraniu umarłem pod Grunwaldem i przeżyłem Grunwald, jako rycerz, jako knecht, jako panosza i jako dzikus żmudzki, żerca, którego machlerz Wszesław dziecięciem wziął w litewskie puszcze i wychował na pogana bezwiernego.

W przezwiecznym umieraniu umierałem na ślepą kiszkę, na dżumę, na cholere, na febre, na przetokę rzytną, kiedy od kału zgnił mi cały półłanek i udo całe, i na kancery całego ciała umierałem, i od kul, i ze starości umierałem, od miecza, topora, kopii i od stolarskiego dłuta, od noża bandyty i chirurga, i od iperytu, i od choroby popromiennej, i szedłem na dno na pokładzie battlecruisera „Hood” i landkreuzera „Gautama”, i w czeskim stukasie, i w pumie, i przy wiosłach galery Piotra Wielkiego pod Gangutem, umierałem wreszcie z głodu i z pragnienia, i ze smutku, i sam odbierałem sobie życie nieprzeliczną liczbę razy, wieszając się jak Judasz, trując się gazem, strzelając sobie w głowę jak Hemingway albo Kurt Cobain, topiąc się, rzucając się pod kroczniki bojochoda albo pancera, albo rzucając się na druty w Mauthausen, albo na granat, albo ściągając na siebie ogień polskich aantropicznych rycerzy pasowanych, którzy nigdy nie chybiają, i umierałem, wystawiając się na łatwą zdobycz freinachtjegróm niemieckim. Umierałem na nieprzeliczną liczbę sposobów, o których nie mogę wam opowiedzieć, bo nie mam na to słów, bo już te słowa zapomniałem albo wy ich i tak nie zrozumiecie, nie zrozumiecie nawet słów, którymi mógłbym próbować wam je tłumaczyć. Jak widzicie, lubię o tym myśleć i lubię o tym mówić, o umieraniu i o zabijaniu. Wielu z was wyobraża sobie zabijanie i umieranie jako wyjątkowe sprawy. A ja wiem, że w tym nie ma nic wyjątkowego, umieranie jest jak oddychanie, chodzenie, jak picie i żarcie, i sranie, jak kopulacja i jak lektura książek. Normalnie, umiera się. Śmierć nie jest niczym wyjątkowym. Można umierać ładnie i brzydko, to jasne, tak jak można mieć dobre i złe manieri przy stole. A wy nie potraficie nawet zabić zwierzęcia, które potem jecie, zamykacie całe to zabijanie do fabryk i udajecie, że go nie ma. Co jest, wierzcie mi, wyjątkowo żałosne. Te wasze płacze, że ktoś zabił pieska, podczas gdy świnie zabijacie w fabrykach, a potem żrecie ich mięso. I jeszcze to gadanie, że w fabrykach to zabijanie jest humanitarne. Co mnie jeszcze więcej dziwi, bo z kolei fabryczne zabijanie ludzi uważacie za niehumanitarne. Spalić człowieka na śmierć bombą atomową albo fosforową jest humanitarnie, a zagazować go w fabryce śmierci niehumanitarnie. Chociaż może mniej boli? No nie wiadomo, póki się nie sprawdzi, a dwóch śmierci wam nie dano, a wiele dano ich mnie, więc mojemu doświadczeniu ufajcie. Więc – fosfor boli bardziej.

Nie umiecie żyć ze śmiercią i z zabijaniem, i to jest śmieszne jak ucztą w „Widmie wolności”, które widziałem w Paryżu w latach siedemdziesiątych, ale w wątku historii minimalnie różnym od waszego (na przykład Picasso jeszcze żył), bo w innych jakoś tego filmu nie obejrzałem. Chodzi o tę ucztę, w której srają przy stole, siedząc na toaletach, a potem idą jeść do osobnych małych pokoików. Pewnie dlatego, że tak się tego zabijania i umierania boicie, to lubicie o nim słuchać i czytać, i je oglądać, prawda? No więc będę o tym

mówił, bez obaw. Ale i tak nie zrozumiecie tego, co najprostsze i najważniejsze. Zabijanie jest zwykłe. Czy chodzi o kurę na obiad (zabiliście kiedyś przynajmniej kurę?), czy chodzi o całe narody, czy o jednego człowieka. I ja wiem, że człowiek ma duszę, a kura nie ma. To poniekąd prawda, kury nie przebudziły się do przewiecznego mrzenia. Ale co z tego, krew to krew, ból to ból, kurzy czy ludzki. Więc zabijanie jest zwykłe, nawet kiedy chodzi o kobietę czy o dziecko. Chociaż dzieci i kobiet w istnem światowaniu nie zabijałem. Tworzyjanek się nie liczy, bo chociaż był dzieckiem, to miał jednak więcej lat ode mnie. To znaczy nie zabijałem bezpośrednio. Kiedy na rejzie paliłem żmudzką wioskę, nigdy nie wrażliłem żelaza żadnej kobiecie ani dziecku, a że potem zdechły z zimna i głodu, bez schronienia, to wina czarnych bogów, to widać czarni bogowie tak chcieli. Może żertwa była zbyt skąpa, a może ktoś skalał święty dąb.

Ale potem, w przewiecznym umieraniu: tak, zabijałem i dzieci. Albowiem lwy zabijają swoje młode i świat nad tym nie płacze.

Albowiem Herod kazał wymordować młodzianków, a słońce i tak weszło następnego dnia.

Albowiem Juliusz Cezar siekł galijskie dzieci, aby nie wyrosły na dorosłych Galów, którzy tak łatwo się już nie pozwolą, a potem dzieci w dobrych szkołach uczyły się na pamięć „Wojny galijskiej” po łacinie. Gallia est omnis divisa in partes tres, miriady razy dziecięcymi ustami powtórzone, w miriadach wątków i czasów.

Albowiem w Babim Jarze zabijano dzieci, a w tej samej chwili mieszkańcy Berlina i Waszyngtonu dolewali sobie śmietanki do kawy. Nie, dziękuję, bez cukru.

Albowiem w palonej amerykańskim napalmem sowieckiej Warszawie dzieci płonęły jak wietnamskie pochodnie, a mieszkańcy Sztokholmu oglądali to w telewizji, gryząc chipsy.

Albowiem dziewczynki Paryża, Lyonu i Marsylii, dziewczynki, których łona były jeszcze bezwłose, gwałcili angielscy Gurkhowie, a w tym czasie w Mediolanie Włosi otwierali gazety na dziale sportowym, żeby sprawdzić wyniki meczu AC Milan z Lazio. Trzy jeden.

Albowiem zdychając z głodu piskłeta sroki, której łeppek odstrzeliła wiatrówka chłopczyka, strzegącego swoich kurcząt.

Albowiem berlińskich chłopców, trzy – i czterolatków topiono w zalanych kanałach metra, a w Polsce marszałek Piłsudski pił piwo i grał w karty z Wandeczką, bo też co miał robić?

Albowiem warszawskich chłopców, trzy – i czterolatków topiono w Wiśle i palono sowieckim fosforem, a w Moskwie marszałek Stalin pił gruzińskie saperavi.

Albowiem pewien neandertalczyk, którego imienia nie potrafię zapisać głoskami żadnego z ludzkich języków, widział jak rosły rudowłosy kromaniończyk zabił neandertalskie szczenie, nabijając je na włócznię o rogowym ostrzu. Nabite na włócznię zaniósł do swojej jaskini, tam wypatroszył je i pożarł, opaliwszy nad ogniskiem. Opowiedział mi o tym w naszym przewiecznym mrzeniu ojciec wypatroszonego i nie rozumiał on mrzenia tak samo,

jak ja go nie rozumiem i jak wy zrozumieć nie możecie.

I wasi przodkowie, jak lwy: niechciane niemowlęta zostawiali, a one marły z głodu i zimna, nigdy nie zaznawszy smaku matczynego mleka; tak wierzyli Germanie, że godzi się pozostawić dziecko na śmierć, jeśli jeszcze nigdy nie jadło.

I Grecy, którzy ofiary z ludzi uważali za zwyczaj barbarzyński – nie uważali za barbarzyńskie porzucanie dzieci niechcianych, aby umarły.

A wasi przodkowie słowiańscy składali dzieci w ofierze Perunowi.

A Hilarion z Aleksandrii pisał do swej siostry Alis sto lat przed narodzeniem Jezukrysta, że jeśli dziecko, które jej się narodzi, będzie chłopcem, to ma żyć, jeśli zaś urodzi się dziewczynka, niech Alis porzuci ją, na śmierć.

Wy zaś lubicie się wzruszać, patrząc na pulchne dziecięce policzki, jesteście jednak tacy sami, bo człowiek, tak jak inne drapieżniki, zabijał, zabija i będzie zabijał swoje dzieci. Wy, delikatni, zabijacie je po prostu, zanim się urodzą, z powodów estetycznych, bo staliście się wrażliwi: porzucone płaczą zbyt głośno, w brzuchu matki płaczu nie słyszą. Nie ganię was za to, nie oburzam się, nie dziwicie mnie. Tacy po prostu jesteście, ludzie. Tacy jesteśmy – jak lwy.

Więc zabijałem dzieci w Ewiger Tannenberg: świętym ogniem paliłem polskie dworki i słuchałem, jak z trzaskiem pękają łona Matki Polski i jak kroczniki naszych pancerów depczą spopielone szczenięta polskich rycerzy. I skłubałem lancą antropiczne, bezgłowe samice Niemców w lebensbornach, zwłaszcza te, które były brzemiennie, i strzałami z kuszy zabijałem niemieckie ciężarne robotnice i ich pomiot.

Krew jest bez znaczenia. Kry jest kry, Blut ist Blut, płynie jak woda, smaruje trybiki historii jak oliwa, zasycha jak czerwona farba na batalistycznych obrazach. Kry jest bez znaczenia. Trupy są bez znaczenia.

Lubicie o tym słuchać, prawda? Oburzać się na ludzką kondycję. Wiedźcie więc, że to o was jest, to wy jesteście tymi, co siedzą i piją, podczas gdy w waszym wątku trwa rok 1996, a wy siedzicie, pijecie, oblewacie swoje pierwsze zwycięstwa na giełdzie, klniecie na polityków, a w Północnej Korei matki zjadają ciała swoich dzieci. A wasze córki i synowie są przerabiane na maść i kremy albo kończą w śmietnikach i nie zatrzymuje się czas, i nie płacze nad nimi niebo.

Więc dla mnie zabijanie i umieranie to zwykła sprawa.

A z wszystkich wątków historii najbardziej upodobałem sobie Przewieczny Grunwald/Ewiger Tannenberg, bo tam zabijanie nigdy nie skryło się w cieniu, jak u was, hipokryci. W Wiecznym Grunwaldzie po to jest cywilizacja, państwo, po to są ludzie, aby zabijać wrogów.

Nie wiedziałem tego oczywiście w istnym światowaniu. Zabijanie ludzi było grzechem, to jasne, ale kiedy chciałem jeść mięso i mogłem, to maćka wysyłała mnie na podwórze łaźni i wskazywała kurę, która do nas należała, bo każda duchna miała kilka swoich kur we

wspólnym kurniku, a ja tę kurę chwytałem, trzymałem pod pachą, a potem zarzynałem.

Dlatego, nie zdziwiła mnie krew na rękach i na nożu, kiedy zabiłem Tworzyjanka. Wiedziałem, że ludzie umierają jak zwierzęta, wiedziałem, że krwawią. Zacząłem przetrząsać ubranie Tworzyjanka w poszukiwaniu mojego płata batystowego – i znalazłem go na trupie, za pazuchą: przebiło go moje ostrze i cały batyst był powalany krwią.

Zabrałem płatek ze sobą i inną drogą pobiegłem do domu zbytniego, wszedłem tylnym wejściem, przez łaźnię. Widziałem mężczyzn, wielkich mężczyzn, ich ciała blade, śniade, różne, łby łyse albo pokryte kudłami mokrymi, ściętymi dookoła i długimi, plecy i piersi chude i grube, włochate lub nagie, i widziałem duchny, które ich pielęgnowały, polewały gorącą wodą, namaszczały mydłem i pieściły, i myślałem o tym, że jestem jak oni, panosze, rycerze, bogaci handlerze, którzy mogą przyjść do łaźni, zapłacić machlerzowi Wszesławowi i zażywać kąpeli i kocuzęgo kpa, a potem mogą rozkazać przynieść sobie klaretu w srebrnym kрузu, to jest wina przejrzystego, białego.

Jenżego ja w istnem światowaniu mojem nigdyśm nie pokuszałem, bo pierwy nędza, a potem – w zakonie – posty.

Potem, oczywiście, zrozumiałem, że machlerz Wszesław co innego miał na myśli. Żle wyznaczyłem dystans. Zdawało mi się, że między mną a Wszesławem jest dystans nie do przebycia, ogromny, nieprzebyty abis, a Wszesława od panoszy, którzy przychodzili do łaźni, dzieli już dystans malutki, nie większy niż jest między panoszą bez pasa a rycerzem pasowanym, strennus. A było zupełnie inaczej, dla tych jasnych mężów, rycerzy i królów, i wielmożów, i księży, i biskupów, ja i machlerz Wszesław byliśmy mierzwą ludzką, gorszą niż sedłak wiejski, to jest chłop, gorszą, bo gburstwo miało swoje miejsce w odwiecznym porządku oratores, bellatores i laboratores, czyli tych, co się modlą, tych, co walczą i tych, co pracują. Chłop był fundamentem tego porządku, jego podstawą, z sedła-czej pracy żył i rycerz, i ksiądz – w czasach mojego istnego światowania słowo ksiądz oznaczało jeszcze zarówno księdza władcę, jak i księdza kapłana, żercę krześcijariskiego. A my, ludzie luźni, mierzwa ludzka, byliśmy. tego porządku największymi wrogami, jak pogany albo kacerze. Lecz nie buntowałem się przeciwko temu porządkowi; buntowałem się jedynie przeciwko miejscu, w którym się znajdowałem w tym porządku. Bo sam porządek wydawał mi się czymś tak naturalnym i oczywistym jak wschód słońca po nocy i zachód po dniu. Po prostu chciałem być w tern porządku wyżej.

I wtedy, kiedy wróciłem do domu, zabiwszy Tworzyjanka, zdawało mi się głupio, że jestem już jednym z nich. A kiedy, niedługo później, zrozumiałem, co miał na myśli machlerz Wszesław – chciałem być jak oni. Chciałem być krolowicem, rycerzem, panoszą jaśniejącym. Tylko tego chciałem, ale nie z jakiejś szalonej dumy czy ambicji: byłem po prostu dzieckiem wychowanym przez wilki i dziecię to chciało powrócić do ludzi. Byłem królewskim bękartem, żyjącym w domu zbytnim z kocuzgami.

W cebrzyku przyniosłem wody i płukałem mój płatek. Zszedłem do łaźni, skradłem garść

mydła miękkiego jak masło i prałem mój płatek batystowy, ale plamy zostały. A potem wziąłem najcieńszą igłę jaką udało mi się znaleźć w biednym dobytku mojej zmarłej maćki i tak jak maćka mię uczyła, zacerowałem podłużne dziury, które wycięło w płatku ostrze mojego kozika.

Wtedy wszedł machlerz. Zobaczył co robię, zrozumiał, podszedł, pogładził mnie po włosach i wyszedł. A ja, pomny na nakazy mojej maćki, co mię obumarła, zacząłem się modlić:

– Oćcze nasz, jenże jeś na niebiesiech, oświeci sie jimię tve, przydzi tve krolewstwo, bądź twa wola jako na niebie, tak i na ziemi. Chleb nasz wszedni daj nam dzisia i odpuści nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowaćcom...

I przerwałem tutaj. Przerwali mi czarni bogowie. Nie chciałem się dalej modlić. Nie chcieli się modlić czarni bogowie. Miałem swój płatek batystowy, ale nie oddał mi go Bóg Gospodzin ani Kryst, ani Bogurodzica, ani cała cyrkiew krześcijańska, oddał mi go machlerz Wszesław, bo dał mi kozik. Więc nie modliłem się już więcej, a cały świat wokół mnie się modlił, a ja nie.

A potem wyjechałem do Noreمبرku, do Rzeszy.

Po raz pierwszy w życiu opuściłem Kraków i jechaliśmy dwa miesiące, i przez te dwa miesiące głównie siedziałem na zaprzężonym w woły wozie między błamami skór niedźwiedzich i wilczych, które wieziono na sprzedaż do Rzeszy. Wozów było sześć, oprócz tego sto dwadzieścia wołów opasowych, na sprzedaż po drodze – na Szląsku i dalej. Droga wiodła nas nie najkrótsza, lecz zgodnie z interesami kupców z karawany: a więc głównym traktem na Olkusz i potem na Bytom, z Bytomia mniejszą drogą na Glywice i Ratibor, z Ratibora do Nyssy, a potem na Minsterberk i Frankenstein, a potem na Glatz i na Pragę. Nawet kiedy zatrzymywaliśmy się w miastach po drodze: w Glywicach czy w Ratiborzu, ja i tak pozostawałem w wozie, dawali mi wychodzić tyle, co za potrzebą.

Niewiele widziałem podczas tej podróży: spałem, marzyłem o maćce mojej, tęskniłem i płakałem.

Zaprzyjaźniłem się z płaską wilczą głową o oczach z kolorowych kamyków, mówiłem do wilka, a on mi odpowiadał, teraz myślę, że odpowiadał mi głosami czarnych bogów.

Czasem wyglądałem na zewnątrz, przypatrywałem się drodze: wioskom, lasom, miastom innym niż Kraków i dwa obrazy zapamiętałem na całe moje istne światowanie. Pierwszy to rycerski orszak, najpiękniejszy rycerski orszak, jaki w istnym światowaniu widziałem.

Rycerz w podróży! Nie było nic w moim świecie piękniejszego, nic godniejszego, nic bardziej męskiego niż podróżujący rycerz z bogatym orszakiem.

To była kwintesencja rycerskości: jechać. Na pielgrzymkę, na wojnę, z traktatem do zaprzyjaźnionego władcy albo w odwiedziny do stryja, albo po prostu, przed siebie, szukać przygód, gościć na zamkach. Jechać.

Więc na zwronasiwym palfreju, czyli podjezdku jedzie rycerz, w herbowej jace, kordem

opatrzony, koń idzie inochodem, lekko się kołysząc, aby jeździec dostojny zbyt się nie zmęczył. Za nim świta: pachoły, strzelce, wszyscy zbrojnie, dalej zaprzężone w muły wozy z dobytkiem, dalej luźne konie: ogromny, czarnogniady destrier z grzywą i ogonem farbowanymi na czerwono, biały paradny palfrej, siwy courser do turnieju, inne konie marszowe, strzelcze zapasowe, same ogiery albo wałachy, tylko wśród marszowych dwie klacze. Wspomniałem na Tworzyjanka: to on, na turnieju, nauczył nas, to jest Piotrusza i mnie, bo Małgorzatka wykluczona była z tej wiedzy, jak rozróżniać rycerskie konie. Mówił o nich ze znanstwem, chociaż potem większość tego, co mi powiedział, okazało się fałszem albo półprawdą, ale wtedy słuchałbym każdego, kto chciał mi mówić o rycerskich koniach.

Nasza karawana – wozy, woły, dwóch konnych – zjechała rycerskiemu orszakowi z drogi. Ja patrzyłem, uchyliwszy płótna. Rycerz miał na jace herb o polu złotym, w nim tur czarny z zadartą głową.

Przejeżdżając obok nas, rzucił woźnicom parę monet – nie w podzięcie za ustąpienie drogi, lecz po prostu, z pańskiej łaski. A ja syciłem oczy bogactwem szat, broni – strzelce i sługi wszystkie pod mieczem lub kordem, z samostrzałami, rohatynami, w kapalinach i kolczugach, tylko sam rycerz najlżej zbrojny, bez śladu pancerza czy hełmu, w pięknym, szkarłatnym chaperonie na głowie.

Przejechał, nie wiedząc nawet, że na wozie siedzi bastert króla Kazimira. A gdyby wiedział – myślałem – to może wziąłby mnie ze sobą, uczynił ze mnie pazia i mógłby się mną przechwalać, że oto, patrzcie, na służbie ma królewskiego basterta. I w przewiecznym mrzeniu w miriadach zdarzeń na pewno jest takie, w którym on się zatrzymuje, a ja wyskakuję z wozu, przypadam do rycerskiego buta i służę, i mówię moją historię o tern, jako mię porwano, a serce rycerza mięknie, boć to i historia jak z romansu, więc zabiera mię i usynawia, i daje mi pas i miecz, i złotogłowie, ale ja nie zapominam, nie zapominam i w końcu wdzięczność zamienia się w niechęć, niechęć zaś w nienawiść, i w końcu zakrytoubijam mego dobrodzieja, i uchodzę z jego dworu w świat jako rycerz błędny a wędrujący, jednak rycerz jeno na zewnątrz, boć ze straszną skazą we sercu, z sercem z nienawiści poczerniałem.

Na pewno więc była taka historia w miriadach zdarzeń, aleć ja jej nie oddzielam, nie przepominam, jedynie dostrzegam, że być musiała. Oddzielam tylko to, co w istnem światowaniu albo blisko niego: jak przejechali.

I gdy już przejechali, usłyszałem jak woźnica rozmawia z kierownikiem karawany, wymienili nazwisko rycerza: Bartosz z Wezemborga, herbu Tur, syn Peregryna, starosta kujawski, ostatnio sławny z tego, że wziął w niewolę sześćdziesięciu rycerzy francuskich podróżujących do Prus, co chcieli przyłączyć się do krucjaty przeciwko Żmudzinom. Podobno wziął za nich trzydzieści tysięcy florenów okupu od Winrycha von Kniprode. I pojechaliśmy dalej, ich śladem, a ja rozmyślał jeśm, że gdybym uszczknął trochę nawozu, co zostawiły konie kogoś, co się tak pięknie nazywa: Bartosz z Wezemborga, herbu Tur, syn

Peregryna, starosta kujawski – to miałbym jakieś wspomnienie po nim, jak płatek po moim ojcu albo kozik, którymś Tworzyjanka ubił. Ale kiedy chciał jeść zeskoczyć z wozu, to jeden ze sługów sieknął mnie nahajem, myśląc pewnie, żeśm chciał uciec, więc chyżo nazad się między skóry zagrzebał jeśćm i nawozu na pamiątkęśm nie wziął.

Drugim obrazem, jaki zapamiętałem, był portret. Twarz młodego księdza, w Pradze. Handlerz, mój dziad stryjeczny, rozmawiał z nim, mieszając słowa czesko-polskie i niemieckie, tytułował go po łacinie „canonicus”, a potem, kiedy kapłan odszedł, powiedział o nim do mojego woźnicy per ksiądz canonicus Honza z cerekwii świętego Wita. Spotkanie, jakich wiele, nie zapamiętałbym go pewnie, gdyby nie to, że ksiądz ów mnie zauważył.

Od kiedyśm stał się mordercą, czarni bogowie drzemali w chramie, co mieścił się pod sklepieniem mojej czaszki. I poczułem nagle, że pod wzrokiem księdza Honzy z katedry świętego Wita czarni bogowie zwijają się w sobie, kulą, poczułem, że się boją.

Ksiądz kanonik nic nie powiedział. Podeszedł do wozu, rozgarnął płótno, spojrział na mnie z bliska i przyglądał mi się. Milczałem, a ksiądz położył mi dłoń na głowie i wyszeptał modlitwę:

– Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio, contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium. Imperet illi Deus, supplices deprecamur: tuque, Princeps militiae caelestis, Satanam aliosque spiritus malignos, qui ad perditionem animarum pervagantur in mundo, divina virtute, in infernum detrude. Amen.

Nie rozumiałem ani słowa, ale poczułem wyraźnie, jak czarne bogi kurczą się, niczym w ogień wrzucone robaki. Ksiądz odszedł, a ich nie było. Ale wiedziałem, czułem – wróć. Bo w miejsce, które po nich zostało w mojej głowie, nie przyszedł z powrotem Kryst ani Bóg Gospodzin, ani nikt inny.

Przez te dwa miesiące podróży byłem tak samotny, jak jeszcze nigdy w życiu: potem, i jeszcze później potem, częściej byłem samotny i samo-jeden niż z kimś, ale wtedy, na wozie, przeżywałem to po raz pierwszy. Tęskniłem do duchien z domu zbytniego, tęskniłem do Małgorzatki i Piotrusza, tęskniłem nawet do machlerza Wszesława i do patronów, co wychodząc od koczug dawali mi pomłoski. Tu nikt nie dawał mi niczego ponad to, do czego zobowiązywała ich szczegółowa umowa z moim dziadem stryjecznym: w podróży dostanę miejsce do spania, dziennie bir ftuppe, czyli piwną polewkę, chleba do woli, w niedzielę kawałek gekochte huner, czyli warzonej kury. I nic więcej: nie chodzi mi o smakołyki, ale o to, że nikt do mnie się nawet nie odzywał. Duchny są bardzo czułe wobec dzieci, więc przywykłem, że nawet kiedy brakowało mojej maćki, ktoś głaskał mnie po głowie albo tulił, albo dawał pieszczotliwe kuksańce.

A dwa miesiące na wozie – nic. Ani słowa, poza krótkimi komendami po niemiecku, że teraz czas iść za potrzebą, bo potem cały dzień w drodze będziemy, bez postojów, że jeść dają. Nikt nie podniósł na mnie ręki, raz tylko, kiedy się potknąłem i wylałem polewkę na futro wilcze, ale i tak nawet wtedy nie zbitym mnie tak, jak na to zasługiwałem, dostałem po

prostu pięścią w głowę i koniec, i jeszcze raz, batem, kiedyśm chciał nawozu wziąć, ale za to sługę bardzo zrugano, że mię tym batem sieknął.

W miastach był zakaz wychodzenia z wozu i szwendania się po ulicach, słuszny na pewno, i bałem się go złamać, i nie złamałem, więc przyglądałem się innym światom tylko zza płótna wozu, ciekawie, kiedyśm napotkał wzrokiem inne dziecięce spojrzenie albo rycerza pięknego, albo damę, albo jaki kram wystawny – ale po większej części drogi nic, tylko drzewa, las straszny i ciemny, i góry straszne, niedostępne, i zaprzyjaźniłem się z moim kątem w wozie między skórami, i płakałem, oczywiście, ale zaprzyjaźniłem się już też z moim płaczem i ze smutkiem, który mnie wypełniał.

I śniłem cały czas o maćce mojej, i tylko do tego przyzwyczać się nie mogłem, że kiedyśm się budził, to jej nie było.

Aż w końcu dojechaliśmy do Noreمبرku, wyjrzałem z wozu i zobaczyłem to miasto: opasane dwoma liniami murów. W murach co chwila baszty graniaste, z machikułami, większe i mniejsze, o spadzistych wysokich dachach, najeżone blankami. Dalej barbakan przy bramie, graniasty, z otworami, z których obrońcy mogliby razić wrogów. Policzyłem baszty: ze strony naszego traktu było ich widać dziewięć graniastych w pierwszej linii murów, poza tym barbakan przy jednej bramie i dwie okrągłe baszty przy drugiej, pod którą nie było drogi, lecz z której wypływała rzeka, a obok pierwszej jeszcze donżon, wysunięty przed lico murów, tak mi się przynajmniej zdawało, że to właśnie donżon. Mury opasywała fosa, zasilana zapewne przez rzekę. Nad bramą zaś orzeł dwugłowy cesarstwa rzymskiego.

Nad miastem, wewnątrz murów, na wzgórzu większym niż wawelskie, wznosił się zamek. Kiedyśm go obaczył, pomyślał jeśm: oto jest moje miejsce, tam powinienem zamieszkać. Wznosiły się ku niebu cztery wyniosłe wieże jego o kończystych dachach i potężnych machikułach, górowały nad wieżami kościołów: św. Wawrzyńca, najwyższymi w mieście poza zamkiem, i niższymi św. Sebalta. Mieszkał w zamku tym burgrabia Friedrich, o czym nie wiedziałem, póki mi o tym nie powiedział woźnica.

I nigdy, w istnym światowaniu, na tym zamku nie byłem. Czy gdyby burgrabia Fryderyk wiedział, że do Noreمبرku przybywa właśnie bastert kazimirowski, czy przyjąłby mnie? Czy zaprosiłby na komnaty przynajmniej po to, żeby sobie mnie obeźrzeć?

Nie wiem, bywałem na zamku później, w przewiecznym mrzeniu i w którymś z wątków na pewno przybywam do Noreمبرku w pięknych szatach, mój ojciec ciągle żyje i ma się dobrze na krakowskim tronie, a ja jestem przynajmniej oficjalnym bastertem. Ale tego prawie nie pamiętam. Pamiętam, jak w wątku bliskim do waszego bywałem na zamku w mundurze gauleitera kraju Warty albo w mundurze sowieckiego generała lejtnanta, kiedyśmy ucztowali na zamku w Noreمبرdze, ledwie troszkę nadgryzionym ogniem moździerzowym, w 1942 roku, a na dziedzińcu kołysał się reichsstatthalter von Epp, a szyję jego, oprócz wstęgi Blauer Maxa, opasywał stryk, i wywalił reichsstatthalter von Epp siny jęzor, i zeszczął się w swoje bryczesy w kolorze feldgrau, i bardzo nas ten kapiący na kamienne płyty mocz rozśmieszał.

To był piękny wątek, który wyjątkowo lubiłem i który zakończyłem piękną śmiercią w Pirenejach w 1944, zamęczony przez francuskich kontrrewolucjonistów, a moim nazwiskiem, nazwiskiem czerwonego bohatera i zawadiaki, nazywano szkoły i place od Władystoku po Marsylię. Co do zestawu tortur, dzieci w szkołach całego Związku Sowieckiego uczyły się, że oprawcy żywcem obdzierali mnie ze skóry, obcięli mi kończyny, wyłupiali oczy i tak dalej, aż umarłem. Starszym dzieciom powiadano również, że na początku tortur obcięto mi genitalia i wepchnięto do ust – w wielu wątkach typowy obraz tortur w dwudziestym wieku po narodzeniu Jezukrysta.

Może zresztą był i taki wątek historii, w której właśnie tak ze mną postąpiono, ale ten, który oddzielał mocniej, wyraźniej, i który lubię, skończył się torturami umiarkowanymi: kluto mię bagnetami, kopano, wybito mi oko kolbą pepeszy (zdobytej na moim kierowcy), po czym mię zastrzelono, i tyle, i koniec. Dobra śmierć to była, śmierć awanturnika i zawiadiaki z rąk ludzi godnych go zabić. Mało takich miałem.

Najwięcej czasu spędziłem jednak w noremberskim zamku w wątku Ewiger Tannenberg, w Przewiecznym Grunwaldzie, w którym rodziłem się wiele razy, pod znakiem Total Mobilaufmachung i pod płonącymi na niebie literami Silni, Zwarci, Gotowi.

W zamku służyłem, oddzielał, w świecie fieldobertstrappiera, to jest wielkiego szatnego polowego, general-obersta Joachima von Egern, starego węgierskiego szlachcica, który przewiecznie konał, tak samo jak ja konałem. Byłem jego knechtem, a zamek wznosił się ku niebu wyniosłą wieżą ze szklawa świetlistego, przejrzystego, chociaż czarnego. Żyliśmy w środku, na ostatnich piętrach.

Podstawa wieży dawno przykryła całą starą NoreMBERGĘ i mieściła w sobie teraz Oberstheeresleitung, sztab generalny, w który wprzęgnięci byli antropocjni dostojnicy, bez ciała, najlepsze mózgi Germanii zanurzone w fizjologicznym roztworze soli, odżywiane wspólnym krwio-biegiem i spięte wspólnym pniem mózgu, dzielące wspólne sensorium milionów zawieszonych nad polem bitwy dronów zawiadywanych przez wypreparowane, odurzone narkotykami mózgi ludzkich robotnic. A więc pływali tam, w solach: Magister Hospitalis Domus Sancte Marie Iheutonicorum Jerosolimitani, czyli hochmeister Hartmut von Bockx, dalej grofkomtur Carl von Sternberg, ordensmarschall Werner von Trier, grofispittler Poppo von Tunna, ordenstressler Himmo von Dzialinsky. Ściany krwawiły, kiedy ich mocniej dotknąć, i żywiliśmy się tą krwią, krwią Teutonów, produkowaną w Blutfabrik, położonej w sercu Germanii, w górach Harzu, wewnątrz wydrążonej góry Brocken, daleko za linią frontu i płynęła ta Krew do fabryk, do pancerzy antropocjnych wojowników, do biur antropocjnych dostojników i do cel, w których mieszkaly ludzkie robotnice, i my, ludzcy knechci wieczorami przetaczaliśmy sobie świeżą Krew do żył, oddając starą, ogołoconą z odżywczych składników do krwiobiegu Germanii, bo wszyscy byliśmy tej samej Krwi i tego samego ciała, bracia służebni i siostry służebne.

A w solach oprócz Kapituły Generalnej pływali również wizytujący marszałkowie,

generałowie, adiutanci pułkownicy i sekretarze, pływali komturzy pięćdziesięciu departamentów i pływał nawet sam papież Świętego Kościoła Rzymskiego Narodu Niemieckiego Otto DCLXVI.

I tylko Jego Wysokość Kaiser Baldur Hermann DCCXXXIV Hohenzollern, o miriady pokoleń odległy potomek Friedricha V Hohenzollerna, burgrabiego Noremborku w czasach mojego istnego światowania, nie pływał w solach Oberstheeresleitung, nosił rozwinięte ciało jegra i piękny pancerz, pełniąc główną rolę w ceremoniale państwowym.

I spływała na jego pancerz sławna Blutfahne, flaga Krwi, czerwona jak Krew, przecięta bielą i czernią, a przy boku degen srebrno-czarny, sonnenrad na głowicy, wszystkie regalia zaprojektowane miriady lat wcześniej przez Karla Diebitscha, wielkiego grafika, którego poznałem, oddzielam, w innym świecie, gdzie projektował insygnia krzyża rycerskiego Orderu Waregów, Orden der Warager, dla tych, którzy bili się i zwyciężyli w Rosji.

A w Ewiger Tannenberg ja służyłem pod wielkim szatnym polowym Joachimem von Egern, który był równocześnie brygadierem freinachtjegrów. Do moich codziennych zadań należało oporządzanie lekkiego pancerza jegerskiego, w którym Jego Eksceleńcja wychodził nocami na łowy, a w wielkich bitwach szliśmy w poczcie Jego Eksceleńcji i co wyjście z dziesięciu knechtów nie wracało ośmiu, bo byliśmy tani i łatwo dostępni, lęgliśmy się w robotniczym lebensbornie, gdzie pracowały małe matki, to znaczy ludzkie robotnice, którym nakazano się rozmnażać. Aantropowie składali swoje siemię bezpośrednio do łon wielkich samic aantropicznych, ich orgazmy były orgazmami obowiązku wobec Krwi, ale my, knechci, posiadaliśmy szczątkowe libido, i to dla nas w lebensbornach pracowały również robotnice erotyczne, które zasłużeni knechci mogli kopulować, a które nasze siemię przносиły do łon małych matek. Role małej matki i robotnicy erotycznej były rozdzielone.

Nie jedliśmy, ani nie przyjmowaliśmy płynów, nasze przewody pokarmowe były zarośnięte, bo wszystkie potrzeby naszych ciał zaspokajały codzienne transfuzje, których pragnęliśmy bardziej niż seksu: i były to jedyne dobra, jakimi nas nagradzano – codzienna Krew i jej skład, czasem bogatszy o hormony, wzbudzające euforię, spokój lub agresywną nienawiść, a dla zasłużonych zaszczyt posiadania potomstwa i zaszczyt odwiedzin erotycznych w ludzkim lebensbornie.

Ale Blut była ważniejsza, Blut była naszym życiem.

Byłem też w fabryce w wydrążonej górze Brocken, gdzie Krew produkowali aantropowie: długie rzędy kilkutonowych aantropicznych wątrób oczyszczały Krew starą, którą oddaliśmy z powrotem do krwiobiegu, aantropiczne układy pokarmowe i trzustki trawiły wszelką organiczną materię, ciała nasze i naszych wrogów poległych na polu bitwy i hodowaną na potrzeby żywienia biomasę, wszystko – i nasycaly cukrem Krew, która z Blutfabrik wychodziła. I gruczoly, które produkowały hormony, wzbogacające osobnymi rurami ciekącą Krew specjalizowaną, Spezialblut.

Na szklanych pojemnikach z aantropicznymi żołądkami, wątrobami, trzustkami i nerkami

wygrawerowane były ich nazwiska i tytuły, na przykład Horst von Aue, komtur Saragossy, a obok do szkła przyczepiano krzyże orderów, srebrny Deutsches Kreuz albo Kriegsverdienstkreuz pierwszej czy drugiej klasy.

Wizyta w Blutfabrik była nagrodą za poświęcenie w bitwie: ratując aantropicznego pułkownika von Paulus z płonącego pancera, straciłem obie nogi.

Była to wielka polska ofensywa: polscy koronni rycerze aantropiczni pędzili przez ziemię niczyją z wyciem silników i siekli strasznym ogniem. Za nimi kroczyły ciężkie rycerskie bojochody i musiała być to nadworna krakowska chorągiew Matki Polski, na pancerzach nieśli bowiem srebrzyste gwiazdy Orderu Orła Białego i wielu miało niebiesko-czarne wstęgi Orderu Virtuti Militari, za nimi szły szerokie jak horyzont tyraliery ludzkie, służebne oddziały mazowieckie, polskie, litewskie i ruskie, nazywane tak tylko z tradycji, bo dawno wsiąkłe w Matkę Polskę. Z powietrza atak osłaniał zaś aantropiczny szwadron myśliwców, a u nas było tylko pięć stutonowych pancerów i kilkunastu jegrów, i kilka luftfahrzeugów: poza tym, tylko knechci, parę tysięcy, i pospiesznie zaciągnięte do prac polowych robotnice.

I przegraliśmy, Polacy weszli na sto pięćdziesiąt kilometrów w Germanię i udało im się ustabilizować front na linii Łaby, aż pod Dreznem, a ja dostałem się do niewoli i pilnowali nas litewscy ludzie nieprzemienieni w mieniących się ruchliwym kamuflażem mundurach. Aantropiczny polski lekarz, który miał trzy i pół metra wzrostu, amputował mi obie nogi, zgniecione włazem do pancera, i uleczył mnie.

Potem wynegocjowano lokalny rozejm i Germania zapłaciła za nas zbiorowy okup, bo taki był zwyczaj, że kiedy wymieniano pojmanych aantropów, to wymieniano również ludzi. Von Paulus, niesiony przez czterech knechtów w tymczasowym łożysku dla rozpancerzonych panzer-grenadierów, zdołał opowiedzieć o moim postępkach. W nagrodę więc zezwolono mi na wizytę w Blutfabrik, gdzie między rzędami aantropicznych wątrób mój wózek pchała specjalnie do tego celu wyznaczona robotnica.

I zwiedzałem Blutfabrik, i była to największa radość mojego życia: być w sercu Germanii, patrzeć jak spokojnie pulsują aantropy, jak rodzi się Blut. Robotnica, która pchała mój wózek, słyszała o moim czynie: więc nie spieszyła się i miałem wiele czasu, aby obcować z samym jądrem istnienia Niemiec, więc chłonałem obrazy, zapachy i dźwięki, najpiękniejsze, jakie widziałem w życiu i, oddzielał, byłem bardzo szczęśliwy, szczęściem nie ekstatycznym, lecz spokojnym, szczęściem, które wynika z dobrego odczytania swojej Dharmy To najintensywniejsze uczucie szczęścia, jakie w moim przezwiecznym mrzeniu oddzielał.

Po wizycie zaś skierowano mnie do ośrodka utylizacyjnego, gdzie knecht przystawił mi do potylicy schlachtschussapparat, nacisnął na spust, iglica zbiła spłonkę i metalowy bolec uderzył i przebił mi czaszkę, i zniszczył mi pień mózgu, a potem robotnice spuściły ze mnie krew, prosto do żylnego obiegu Germanii, i sprawnie rozebrały moje martwe, beznogie ciało na odpowiednie części, mięso osobno, kości osobno, mózg osobno, wnętrzności osobno, i

chwile później trawiły mnie już soki aantropicznego żołądek hrabiego Baldura Hermana Hecke magen-grafa von Trotz zu Socz; i spłynąłem w jelito, w aantropicznego darm-komtura Jeana de Valery, i przesączyłem się przez jego cienkie ścianki do aantropicznej Krwi, i rozlałem się po całej Germanii, odżywiając aantropów i knechtów, i robotnice, Krew z ich Krwi, i wszystko rodzi się z Krwi, żyje w Krwi i wszystko do Krwi wraca. Alles gebart dank dem Blut, lebt dank dem Blut und zum Blut zuriickkehrt.

A Tacyt pisał o starożytnych Germanach, iż sądzą, że tylko słabi zdobywają w pocie czoła to, co można zdobyć krwią. Julius Streicher twierdził zaś, że męskie nasienie jest wchłaniane przez kobiecą macicę, a tym samym przedostaje się do krwi kobiety i wystarczy jeden stosunek Żyda z Aryjką, by jej krew została zatruta na zawsze – więc nawet gdyby potem wyszła za mąż za Aryjczyka, to nigdy już nie będzie miała dzieci krwi czysto aryjskiej, tylko skażone bękarty z dwiema duszami w piersi.

Takie jak ja. Bękart z dwiema duszami w piersi.

Jednak Blut w Ewiger Tannenberg była już odporna na takie zagrożenia. Bo człowiek wprawdzie umiera, lecz jego Krew żyje nadal poza grobem, i ja już nie żyłem, ale moja Krew żyła, Krew, którą dzieliłem z Germanią, i płynąłem w jej żyłach i tętnicach.

I wsączyłem się też w żyły brygadiera i wielkiego szatnego polowego Joachima von Egern, a on stał przy przejrzystej, pulsującej Krwią ścianie cesarskiego zamku w Noremberdze i układał wiersz: o fabrykach, które u stóp zamku ścieliły się jak opadłe liście przy pniu drzewa, daleko, aż po wzgórze Jury Frankońskiej, i o sielskich polach, na których bauerzy hodują biomasę i śpiewają pieśni o Blut und Boden, o Krwi i Ziemi.

Pisał więc wiersz i wspominał własne istne światowanie, bo niektórym jest nakazane zawsze pamiętać wszystko i wtedy przezwieczne umieranie boli najbardziej. I ja również zawsze pamiętam wszystko.

I pisał fieldobertstrappier von Egern nieswoje słowa o Blut, pamiętał je, cień cienia, sprzed tysięcy lat, po raz pierwszy w istnym światowaniu swoim spisał je człowiek, o którym jeszcze będzie tutaj mowa, a potem powtórzyły je miriady czasów, na miriady sposobów, w miriadach języków: krew jest głębsza niż wszystko, co można o niej powiedzieć lub napisać. Jej ciemne i jasne drgania wyczarowują melodie, które wprawiają nas w nastrój smutku lub radości. Przyciągają nas do osób, krajobrazów i rzeczy lub odpychają nas od nich.

I pisze fieldobertstrappier von Egern, pisze swój poemat: o wiecznym ogniu, który płonie na najważniejszych szczytach Germanii, na szczycie noremberskiego zamku i na szczycie zamku w Wewelsburgu, gdzie w niebosiężnej sali w szklane ściany wtopione są pierścienie poległych aantropicznych grenadierów i jegrów. I na górze Brocken, i na górze Montserrat, i na najwyższych szczytach Alp i Pirenejów. Pisze brygadier von Egern o aryjskim ogniu z kosmogonii Hannsa Hórbigera: o tym, który był w przedczasie, a świat się zaczął, kiedy w środek wielkiej kuli ognia wpadła bryła lodu i wtedy wszechświat eksplodował, i od początku świata walczy ogień z lodem, i dwie są tylko zasady wszechświata: lód i ogień, a istnienie

świata jest ich Przewieczną Wojną.

A na szczycie noremberskiego zamku stoi starożytny, spiżowy pomnik przedstawiający Hórbigera dłuta Georga Kolbe: spiżowy filozof oburącz dzierży wielki znicz, w którym tańczy ogromny, podsycany Krwią płomień, święty płomień Rzeszy i Zakonu, święty płomień Ariów, Indogermanów.

Przekrwione ściany zamku wibrują akordami d-moll i cała Germania tonie w muzyce: to „Der Tod und das Madchen” Franza Schuberta, romantyczna, kameralna lied na głos i fortepian. Von Egern sądzi, że to najbardziej niemiecka z muzyk.

Więc najpierw fortepian, pianissimo w d-moll.

I prosi dziewczyna: i nie dotykaj mnie, śmierci. Und rühre mich nicht an. I kiedy tak prosi, drży Germania, burzy się Blut: bo wiedzą wszyscy, że to prośby nadaremne.

I słucha dalej von Egern, jak śmierć woła dziewczynę. Jak zachęca: podaj mi rękę, piękna. Nie przybyłem, żeby cię karać, przybyłem jako przyjaciel. Zaśnij spokojnie w moich ramionach.

Jakże wyglądamy takiej śmierci, śmierci, która pocieszy, przygarnie nas i zabierze, już na zawsze, bez przebudzenia po wieczności, która trwa sekundę. Z jaką radością przyjęlibyśmy taką śmierć. I płacze Germania: dlaczego nie przychodzisz już, Śmierci?

A potem myśli von Egern, że Schubert dobrze zabrzmiał z Goethego balladą o królu Thule, zamieszczoną potem w „Fauście”, a u Schuberta opus piąte punkt piąty: i już śpiewa ciało Germanii, śpiewają zamki, śpiewają fabryki, śpiewa Krew, śpiewają mezzosopranem pieśń o królu, któremu ukochana na łożu śmierci podarowała złoty kielich.

Von Egern wsłuchuje się w pieśń i w śmierć króla, który oddał całe swoje królestwo spadkobiercom, całe, prócz kielicha. I przecież przychodzi ta muzyka z innego świata, a jednak jest w niej najgłębsze wyrażenie niemieckości, a przez niemieckość tego, czym jest świat Ewiger Tannenberga, świat spalonej ziemi i dwóch już nie narodów, lecz dwóch form postczłowieczeństwa, dwóch gatunków odrębnych, splecionych w walce przewiecznej i świętej, w walce, w której nie będzie Endsieg, bo z ostatecznym zwycięstwem Zakonu albo Korony zwycięzca straciłby rację istnienia.

Pisze von Egern o świętych dębach, o drzewie świata; o Nibelungach i o Walhalli, i o Götterdämmerung, który nadejdzie, kiedy na koniec czasów wszystkie siły Germanii i wszystkie siły Matki Polski zetną się ze sobą na ziemi niczyjej, a na ziemię zstąpią czarni bogowie i będą walczyć w naszych szeregach, i w ich szeregach.

Von Egern patrzy w dół.

Fabryki u podstawy szklanej wieży układają się w rozetę sonnenrad, w czarne słońce z dwunastu run sig, w którego czarnym centrum znajduje się noremberski zamek i brygadier von Egern, a ja w nim płynę, w tętnicach Germanii, strawiony, rozpuszczony w Blut, we Krwi, która porusza i napędza, we Krwi, która utrzymuje przy życiu. Pomiedzy fabrykami stoją starożytne spiżowe posągi, ogromne jak wieże kościołów: wojownicy i kobiety, chłopcy,

dzieci, ludzie sprzed przemiany. Klasyczne, starożytne dzieła Kolbego, jak Hörbiger na szczycie zamku, i Arno Brekera, i muskularni mężczyźni, i biodrzaste kobiety Josepha Thoraka, a pomiędzy nimi proste, surowe bryły starożytnych fabryk zaprojektowane przez antropicznych architektów: Mięsa van der Rohe, Gropiusa i Troosta. Myśli von Egern: artysta jest organizatorem narodowej wyobraźni – i pisze swój poemat.

Między fabrykami i posągami płyną nitki Renu, świętej rzeki Germanów, i wchłonął Ren wszystkie rzeki niemieckiej części świata, wchłonął całą jej wodę, Ren jest jedyną rzeką Germanii, rozlaną w tysiąc cieków jak polarna rzeka rozproszona po zamrożonej ziemi, a z Renu wodę czerpią antropiczni, szpikowi szlachcice i w nich woda Renu zamienia się w Blut, i do Renu oddają mocz antropicy nerkowe, i tak Ren płynie nie tylko na powierzchni Germanii, lecz także w żyłach Teutonów.

A fieldobertstrappier von Egern pisze o ostatecznym zwycięstwie pod Tannenbergiem i wpatruje się w horyzont, z którego w końcu nadejdą polskie hordy. Myśli o swoich dalekich maddziarskich przodkach, których się wyparł jego przodek, albo i on sam się wyparł, nie oddziela, ale w tym wątku stał się antropicznym Niemcem.

Myśli i pisze o pierwszych braciach Zakonu, którzy budowali pierwsze zamki na pustynnej ziemi tak dawno przez Germanię straconej. Myśli o tym, jak rozpoczęła się Wojna Przewieczna, tysiące lat temu pod Przewiecznym Tannenbergiem, i jak trwała, jak pulsowała, jak hartowała jedne i unicestwiała inne narody, jak wychowała sobie narody antropiczne, narody osobne, Niemców i Polaków, dla których Wojna jest jedyną znaną formą istnienia. Weltkrieg, Wojna Światowa – bo wojna jest całym światem i cały świat jest wojną – i Wojna Światów, Krieg der Welten, bo są to światy osobne.

A potem przypomniał sobie, że to wszystko jest tylko złudzeniem, że prawdziwe jest tylko przewieczne mrzenie, w którym w wiecznym replayu odgrywane są wszystkie światy, jakie były, a były wszystkie możliwe, i my przez to przewieczne umieranie będziemy mrzeć aż po koniec czasów, a koniec czasów nie nastąpi nigdy, i wtedy Joachim von Egern, węgierski szlachcic urodzony w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym siódmym poczuł to, co czuję „ja”, Paszko, bastert króla Kazimira i co czują ci skazani na przewieczne umieranie, wyznaczeni spośród wszystkich ludzi jacy byli, a byli wszyscy, którzy być mogli, a więc nie tylko wy, ale również ci, których mogliście sobie wyobrazić i wymyślić, i ci, których sobie nie pomyśleliście, a każdy z was to wielkie drzewo waszych możliwych ja, rodzące się w poczęciu i rozgałęziające się do legiona śmierci, do liczby śmierci wprawdzie policzalnej, skończonej, ale dalece przekraczającej granice ludzkiej wyobraźni. I wy bytujecie po końcu czasów, w życiu przewiecznym, w waszych ciałach przebóstwionych i chwalebnych, pełnospektralnych, w których zrastają się mirady was, wszech wy, jacy byliście w miriadach istnych światowań, a my, w przewiecznym mrzeniu, miriady razy umieramy i niby-żyjemy. I nie usłyszycie mojego głosu, nie dotrą do was moje słowa, bo niezmierna jest przepaść między Śmiercią a Życiem.

A potem każdy z nas pomyśli o tym, jak bardzo chciałby wrócić chociaż raz do istnego światowania, póki było ono istne naprawdę, nie do miriadów odtworzeń po Końcu Czasów, i w tym istnem światowaniu postąpić inaczej, co innego zrobić, w inną stronę spojrzeć, innemu człowiekowi podać dłoń, inny papier podpisać, a innego nie podpisać, wydać inny rozkaz i wykonać inny rozkaz, innemu człowiekowi życie zabrać a innemu darować, kochać inną kobietę a innej złamać serce i żyć inaczej, gdzie indziej będąc skierowanym. I pamiętamy każdą sekundę, każdy gest, każde słowo, każde spojrzenie, wszystkie twarze i wszystkie głosy, wszystkie poranki i wszystkie wieczory, i wszystko wydaje się tak ważne: to, jakoć pirwy raz maćkę był kębał jeśm, małymi ręczynkoma ją był obłapiał jeśm i ją był smoktał jeśm, jakoć pirwy raz męża był ubił jeśm i jakoć pirwy raz łągał był jeśm, i jakoć pirwy raz z junochą uczynek mężczyński był miał jeśm, i jakoć pirwy raz junochę był fatał jeśm, i jakoć pirwy raz miecz w garzci był dzierzył jeśm, i gdaż pirwy raz po główni miecza kry czerwiona była ciekła jest.

W każdej chwili więc pamiętam, jak w istnem światowaniu po raz pierwszy zobaczyłem mury i baszty Noremberku, i wieże zamku na wzgórzu, i potem wjechaliśmy do miasta, i bez żadnych wyjaśnień zaprowadzono mnie do kamienicy, w której spędzić miałem następne dziesięć lat. Wskazano mi miejsce do spania – ławę na strychu, ale dobrą, ciepłą, blisko komina. Kamienica należała do dalekich krewnych mojego dziada, rodziny mistrza złotniczego, ale nie mieszkali w niej. W izbach zamieszkiwały dwie rodziny czeladnicze, obdarzone dużą liczbą dzieci: po paru dniach pobytu doliczyłem się dziewięciu chłopców i pięciu dziewczynek w różnym wieku.

Jednak nie pozwalano im bawić się ze mną: musieli się dowiedzieć, że jestem bastertem, dzieckiem krakowskiej koczugi, że moja obecność zaburza porządek, obraża Boga Gospodna i porządných ludzi.

Więc byłem sam. Przez pierwsze miesiące siedziałem beczynnje, nie mając nic do roboty, niczym w więzieniu. Na podwórzu kamienicy bawić się nie mogłem, bo mnie zaraz przeganiała któraś z matek, mogłem się wymykać i przechadzać ulicami, co też czyniłem: oglądałem sobie mieszczan, rycerzy, damy i możnowładców, w miejscach, w których potem i przedtem jednocześnie, ale raczej potem, rosły szklane, wypełnione fizjologicznym roztworem soli słoje Oberstheeresleitung.

Oczywiście, tylko umownie „w tych miejscach”, bo ten Ewiger Tannenberg, jaki widziałem, był tylko ułudą przezwiecznego umierania i nie wiem, czy był kiedyś istnie, a jeśli tak, to w jaki sposób. Bo w ist-nem wątku historii, tym prowadzącym od czasów, w których jaśm istnie światował, do czasów, w których światujecie wy, na Ewiger Tannenberg nie ma miejsca, była tylko bitwa pod Grunwaldem, w której ja skonał jeśm był, inni zwa ją Schlacht bei Tannenberg, a jeszcze inni Zalgirio musis, a po rusku jeszcze inaczej, ale chodzi w każdym razie o miejsce, które w liście po łacinie król Jagiełło, to znaczy zapewne któryś z jego sekretarzy, określił in loco conflictus nostri, quem cum Cruciferis de Prusia habuimus,

dieta Grunenvelt, chodzi o wydarzenie z piętnastego lipca tysiąc czterysta dziesiątego roku, kiedy na niewielkim terenie zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy mężów z połowy Europy, aby zabijać się różną bronią, i ja stałem między nimi, ale przyszedłem na to pole sam, chociaż na pozór w chorągwi Lingwena, i nikogo nie miałem nad sobą, ani króla, ani hochmajstra, ani księcia, ani biskupa, ani nawet chorążego czy dziesiątnika, przyszedłem sam albo samotrzeć: ja, mój miecz własny, i pugiń, i rohatyna, cośm je zabrał zabitemu Rusinowi był.

A dwadzieścia lat wcześniej, w Noremberku, żyłem sobie, jak żyje domowa mysz. Jak żyją sarny w zagajniku polnym, jak żyją zwierzęta boskim aktem własności świata oddane człowiekowi w posiadanie. Więc żyłem: cicho, bez słowa, prawie niewidzialny, nieważny, nie-człowiek, nie-dziecko, nie-ktos nawet, byłem, a prawie nie-byłem, byłem, bo miałem ciało, byłem człowiekiem, bo miałem ręce, nogi, głowę, ale nie padały na mnie ludzkie spojrzenia, jakbym był przezroczysty, nie docierały do mnie ludzkie słowa, bo nie mówi się do rzeczy, a ja byłem rzeczą, jak rzeczą jest pies.

Karmiono mnie przyzwoicie, znowu według dokładnej, kupieckiej umowy. Dostawałem dziennie chleba, welke roben, czyli rzepy, Eawer kraut, to jest kapusty kwaśnej i zupy, w piątce klein fiföchlein mit puter, czyli rybki na maśle smażone, a w niedzielę kawałek schoff fleyfsch – nigdy nie byłem głodny, ale nigdy też nie przejadałem się zbytnio.

Potem znaleziono dla mnie robotę: przykazano mi oporządzać kurnik na podwórzu, co nie było obowiązkiem trudnym ani dokuczliwym – i cieszyłem się z tego straszliwie, bo zdawało mi się, że z nie-kogoś stałem się chłopcem, co zajmuje się kurami, a to już było jakieś samookreślenie, jakoś zacząłem być. I nawet jajka pozwolono mi zanosić gospodyni.

Ale dzieci tutejsze dalej nie bawiły się ze mną. I dalej byłem sam samiustek, sam a sam, samojeden.

I może chcielibyście zlitować się nade mną?

Byłem w końcu wychowanym w domu zbytnim dziesięcioletnim sierotą, którego odumarła jedyna bliska mu osoba na świecie, maćka. I którego wywieziono do obcego miasta na drugim końcu świata, w którym mieście nie znałem nikogo. I nikt nie okazywał mi ani odrobiny czułości, za to wszyscy, których spotykałem, okazywali mi odrazę i pogardę, jakbym był lepem albo zadzumionym. Pogarda nie była zresztą najgorsza, pogardzając, odnoszono się do mnie, potwierdzano, że istnieję jako człowiek, bo nie gardzi się przecież rzeczami. Najgorsi byli ci, dla których mnie nie było, dla których istniałem tylko tak, jak istnieje kamyk albo grudka ziemi. Karmienie kur i sprzątanie kurnika nic tutaj nie zmieniło, nie sprawiło, że komuś stałem się bliski, bo kury są obojętne, nie przywiązują się do tego, któren się o nie stara.

Lecz gdybyście chcieli litować się nade mną – nie róbcie tego. Wiedziecie, że byłem szczęśliwy. Wypłakałem już łzy, które miałem do wypłakania za moją maćką. Nie śniła mi się już i rzadko o niej myślałem.

Byłem pustelnikiem w środku wielkiego miasta, dziesięcioletnim ana-choretą,

poważnym, spokojnym, obojętnym. Nie oczekiwałem niczego od życia i niczego się nie bałem, nie szukałem ludzkiego towarzystwa i nie szlochałem nocami – chociaż mógłbym. Nie tęskniłem za maćką ani za innymi duchnami z krakowskiego domu zbytniego, ani za Małgorzatą, ani za Piotruszem, nie potrzebowałem nikogo.

Po prostu byłem. Czy mysz za czymś tęskni, czegoś pragnie, czegoś się obawia? Strach może czuć, kiedy spocznie na niej pazur kota lub jastrzębia, ale tylko wtedy. I ja również bałem się, kiedy dwóch rzezimieszków, starszych ode mnie o parę lat, chciało mnie ograbić na ulicy. Jednak nie miałem niczego, co chcieliby mi zabrać – bo kozik od Wszesława i płatek króla Kazimira ukryłem na moim strychu. Kiedy więc mnie napadli, bałem się cieleśnie, że zabiją mnie z gniewu. Ale tylko podbili mi oko, nic więcej. I zaraz przestałem się bać. Nie zadreślałem się, tak jak nie zadreśla się mysz, która wymknęła się kunie. I nie bałem się chodzić ulicami, nie bałem się, że moi gospodarze wygnają mnie z mojego strychu na zatracenie czy że odmówią mi jadła i opierunku. Nie bałem się nie dlatego, że uważałem to za niemożliwe lub nieprawdopodobne – nie bałem się, bo nie myślałem w ogóle o tym, co będzie jutro albo za godzinę. Byłem pusty w środku i dzięki temu byłem bardzo mądry, jak buddyjski święty. Gdyby ktoś powiedział mi: pojutrze zostaniesz zabity, to skinałbym głowę i spokojnie poszedł spać. Jutra nie było, nie było wczoraj, a dzisiaj było dla mnie obojętne.

Wcześniej byłem inny: kiedy maćka żyła, byłem dzieckiem skłonnym do płaczu, do zamartwiania się wszystkim i cieszenia się ze wszystkiego. I potem jeszcze, w podróży, dalej byłem tym samym Paszkim, co wcześniej. Nie rozumiałem, co we mnie potem zaszło, co się zmieniło – ale nie tęskniłem za dawnym sobą, nie martwiłem się tą zmianą, tak jak nie martwiłem się niczym innym.

Sądzę teraz – wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy – że w stan tej świętej obojętności wprowadził mnie praski ksiądz. To jego spojrzenie oderwało mnie na czas jakiś od czarnych bogów i dało mi ten absolutny, zwierzęcy spokój – a jednocześnie odebrało mi życie, byłem jak martwy.

I żyłbym w taki sposób, umierając już w moim istnem światowaniu, gdyby na podwórze domu, w którym mieszkałem, nie przyszedł pewnego dnia machlerz Wszesław.

Wyglądał zupełnie inaczej niż w Krakowie. Był chudy: obcisły dublet dowodził, że nie zażywał rozkoszy stołu, a raczej siodła i ćwiczeń rycerskich. Był też mniejszego wzrostu, miał inne nieco rysy twarzy i przede wszystkim – na biodrach nosił pas rycerski, okuty srebrnymi blaszkami, a przy jego boku wisiał krótki kord, jaki zwykle noszą rycerze, kiedy nie są na wojnie. Tylko poulaine, trzewiki krakowskie miał takie same, z żółtego safianu, długie na łokieć.

I wiedziałem: to ktoś inny, a jednak to machlerz Wszesław. Przemówił do mnie głosem, który nie był głosem machlerza Wszesława, a jednak był jego głosem. Powiedział po prostu, po niemiecku, żebym poszedł za nim, a ja poszedłem, posłusznie, nie zadając ani jednego pytania, albowiem nie miałem zwyczaju zadawania pytań.

I poszliśmy, ulicami i zaułkami, machlerz Wszesław z przodu, ja za nim. Po chwili stanęliśmy przed drewnianymi drzwiami, przez które, o czym oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałem, przechodzić miałem tysiące razy w ciągu następnych dziesięciu lat, jakie spędziłem w Noremberku.

Machlerz Wszesław otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Sala była duża, jasna, oświetlały ją duże okna, przeszklone gomółkami i nie było w niej żadnych mebli poza ławami przy okiennej ścianie. W środku sześciu mężczyzn z mieczami stało w bezruchu w takiej samej pozycji, z bronią podniesioną nad głową jak do katowskiego cięcia. Wszyscy nosili wąskie dublety i obcisłe nogawice, i krakowskie trzewiki, odziani jak zwyczajni mieszczanie z pospólstwa. Twarzą do nich stał człowiek w księżej, czarnej szacie, nosił tonsurę i również dzierżył miecz nad głową. Był niski i raczej gruby, ale twarz miał przyjemną, harmonijną. Zrozumiałem, że miejsce, do którego przyszliśmy to fecht-haus – dom szymirski, w którym pod okiem meistra uczyć się można szymirskiej stworności.

Kiedy weszliśmy, ksiądz spojrzął na machlerza Wszesława i opuścił miecz. Zgromadzeni w sali mężczyźni zaraz zrobili to samo, posłuszni jak świątynni akolici. Kapłan ogłosił przerwę i podszedł do nas.

– Herr von Kónigsegg. Gott gebe ewer liebe eyn guten morgen. Was ifit da newes? – Znaczyło to tyle, co „daj Boże twej miłości dobre zaranie” i „co tam nowego?”, a powiedział to do człowieka, o którym wiedziałem, że jest machlerzem Wszesławem, nie żadnym herr von Kónigsegg. Ale zdawałem sobie sprawę przecież, że w jakimś sensie machlerzem Wszesławem nie jest.

– Gar wenig oder nichts. Seyt willikum lieber meister – odpowiedział uprzejmie. – Ich wollt gern mit euch reden.

Skoro więc chciał z nim mówić, to zaraz obaj, ksiądz i Wszesław-von Kónigsegg, odeszli na bok i rozmawiali przyciszonymi głosami, von Kónigsegg-Wszesław wskazał na mnie palcem, ksiądz z mieczem zmierzył mnie wzrokiem. Machlerz-rycerz przywołał mnie gestem dłoni, jakim przywołuje się służbę.

Ksiądz odłożył miecz, pochylił się do mnie i zaczął mnie oglądać.

Tak jak ogląda się cielę na targu. Otworzył mi usta i obejrzał zęby, pomacał te chude włókienka, które miałem na ramionach i udach, w miejscach, w których mężczyźni mają mięśnie. Wystawił przed oczami palec, brudny, jakby grzebał nim w piecu, i wodził nim na prawo i lewo, patrząc uważnie jak podążam za nim wzrokiem. Potem rozsuptał mi sączek przy nogawicach i obejrzał prącie, na co von Kónigsegg zaprotestował, że przecież nie przyprowadziłby mu tutaj Żydziątka. Ksiądz wzruszył ramionami, mówiąc, że uczył też Żydów, a już na pewno przechrztów i że po prostu chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia. Machlerz-rycerz powiedział, że jestem chrześcijański bastert z Krakowa. Ksiądz zaś kazał mi wykonać parę podskoków i przysiadów, co niezwłocznie zrobiłem. Wtedy skinął głową, potwierdzając, że się zgadza, wziął miecz i wrócił do ćwiczeń ze swoimi uczniami. Stali przez

chwilę z mieczami nad głową, potem bardzo powoli zrobili krok do przodu, jednocześnie opuszczając miecze tak, że ich sztychy celowały w ziemię. Książdz, niezadowolony, stanął bokiem do ćwiczących i powtórzył jeszcze raz ten sam ruch, najpierw bardzo powoli, jakby zanurzony w krzepnącym miodzie, a potem szybko, jak piorun: skoczył do przodu, chlastając powietrze ostrzem, aż świsnęło. I jał tłumaczyć poszczególne fazy ruchu, po czym kazał swoim uczniom wykonywać to, co nazywał przejściem z postawy vom tag, czyli „z dachu”, w której miecze celowały sztychami w powalę za plecami je dzierżących, do postawy alber, czyli głupiec, w której dotykały prawie podłogi przed nimi.

Patrzyłem na to zafascynowany, tak jak już zawsze potem, w istnym światowaniu i w umieraniu przezwiecznym patrzyłem na ćwiczenia z bronią – czy były to ćwiczenia w fechtoszulach, gdzie mieszczaństwo wprawiało się w robieniu bronią i w zapasach, czy wszystkie inne podobne sytuacje później.

Ćwiczenia szermierze Towarzystwa Gimnastycznego Sokół.

Strzelnica komsomolców, przyuczanych do trudnego fachu snajpera.

Poligon, na którym ćwiczy dywizja pancerna Waffen-SS.

Maneż, gdzie kawalerzyści układają swoje konie, a konie swoich kawalerzystów.

Laboratorium, gdzie testuje się gaz musztardowy, cyklon, fosgen i chlor, i soman, tabun i sarin, a potem patrzy się, przez nożycową lornetę, jak zatruci idą, trzymając się za ramiona, jak ślepcy z obrazu Breughla, chwiejny krok za krokiem, i jak płaczą, jak płyną im łzy z płonących oczu, albo jak umierają, tocząc z ust pianę, w drgawkach i konwulsjach. I zaczyna dudnić maxim, i zaczynają szczekać lewis i hotchkiss, i vickers, i schwarzlose, i sapać zaczyna przeciwnolniczy pom-pom, i świszczą gwizdki, i zgrzytają krótkie ostrza o blachę pochwę, i szczękają sprężyny w rękojeściach nasadzanych na lufy bagnetów. Zaraz, zaraz będą umierać. Jest tak pięknie.

I jeszcze Miejsce Ćwiczeń aantropicznych rycerzy i bojochodów chorągwi nadwornej Matki Polski: zajmujące ziemie przemyską, krakowską i sandomierską z mojego istnego światowania. W przeciwieństwie do reszty polskiej bukoliki wypalone do czarnego popiołu, ze sztucznymi miastami, z replikami niemieckich fabryk i zamków, gdzie wypuszczaliśmy pojmany żywce krzyżackich panzergrenadierów i freinachtjegrów, i knechtów, a aantropiczni rycerze przesuwali się jak cienie między betonowymi fasadami gniazd i dochodzili ich po jednym. A pod spaloną ziemią pulsuje miękkie białe ciało Matki Polski, słucha kroków swoich odzianych w pancerze synów, mężów i braci, i słucha kroków krzyżackich, i podpowiada swoim chłopcom, gdzie kierować mają spojrzenia, które zabijają.

Ćwiczenia we władaniu bronią mówią prawdę o mężczyźnie: inną prawdę, niż mówi o nim walka. Walczyć może każdy, bo nawet tchórza czy pacyfistę, każdego można do walki zmusić, czy to w obronie życia własnego, czy życia lub czci bliskich. Tylko bodhisattwy, świętego, zmusić nie można, święty sam decyduje, czy walczyć, czy ze świętą obojętnością przyjąć cios. Więc każdy może walczyć – ale we władaniu bronią ćwiczy się tylko wojownik.

Ten, który broni użyje nie tylko w ostateczności, lecz dla którego bojowanie jest jak dla innych szcicie butów lub wkładanie surowych chlebów do pieca. I to jest jakiś szlachetniejszy stosunek do świata i do zabijania, niż sięganie po broń tylko w całkowitej desperacji, kiedy nie ma już innego wyjścia. Dla tych, którzy rozumieją, na czym polega życie, broń nie jest ultima ratio, argumentem ostatecznym, dla nich broń jest argumentem pierwszym, bo jest tym, co najlepiej współdziała z organizującą życie zasadą.

Ale wy tego nie możecie zrozumieć, a ci spośród was, którzy mogliby, ci zapewne nie usłyszą moich słów. Wy wzdragacie się przed przemocą, uważacie przemoc za rzecz barbarzyńską, co jest głupotą, bo przemoc może być i barbarzyńska, i cywilizowana, tak jak barbarzyńskie i cywilizowane mogą być obyczaje kulinarne, erotyczne i wszystkie inne. A mężczyźni ćwiczący się w walce, według spisanych, ustalonych reguł, to jest właśnie wstęp do przemocy cywilizowanej, do wojny. Bo kiedy dzikus napada na dzikusa, to jeszcze nie jest wojna – wojna jest wtedy, kiedy jest rozkaz, obowiązek, odpowiedzialność, odwaga i tchórzostwo.

Wtedy, w istnym światowaniu, patrząc na mężczyzn ćwiczących zorn-hau, czyli potężne cięcie znad głowy, nie wiedziałem tego wszystkiego, ale w jakiś sposób to rozumiałem, tak jakbym czuł to przez skórę.

Wieczorami, żyjąc mysim życiem na moim strychu, wyciągałem ze schowka kozik i dźgałem nim powietrze, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego tak czynię – po prostu wiedziałem, że muszę, że powinienem być gotów, że muszę być ze swoją bronią zaprzyjaźniony, że jesteśmy razem, żeśm samowtór: ja i mój kozik.

I stało się to, czego już oczekiwałem, patrząc na ćwiczących: Wszesław podszedł do mnie i wyjaśnił mi, że będę teraz mieszkał w tym fechthausie. Skinąłem posłusznie głową i tak skończyło się moje życie myszy, zająca, życie w kamienicy, w której opiekowałem się kurami. Von Königsegg chciał, abym już tam nie wracał, ale ja zaprotestowałem żywo, musiałem wrócić, po płatek batystowy i po mój kozik, ukryte na strychu, a on zrozumiał i pozwolił.

Wróciłem więc. Nie powiedziałem nikomu ani słowa – zastanowią się, gdzie mogę być, ale nikt nie będzie za mną tęsknił, ani nikt nie będzie mnie szukał, bo to w końcu nie ich wina, żeśm zniknął. Wyciągnąłem te dwie rzeczy, które prócz szat, co je miałem na grzbiecie, stanowiły jedyny mój majątek, wyjąłem je ze schowka na strychu, mój kozik i mój płatek batystowy, schowałem za pazuchę i poszedłem do fechthausu.

Sala była już pusta. Ksiądz czekał na mnie w środku. Powiedział, że nazywa się Hanko Döbringer i że jest teraz moim panem. Skinąłem posłusznie głową. Następnie ksiądz powiedział, żebym sobie nie wyobrażał za dużo: że jestem brudnym, wendyjskim synem kurwy i że mam znać swoje miejsce. Odpowiedziałem mu hardo, że jestem królewskim bastertem, a wtedy ksiądz Döbringer wziął kij i stłukł mnie potężnie, każąc mi powtarzać, że jestem Hurensohn und schmutzig Wende: powtarzałem posłusznie, zwłaszcza że była to

prawda, byłem synem kurwy, byłem brudny i przynajmniej w jakiejś tam części, po moim ojcu królu, jak również z urodzenia, jako poddany korony polskiej, byłem Wendem – tak wtedy Niemcy często zwali żyjących między nimi Słowian. Kiedy skończył mnie bić, powiedziałem, że oprócz tego, że jestem Hurensohn und schmutzig Wende, jestem również bastertem króla Kazimira. Zbił mnie znowu, aż krew poszła mi z uszu, ale widziałem, że był zadowolony.

Wskazał mi miejsce, gdzie mam spać: na posłaniu rozścielonym pod ławą w sali szymirskiej. Przykazał wstać przed świtem, zamieść całą salę i następnie wyszorować deski – skinałem głowę, obcierając krew z rozbitych ust i nosa.

Następnego dnia rano ponownie dostałem lanie: ksiądz Döbringer stwierdził, że dotykałem mieczy.

Była to prawda, rzeczywiście ich dotykałem. Stały przy ścianie, wetknięte głowniami w drewniane uchwyty, sześć długich mieczy – langenschwer-tern o oburęcznych rękojeściach, jeden wielki zweihander, podobny do takich, jakimi za sto lat walczyć będą landsknechci, kilka kordów, kilka sztyletów o głowicach i jedlcach w kształcie dysków płasko położonych.

Nie odważyłem się wyjąć żadnej broni ze stelaża, ale przyglądałem się im długo i nie mogłem się oprzeć, aby opuszkami palców nie spróbować faktury obciążonych skórą rękojeści, czernionych jedlców i głowic, i sonej stali głowni, i tępych ostrzy poszczerbionych od ćwiczeń. Więc dotykałem i słusznie dostałem lanie.

Potem sprzątałem, potem dostałem chleba na śniadanie, a potem patrzyłem, jak przychodzą uczniowie i jak ćwiczą pod okiem mistrza Döbringera. Byli początkujący – mnie oczywiście wydawali się niedościgłymi mistrzami miecza, ale jedyne, co ćwiczyli, to cztery podstawy: z dachu, pług, głupiec i wół.

Od tego Döbringer rozpoczął swoje nauki, kiedy przychodzili doń początkujący: dawał im do rąk kije i mówił:

– Vier leger allain davon halt und fluch de gemain ochs, pflug, alber, vom tag, sy dit nit unmer.

Co znaczyło tyle, że te cztery postawy wystarczą i każdą należy znać. Potem pokazywał i ćwiczyli to, w nieskończoność, powoli przesuwali miecze dokoła siebie, vom tag, powoli do pflug, powoli do alber, powoli do ochs, potem szybciej i szybciej, kroki, cięcia. A ja patrzyłem, patrzyłem i słuchałem, nasiąkałem tym ezoterycznym językiem sali szermierczej, wonią stalowych, pociągniętych oliwą głowni i przepoconej skóry na rękojeściach.

I tak się zaczęło to, co skończyło się zdaniem, które zapisałem dziesięć lat później, w małej izdebce w glajwickiej kamiennicy: „Hie hebt sich an meister lichtenawers kunst des fechtens mit deme schwerte czu fusse und czu rosse bios und yn harnusche”. Co znaczy, że tu zaczyna się mistrza Lichtenauera (którego uczniem był ksiądz Döbringer) sztuka szermowania mieczem pieszo, konno, w zbroi i bez. Był to początek manuskryptu, który spisałem po śmierci Hanko Döbringera, jako najlepszy z jego uczniów, ręką własną. Tą samą

ręką, która Döbringerowi odebrała życie – bo tylko tak mogłem się upewnić, że już więcej się niczego od księdza nie nauczę.

Od przyjęcia mnie na ucznia upłynęły dwa lata, zanim mogłem dotknąć miecza bez narażania się na baty: po dwóch latach wolno było mi miecz zdjąć ze stojaka i wyczyścić, i odłożyć z powrotem. Ale mistrz Dobringer uczył mnie od samego początku, od wtórego dnia: najpierw uczyłem się chodzić. Oczywiście, zdawało mi się, że umiem już chodzić, nie był jeśm wiła. Ale szybko przekonałem się, że nie umiem, umiałem tylko przemieszczać się za pomocą przestawiania nóg, nie wiedziałem, jak to się dzieje, że ciało porusza się do przodu, kiedy przestawić nogi, a mistrz Dobringer pokazywał mi, jak przenosi się ciężar ciała, uczył mnie rytmu kroków, uczył mnie, jak zejść z linii ataku, pokazywał, kiedy lewą zostawić z tyłu jako zakroczną, a kiedy prawą, potem uczył, jak sprząć moje kroki z krokami przeciwnika w tym dziwnym tańcu, w którym mężczyźni stają naprzeciwko siebie, w oddaleniu i stawiają kroki jak odbite w zwierciadle.

Dla lepszego zapamiętania zasad – uczyłem się wierszyków autorstwa samego mistrza Lichtenauera, który był patronem całej fechtszuly – ksiądz Dobringer uważał się jedynie za skromnego karła, siedzącego na ramionach olbrzyma. Wierszyk dotyczący tego, jak stawiać stopy, brzmiał:

Wildu kunst schauen. Sich linek gen und recht mit hawen. Und linek mit rechten. Ist dafs du starek gerest fechten.

Co wiele lat później na polski przełożyłem, tłumacząc to jednemu rycerzowi gościnnemu u nas w komturii, któren był ze Szląska i po niemiecku nie bardzo gadał: Jestli stworność chcesz pokazać, prawiczną tnij, lewiczną idź. Lewiczną gdaż z prawiczej. Odpowiedników pobjujesz snadnie.

Co jest zresztą dobrym dowodem na to, żeśm był w istnem światowaniu talentów literackich całkowicie pozbawion.

Wieczorami zaś, po roku sprzątania fechthausu, zamiast kolacji ksiądz Dóbringer jął uczyć mnie trivium, to jest logiki, łacińskiej gramatyki i retoryki.

Zachęta do nauki była prosta: dobrze wykonane ćwiczenie, w sali czy przy pulpicie, pozwalało uniknąć ciosu księżowskim kijem. Kiedy się myliłem, kij Dóbringera walił mnie w czaszkę tak, że czasem traciłem przytomność.

Uczył mnie też trzymać broń – zamiast miecza brałem kij, gruby jak kciuk dorosłego mężczyzny, mistrz też brał kij i pokazywał mi, jak ma się kij układać w dłoniach, pokazywał, jakie są cztery podstawowe uderzenia, i wreszcie uczył najważniejszego, a jednocześnie najprostszego, pierwszej zasady walki: ten kto się broni – przegrywa.

Z kijem uczyłem się więc tego, co w szymirstwie najważniejsze, pięciu słów, pięciu zasad: vor, noch, swach, stark, indes. Co znaczy „przed”, „po”, „słaby”, „silny” i „podczas”. W tym zawiera się cała mądrość szymirza. „Przed” i „po” oznaczają czas, w którym uderzamy na przeciwnika. Dobry szymirz uderza vor – zmuszając przeciwnika do działania

noch.

Pierwszy atak nie musi zabić, chociaż, kiedy opuściłem Noremberk, wiele walk rozstrzygnąłem, zanim mój wróg spostrzegł się, że walka już trwa. Zufechten, czyli wszystko to, co przed właściwym starciem, kiedy ciosy się już wymierza, trwało zwykle dwie sekundy, tyle trzeba mi było, żeby dobyć miecz z pochwy i skończyć walkę potężnym oberhaw wymierzonym w lewy obojczyk. Jeśli cięcie dobrze wyszło, skutkowało to odrąbaniem łba razem z prawym ramieniem, oddzieleniem ich od reszty męza, którego zajęty był robieniem strasznych min, poprawianiem troczków u nogawic, spluwaniem w garści i układaniem dłoni na mieczu, i nie wiedział, że to już, że już walczymy. Myślał, przyzwyczaj on do burd z różnymi łotrasami a zarębaczami, że teraz jeszcze jest czas na tokowanie, na puszenie się, na pokazywanie swej siły i zręczności, jak jelen samiec robi, aby samą swoją straszną postacią rywala odegnać; słowem, na to, aby walki uniknąć, przestraszywszy przeciwnika – jednak mylił się, walka trwała już wtedy, kiedy jeszcze mówiliśmy, a ja już robiłem krok nazad, już wymierzałem odległość. Więc go zabiłem pierwszym ciosem, bo paduch nie wiedział, że to już. Ale ja już zdecydowałem i od kiedy zdecydowałem, że będziemy walczyć – walczyłem, chociaż miecz spoczywał jeszcze, ślepy, w pochwie.

Czasem jednak pierwszy atak nie zabija, ale wtenczas i tak ma się przewagę: wróg działa noch, musi się bronić, a ja mam inicjatywę, mam vor, i będę atakował tak długo, nie odpuszczając vor ani na moment, aż w końcu zabiję.

Ab is mögeliich were und treibe umbermer eyns noch dem andern rischlich und kiinlich, ab eyns vele, das das ander treffe und vorgank habe, und das io iener, mit nich te czu slage korne – tak napisałem później, w mojej izdebce w Glywicach, spisując nauki Lichtenauera, przekazane mi przez mojego meistra. A znaczy to, że zawsze jedno cięcie po drugim musi następować szybko i odważnie, od razu, i jeśli jedno chybi, to następne trafi, a wróg nie będzie miał czasu samemu zaatakować, zajęty obroną, tak długo, aż trafię. I zabiję.

W tych rzadkich przypadkach, w których chcę oszczędzić kiepusia, który stanął przeciw mnie – rozbiję, powalę na ziemię, ogłuszę głowicą albo w zwarciu tak poharatam dłoń jakimiś strasznym schnitt, że przetnę ścięgna i miecz sam wysunie się z okaleczonych dłoni.

I po to właśnie jest „stark” i „schwach”. Kiedy nasze miecze się zetkną, od razu czuję, czy wróg ustępuje, czy naciska swoją klingą. A zasada jest żelazna: sile przeciwstawiam słabość, słabości siłę. Jeśli jego miecz ustępuje – ja przycisnę i zepchnę jego zasłonę, i zabiję. Jeśli naciska – ja ustąpię i zasłonę obejdę. I zabiję.

Indes zaś jest najważniejsze. Vor i noch wystarczają, aby pokonać tępego chłopca, który nie jest godzien miecza dotykać, a jednak nim wymachuje z całą siłą, jakiej nabył, młóćąc żyto. Indes zaś służy do tego, aby pokonać kogoś w szymirnstwie stwornego.

Indes to nie technika, indes to takie szczególne wyczucie walki na miecze, które mają tylko niektórzy, tylko ci, którzy mogą stać się wielkimi meistrami szymirnstwa. Indes to szczególny chronometr, sprzęgający oko, mózg i mięśnie, który pozwala wykonać ansetzen

dokładnie w tym momencie, w którym wróg już sądzi, że jego straszne cięcie rozpląta mnie na dwoje. Jego miecz już leci, już zmierza do mnie, a ja przecież się nie zasłaniam, dobry szymirz w ogóle się nie zasłania, bo kto się zasłoni przed jednym ciosem, zaraz musi zasłonić się przed drugim i trzecim, i czwartym, i któryś w końcu trafi – ale ja nawet nie schodzę z linii cięcia, ani nie odsuwam się do tyłu, ja wchodzę w to cięcie, wykorzystując mgnienie oka trwający moment bezbronności atakującego i wsadzam mu sztych w pierś, aż wychodzi w drugą stronę a jego oberhaw wędnie, zanim dosięgnie celu, mnie zresztą już tam nie ma, jestem bliżej, wy-szarpuję miecz, bo tego mnie nauczono, zaraz wyszarpnij, oceń sytuację, dokończ, jeśli trzeba, więc oceniam, stoi, żyje jeszcze, więc obalam na ziemię i dokańczam.

I tako proście ubił jeśm rzeszańskiego meistra Dóbringera, gdaż przyszła k temu godzina, a potem nawrócił jeśm był k Krakowowi, gdaż miał jeśm lat dwadzieścia a miecz, a stworność szymirską miał jeśm.

Leć przedzej miał jeśm lat pięćnaście i wyrósł jeśm na wyższego od mojego meistra i pana, na szczęce i pod nosem pojawił mi się cień brody, obcowałem już cieleśnie z niewiastą, a meister Döbringer ciągle nie pozwalał mi ćwiczyć z mieczem. A ja sam nie miałem odwagi złamać tego zakazu, chociaż miałem wiele okazji i teraz potrafiłbym to zrobić, to jest zdjąć miecz ze ściany tak, że Döbringer niczego nie mógłby zauważyć: jednak tysiące razów kijem wykształciły we mnie posłuszeństwo bezwarunkowe.

Poznałem ćwiczących u Döbringera: w znakomitej większości byli to zamożniejsi mieszczanie, mistrzowie i czeladnicy. Często zajeżdżali do Noremberku rycerze: wtedy ksiądz zamykał szkołę dla łyków i prowadził ćwiczenia rycerskie, harnischfechten, to jest walkę w zbroi mieczem, zapasy w zbroi i walkę w zbroi z pugiłami. Mieczem w zbroi walczy się zupełnie inaczej, miecz służy wtedy jako krótka włócznia, dzierżony w halbschwert, to znaczy w półmieczu, kiedy lewa ręka puszcza głowicę a chwyta za głównię, ostrze. A czasem nawet miecza używa się jako maczugi albo młota: waląc przeciwnika na odlew, jedlcami, w hełm.

A czasem meister Dóbringer zamykał szkołę całkowicie i to na długo – to wtedy, kiedy przyjeżdżali doń jego najważniejsi uczniowie, ci, którzy uczyli się nie tylko szymirskiej stworności, ale którzy mieli tej stworności zostać meistrami, nauczyciele posiadający już własne szkoły w innych miastach.

A więc przyjeżdżali: młody Pióter z Gydańska, któren mówił po polsku i czuł do mnie jakąś sympatię, co mnie cieszyło, bo poza tym to gadałem wyłącznie po niemiecku. Przyjeżdżało też dwóch Żydów: Andres Lignitzer, czyli z Lignicy, który również parę słów po polsku potrafił powiedzieć i miał prawie kompletną, rycerską zbroję, bo uczył głównie walki w zbroi właśnie oraz wielki jak niedźwiedź Ott, przechrta i zapaśnik. Przyjeżdżał Ondra z Glywic, ze Szląska, jednoręki Czech, który długim mieczem nie walczył z powodu braku lewego ramienia, ale za to był znanym meistem w fechtunku na kordy, a poza tym znał

na pamięć cały przekaz mistrza Lichtenauera, wszystkie dwieście pięćdziesiąt wersów podzielonych na pięć części: „Die vorede”, czyli przedmowę, „Die gemain lere”, czyli naukę ogólną i następnie „Blossfechten”, czyli walkę długim mieczem bez harnaszowania, i „Roftfechten”, czyli walkę konną mieczem i kopią, i wreszcie „Kampffechte”, czyli walkę bitewną, w zbroi pieszno, długim mieczem, włócznią i pugińalem.

Przyjeżdżali też mistrzowie z północnej Italii, przyjechał Fiore Furlano dei Liberi z Udine i rozmawiał z meistrem Dóbringerem jak równy z równym.

Po tym, jak Fiore wyjechał, a była to niedziela wielkanocna tysiąc trzysta osiemdziesiątego szóstego roku, nadszedł poniedziałek wielkanocny, a potem był wtorek i rano, kiedy już wypełniłem moje obowiązki, to jest wysprzątałem fechtsalę, napaliłem w piecach, bo było ciągle chłodno tej wiosny, meister Dobringer przyszedł do sali z mieczem w ręku, stanął przede mną, chwycił miecz za głownię i podał mi.

I tako pirwy raz mój miecz w garzci dzerzył jeśm.

I to był mój miecz: ten sam, który z garści wypuściłem, umierając po raz pierwszy i ten sam, który był ze mną przez całą resztę mojego życia. Mój miecz.

Z głownią długą na trzy stopy w jedną bruzdę i dwie strudziny ciągnioną, z jedlcem i rękojeścią długimi każde na stopę, z głowicą w kształcie grzyba i ozdobioną krzyżem.

Książd nic nie powiedział, tylko zaczął swoje ćwiczenia rozciągające.

Tego dnia ćwiczyłem już z mieczem, chociaż do ćwiczeń meister polecił mi wziąć inny, ćwiczebny, z grubą krawędzią: mój był wyostrzony. Kiedy wszyscy uczniowie poszli do domu, książd odczytał swoje psalmy, ja razem z nim, a potem książd Dóbringer przyniósł słomiany snopek, pokazał mi, jak okręcić go mocno powrozem, tak aby powstała zbita w sobie bela słomy, jak dobrze namoczyć ją wodą, po czym ustawił tę słomę w sali i zaczęliśmy ćwiczyć cięcia.

Wiele czasu minęło, zanim mój miecz zaczął przez słomę przechodzić tak, jak miecz Dóbringera: jak brzytwą ucięte, słomki poszczególne nie połamane, a płaszczyna przecinająca belę równa jak powierzchnia stołu.

Ale w końcu się tego nauczyłem.

Był rok tysiąc trzysta osiemdziesiąty dziewięty, miałem dziewiętnaście lat, sześć stóp i osiem palców wzrostu, i ważyłem osiem kamieni, to znaczy byłem junoch rosły i potężnie zbudowany, a na tę wagę składały się kości i mięśnie, i nie znalazłbyś na moim ciele odrobiny tłuszczu. Nosilem długie włosy, nie trefiłem ich zbyt starannie, twarz goliłem gładko, a ubierałem się bardzo skromnie, bo nie miałem prawie żadnych własnych pieniędzy. Ale miałem swój miecz i miałem ciało posłuszne, młode, sprawne, sprężyste. Znalazłoby się w Noremberku wielu lepszych ode mnie w mieczu; ale w zapasach, jeśli nie przebywał akurat w mieście jakiś meister, nie miałem sobie równych. I dziewczki mnie lubiły, lubiły na mnie patrzeć, jak prężą się mięśnie w nogach i huznie, pod obcisłymi nogawicami. Uważałem tylko, że rzapie z przyległościami mam bardzo skromne, więc sączeek wypełniałem sobie

gałgankami, żeby się lepiej prezentował.

I to był dobry czas. Meister Döbringer rzadko mnie już bijał, bo swoje obowiązki znałem na wylot i wypełniałem pilnie. Czasem tylko wpadał we wściekłość, kiedy po raz kolejny stanowczo odmawiałem przyjęcia tonsury i niższych święceń i udania się na jakiś uniwersytet, co meister był skłonny nawet sfinansować, a uważał, że byłoby dla mnie właściwą drogą, bo trivium opanowałem dawno temu, pięknie pisałem, dobrą miałem pamięć do wierszy i Döbringer twierdził, że powinienem studiować i zostać uczonym. Ale ja nie chciałem, mnie interesowało tylko robienie mieczem, i odmawiałem, a wtedy Döbringer wpadał we wściekłość i tłukł mnie kijem.

Ale to nie zdarzało się zbyt często. Miałem u niego utrzymanie, pracować w fechtthausie lubiłem, mogłem czasem wymknąć się wieczorem i biegłem zaraz do jakiejś luźnej dziewczki – praczki, służącej czy pomywaczki, było ich parę, powodzenie miałem niesłychane, bo nie tylko byłem piękny i rosły, ale pociągał je również nadzwyczajnie mój nieokreślony status społeczny: z jednej strony byłem kimś w rodzaju cyrkowca, a więc należałem do tego samego gatunku co machlerz, żebrak, duchna i aktor, ale z drugiej, byłem uczniem samego mistrza Döbringera, który, chociaż szymirz, był jednak księdzem. Umiałem pisać i liczyć, łacinę znałem nie najgorzej, na tyle, w każdym razie, na ile mógł mnie jej Döbringer nauczyć. I czarni bogowie nie przychodzili do mnie, spali gdzieś głęboko we mnie, uśpieni jeszcze przez księdza kanonika w Pradze i nie przebudzili się ani razu.

I tego roku ponownie odwiedził mnie machlerz Wszesław, to znaczy rycerz von Königsegg. Wróciłem od jednej z dziewczek, zmęczony, bośm ją trzy razy wycudził, a on siedział sobie w fechtthausie, gdzie dalej sypiałem i czekał na mnie. A kiedy przyszedłem, wstał, zbliżył się do mnie, chwycił za ramiona i powiedział po niemiecku, że mam wrócić do Krakowa i upomnieć się o to, kim jestem: królewskim bastertem, któremu należy się przynajmniej pas rycerski.

A ja na to, że przecież jestem na terminie u meistra Döbringera i że nie mogę tak po prostu odejść. Von Königsegg zgodził się ze mną – tak po prostu odejść nie mogę, to jasne, muszę najpierw zabić Hanka Döbringera, mojego mistrza i nauczyciela.

A ja nie byłem już tym dziesięciolatkiem, który żył życiem myszy i który wykonywał rozkazy, z tego powodu tylko, że ktoś je wypowiadał, nie potrzeba mu było wtedy innych powodów. Teraz byłem roslym szymirzem, z mieczem w ręku albo z kordem, puginałem, w harnaszu czy bez, dałbym radę niejednemu rycerzowi, a z każdą bronią ćwiczyłem codziennie. Umiałem nawet jeździć konno i robić mieczem z konia, tylko kopiać się nie uczyłem robić, bo meister Döbringer uważał, że to przystoi tylko rycerzom.

Więc byłem już kimś innym. I odpowiedziałem Wszesławowi, który nie był żmudzko-polskim machlerzem z Krakowa, tylko niemieckim rycerzem von Königsegg, że to w ogóle niewyobrażalne, że nigdy nie zabiję mojego mistrza i dobrodzieja, i żywiciela, który wziął mnie na utrzymanie i stworność szymirską dał mi jest. I że prędzej zabiję tego, kto mnie do

zabójstwa mojego dobrodzieja namawia, niż bych miał jego ubić. A nie zabrałem życia człowiekowi od czasu kiedy jeśm Tworzyjankowi je zabrał.

A wtedy rycerz von Königsegg, który był Wszesławem machlerzem, rzucił się na mnie i obalił mnie tak łatwo, jakbym dalej był wątłym dziesięciolatkiem, a nie rosłym zapaśnikiem, któren zapasów uczył się od samego Otta Żyda. Więc obalił mnie na podłogę i usiadł mi na piersi jak strzyga, wydusił ze mnie powietrze i palce zacisnął mi na gardle. I powiedział do mnie po polsku, że zabiję mistrza Döbringera i pojedę do Krakowa, bo to jest moje prawdziwe życie, a jeśli bym wolał nie pojechać, to on mnie od razu zabije, bo nie jestem godzien tego, żeby żyć naprawdę.

I pytał mnie: czy życie cyrkowca, sztukmistrza, który na jarmarkach daje pokazy walk na miecze, czy to jest życie, do jakiego uważam się być stworzonym? Czy jako krolowic, bastert króla Kazimira, nie zasługuję przynajmniej na to, aby być rycerzem jaśniejącym, aby żyć dwornie, prawdziwie, nie grubo, jak chłopi?

Czy więc chcę być rycerzem?

To było tak, jak zapytać: czy chcę być człowiekiem, czy wolę dalej żyć jako bydlę ludzkie?

Rycerz ma Ehre, honor, który wywyższa go ponad gburów i przewyższa wszystko, co dla grubian najdroższe. Tacy jak ja mogą tylko pożądać niewiasty, a rycerz potrafi niewieście służyć – my, plebeje, służymy tylko możniejszym od nas, a on służy tym, co są od niego słabsi i mniejsi.

My zrobimy wszystko, aby życie zachować – a rycerz życie chętnie odda dla sławy i dlatego żyje naprawdę, bo życia nie ceni nadmiernie.

My podejmujemy walkę tylko wtedy, kiedy wierzymy w zwycięstwo, rycerz walczy nawet, jeśli spodziewa się klęski, dlatego walczy tak pięknie. Nasza walka jest zwykłym zabijaniem, walczymy tak, jak walczy osaczony przez wilki jeleń, nasza walka jest bydłęcą. A rycerz, walcząc dla samej walki, czyni z niej dzieło sztuki, bo walka staje się ludzka wtedy, kiedy jest celem samym w sobie, nie tylko środkiem lub ostatecznością.

My gromadzimy bogactwa przez oszczędność i skąpstwo, rycerz gromadzi bogactwa po to, aby je rozdawać tym, którzy na to zasługują i tym, którzy nie zasługują, bo rycerz rozdaje bogactwo nie po to, aby się wkupić w czyjeś łaski, tylko po to, aby rozdawać.

My ruszamy w podróż tylko wtedy, jeśli mamy w tym jakiś interes, jedziemy z miasta do miasta, aby coś u celu podróży załatwić. Rycerz zaś podróżuje, bo godnie jest rycerzowi podróżować i jedzie przed siebie, czekając ciekawie na to, co spotka go następnego dnia.

I nawet: myjemy, aby zaspokoić głód, aby mieć siłę do każdodzienniej pracy, a rycerz je, bo godnie jest ucztować.

Oczywiście, takich rycerzy nie ma, nawet Zawisza nie był dokładnie taki, ani Bartosz z Wezemborku, któregośm widział w drodze do Noremberku, ani nikt w ogóle prawdziwy, tacy rycerze są jedynie na kartach chansons de geste, a więc bytują jakoś w przewiecznym

umieraniu ci wszyscy Parzivale Wolframa von Eschenbach, te Lanceloty, Rolandy i Artury Chretien de Troyes, bo tam w przewiecznym umieraniu bytują wszyscy możliwi ludzie wszystkich gałęzi historii, ale w moim istnem światowaniu tacy się nie zdarzali. Więc bywali tacy, co byli rycerzami, a byli chciwi, nie adorowali dam, tylko je gwałcili, byli chciwi jak żydowski lichwiarz i tchórzliwi jak ormiański kupiec, nienawidzili poezji i uderzali podstępnie, a mimo to byli rycerzami. Ale kiedy ktoś pożył rycerskiego pasa, to przecież nie pożył życia tchórzliwego i skąpego, tylko tej jego idealnej formy. Bo nawet w tych upadkach i słabościach, w chciwości i tchórzostwie, znajdowali coś, co ich na końcu ku rycerskiej doskonałości pchało: z chciwości wyrastała w końcu hojność, z tchórzostwa rozważa (i to, że żyli na tyle długo, aby o swych czynach opowiedzieć) – i byli rycerzami, choć nie doskonałymi, żaden z nich, ale bez wątpienia byli rycerzami.

A ja byłem zupełnie bezbronny, słaby, byłem myszą w pazurach krogulca. I rozumiałem, że rycerz von Königsegg, czyli machlerz Wszesław, miał albo mieli obaj nade mną jakąś dziwnej natury władzę. Nie jest to taka władza, jaką miał nade mną Dobringer, nie jest władza pana nad sługą, lecz władza jeźdźca nad koniem. Konia jeździec może bez trudu zmusić do skoku z przepaści albo do biegu tak długo, aż koń umrze z wyczerpania. I ja, mimo strachu i niechęci, wiedziałem, że nie mogę się oprzeć machlerzowi.

A on, to znaczy rycerz von Königsegg uśmiechnął się ciepło, puścił moje gardło i wstał lekko, uklonił się dwornie i wyszedł.

A ja zostałem sam i nie spałem całą noc.

Ostrzyłem miecz, najpierw na wprawianej nogą w ruch szlifierce z wielkim kamiennym kołem, potem przy użyciu oliwy i ręcznej oselki, a w końcu tylko polerowałem ostrze skórą, i było jak brzytwa, z jednej strony głowni krótsze, z drugiej dłuższe, żeby łatwo można było chwycić je w halbschwert, nie pokaleczywszy zbytnio dłoni. Jedlce nieco się ruszały, a że nie chciałem rozpałać paleniska na podwórzu, potrzebnego, żeby miecz roznitować, ściągnąć głowicę, rękojeść i na nowo jedlce osadzić, to tylko unieruchomiłem je prowizorycznie, wbijając od strony głowni klin z twardego drewna.

Rychtowałem mój dobytek do drogi: cały prowiant, jaki udało mi się znaleźć, kaptur chroniący głowę i ramiona, torbę, kij podrózny i derkę do spania. Chociaż wcale nie byłem pewien, czy będzie mi to wszystko potrzebne, bo przecież mistrz Döbringer najpewniej pokona mnie bez wysiłku. Ze schowka wyciągnąłem mój płatek batystowy z królewskim „K” i kozik, którym ubił jeśm był Tworzyjanka, przedmioty najdroższe mojemu sercu.

W końcu założyłem najlepsze nogawice i sącdek wypchany gałgankami, i trzewiki krakowskie, które podarował mi Ondra z Glywic, założyłem cotehardię i kaptur, kaptur zawiązałem pod pachami, ale luźno, żeby nie przeszkadzał w walce, i przepasałem się, do pasa przypiąłem puginał, który nie był mój, tylko mistrza Döbringera, i miecz mój własny, piękny, wiele razy bruszony, w pochwie, którą uszyłem sam, i czekałem.

A rano przyszedł mistrz Döbringer. A ja dygotałem, jakby w febrze, serce biło mi jak

młot i pulsowały skronie. A mistrz Döbringer tylko spojrzął na mnie i zrozumiał.

Nie miał miecza, bo przecież nie chadzał z mieczem po ulicy, nie było wtedy takiego zwyczaju, dopiero potem zwyczaj chodzenia z bronią przy boku nastął, najpierw w Hiszpanii, a potem w całej Europie, ale oczywiście nie dotyczył księży, zresztą potem nie było już księży, co uczyłiby szermiśtrwa, ale wtedy właśnie szlachcice zastąpili rycerzy i żaden szlachcic przez następne trzysta lat z domu bez żelaza u boku nie wychodził, a potem wydało im się to głupie i nikt już nie chciał tych „starożytnych noży”, jak mówili, przy boku nosić i właśnie wtedy starą szlachtę zastąpiła nowa, ani lepsza, ani gorsza od poprzedniej, ale uzasadnienie swej szlacheckości z innych już źródeł wywodząca.

Döbringer zerknął zaś na miecze przy ścianie stojące, potem na mnie i pojął, że nie zamierzam zabić go bezbronnym. Więc podszedł do stojaka powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku i wyciągnął swój długi miecz o prostych jedlcach i podłużnej, gruszkowatej główicy, ciągniony w jedną strudzinę i dwie bruzdy, a potem, dalej nie spuszczać ze mnie wzroku, jął rozwiązywać troczki swojej księżowskiej szaty, a ja czekałem.

I zrzucił mistrz Döbringer swoją szatę, i stanął przede mną w nogawicach i lnianej koszuli, mały i muskularny, z wielkim brzuchem, wiedziałem: szybki jak sokół i waleczny jak sokół. Mój nauczyciel, jedyna ojcowska figura w całym moim istnem światowaniu, bo nie był mi ojcem machlerz Wsześław, chociaż mnie miłował.

Wyjąłem miecz z pochwy, a Döbringer natarł na mnie natychmiast, nie czekając, aż oswoję się z myślą, że zufechten już się zaczęło, uderzył na mnie tak jak mnie uczył, od razu z całej siły, z pełną prędkością, skoczył z mieczem w vom Tag i uderzył potężnym oberhaw, a więc cięciem po skosie z góry, z prawej strony, wymierzonym w mój lewy obojczyk, a więc miał vor, w tym cięciu najprostszym, a jednocześnie dowodzącym najwyższego mistrzostwa, w swojej prostocie więc niesłychanie złożonym.

A ja zrobiłem dokładnie tak, jak mnie uczył, to znaczy odzyskałem vor. Kiedy nacierał na mnie, stałem w pozycji pflug, to jest z rękojeścią miecza przy prawym biodrze, z nadgarstkami skrzyżowanymi i ze sztychem skierowanym w twarz księdza Döbringera, z zapraszająco niebronionym lewym otwarciem, na które on natarł, ufając, że zmusi mnie do obrony.

Patrzyłem tylko na rękojeść jego miecza, tak jak mnie uczył, to trudne, lecz to po rękojeści najszybciej widać, jaką akcję przedsięwziął przeciwnik. Więc Döbringer ufał, że zmusi mnie do obrony, lecz ja natarłem indes: wszedłem w cięcie mojego meistra, podnosząc miecz z prawego pług do prawego wołu, to jest ciągle na skrzyżowanych nadgarstkach podniosłem rękojeść miecza do głowy; i klinga osłoniła mnie przed cięciem księdza, ja natychmiast wykonałem to samo oberhaw, co on, dokładnie symetryczne i mój miecz wszedł w lnianą koszulę i w tłustą pierś księdza Döbringera, cięcie nie było dobre, na mocno zgiętych rękach, słabe, ale ja nawet tego nie zauważyłem, bo cały byłem skoncentrowany tylko na tym, żeby po cięciu nie stracić inicjatywy, więc od razu po cięciu przeszedłem do ringen am

schwert, to jest do walki w zwarcu, w kontakcie, po niemiecku znaczy to dokładnie „zapasy po mieczu”, głowicą wyrznięłem Döbringera w twarz, przestawiając swoją prawą nogę za jego, i obaliłem go tak na deski, i już chciałem kończyć pchnięciem w pierś, ale zatrzymałem się.

Walka trwała dwie sekundy, nie więcej. Rana w karku była śmiertelna, gdybym uderzył lepiej, byłby trupem zanim zdążyłby upaść na ziemię, tak umrze w ciągu paru minut. Ocenilem sytuację: miecz wyleciał mu z ręki, leżał daleko, nie widziałem, żeby miał na podorędziu jakiś sztylet, mógł mieć ukryty, ale ręce miał na widoku, obie. Jego pulchne dłonie o krótkich palcach nagle wydały mi się słabe, prawie dziecięce.

Zakrtusił się krwią, zakasłał i zaczął mówić, szybko, bał się, że zabraknie mu tchu. Powiedział, gdzie jest sakiewka, w której ma sto groszy praskich, mam ją zabrać. A jest w skrzyni, tam również jest pergamin, niezbyt dużo, ale wystarczy, pióra i atrament, to też mam zabrać, ze stajni wziąć podjezdka, na którym zwykł był jeździć, i uciekać czym prędzej z Noremburgi, zanim go tu znajdą. Uciec gdzieś daleko, po czym spisać całą naukę, jakiej zdołał mnie tu nauczyć, a manuskrypt umyślnym posłać do benedyktyńskiego opactwa w Melku, do brata Wenclausa. Jeśli to zrobię, to on, Döbringer mi przebacza i odpuszcza swoją śmierć.

– Mein dienfit ewer liebe – odparłem. Co znaczyło, że służę waszej miłości. Dziwnie to oczywiście brzmiało, zważywszy, żeśm Döbringera ubił przed chwilą, ale tak właśnie nawykłem mu odpowiadać, więc tak mu odpowiedziałem, zwłaszcza że zamierzałem dokładnie spełnić to, czego ode mnie żąda.

Döbringer sięgnął pod koszulę, ja zamarłem, czy aby nie próbuje wyciągnąć jakiegoś noża, jednak wyciągnął tylko kluczyk uwiązany do rzemyka, który nosił na szyi. Nie zdołał już mi go podać, umarł.

A ja wziąłem kluczyk, otwarłem skrzynię i zabrałem to, o czym mówił Döbringer, i tym sposobem stałem się człowiekiem posiadającym pieniądze, po raz pierwszy w życiu. Sto groszy praskich to nie był jeszcze majątek – ale dorzucić można do tego podjezdka karego, wałacha imieniem Allium, czyli po prostu Czosnek, jakieś zaraz na niego po polsku zaczął wołać, oraz dwa miecze, najlepsze z tych, któreśm znalazł w fechtschuli i pergamin, i inkaust. Ale prawda – pergamin i inkaust zużyć zamierzałem na spełnienie życzenia meistra Döbringera, nie na własne potrzeby. Sto groszy praskich, w każdym razie, to tyle, co dwa nie najlepsze podjezdki, takie jak mój – teraz już mój, bośm go sobie zrabował. Albo trzy woły. No ale majątek to nie był, żeby stać się panoszą, musiałbym mieć wieś, a wieś w Polsce, i to taka z tańszych, kosztowała co najmniej z dziesięć tysięcy groszy.

A gdybym chciał kupić uznanie tego, kim powinienem być, gdybym chciał kupić sobie pasowanie na rycerza, to pewnie i stu tysięcy mogłoby zabraknąć.

Więc nie czyniły mnie te pieniądze bogatym, ale czyniły mnie, przynajmniej na jakiś czas, człowiekiem wolnym. Dalej luźnym, ale wolnym w tym znaczeniu tego słowa, jakiego

wy moglibyście użyć, w waszym wątku historii. Zabiłem Dobringera i nagle nie miałem już pana. Nie byłem też żebrakiem, którego panem jest każdy przechodzień, tak jak każdy przechodzień jest panem duchny, szukającej patrona na ulicy.

Spakowałem więc pergamin i inkaust, spakowałem miecze, to znaczy złożyłem je wszystkie trzy razem i owinąłem dwoma owczymi skórąmi i powrozem w zgrabny pakunek, żeby nie rzucać się zbytnio w oczy na gościńcu. Dwa świetne, należące do Dobringera i jeden mój, najważniejszy, ten, którego towarzyszył mi przez całe życie, mój miecz, coś go od Dobringera dostał, kiedy meister ów uznał, żeśm już miecza godzien.

Ale w podróży miecz jeno zawadza, więc do pasa przypiąłem kord, zwykły, z nożową rękojeścią z dwóch rogowych okładzi, lecz z solidnymi jedlcami, i przez całą drogę nieszczęścia mnie omijały, więc kordą nawet z pochwy dobywać nie musiał jeśm.

Cały mój dobytek, stary i nowy – zrabowany – przytroczyłem do siodła i uciekłem z Noremberku.

Uszedł jeśm z Noremberku, uszedł jeśm z Rzeszy, uszedł jeśm od Rzeszanów, k Szląsku. Spał jeśm we gozdach, we buczynach i dębinach, a jachał jeśm barzo snadnie.

I myślałem o tym, jak dobrze będzie wreszcie znaleźć się między swe-mi, bo Polaków wtedy uważałem za swoich, tak słabo ich pamiętałem z mego dzieciństwa w Krakowie, i cieszyłem się, że będę mógł mówić po polsku znówu, i szybko miałem się przekonać, że nigdzie nie jestem u siebie, że polska nacja nie chce mnie tak samo jak niemiecka.

I tak przez całe moje istne światowanie – uciekałem od Polaków ku Niemcom, a od Niemców ku Polakom, a nikt mnie nie chciał, nigdzie nie byłem chciany. I w istnem światowaniu bolało to najmniej, w istnem światowaniu nie bardzośm rozumiał, kto jest Polak, a kto Niemiec, bardziej się liczyło, czy ktoś jest handlerz, czy sedlak wiejski, czy luźny człowiek, jak ja, czy pan, czy cham.

Ale oczywiście już wtedy było „soczewica koło miele młyn”, którym rycerze mojego dziada ojczystego, to jest króla Władysława, po buncie voigta Alberta w tysiąc trzysta dwunastym roku próbowali, czy kto swój, czy Niemiec i potem, tych, co wymówić poprawnie nie umieli, rżnęli owi rycerze mieczami za zdradę albertową. A w wielu rzeszańskich miastach żaden Wend nie mógł zostać obywatelem, nawet jeśli dobrze mówił po niemiecku i zabraniali kobietom żenić się z Wendami, i nie mógł Wend kupić domu ani kamienicy, i zdawał się Rzeszanom Wend kim wstrętnym a groźnym.

Ale to była zwykła człowiekowi i całkowicie zdrowa niechęć do obcych. Obcy jest wrogiem, to człowiek wiedział już chyba zanim stał się człowiekiem, wiedzą to bydłeta. Zaprzeczać tej wiedzy to jak zaprzeczać podstawowej konstytucji ludzkiej. Więc temu nie można się dziwić. A nie było jeszcze wtedy, w mojem istnem światowaniu, narodu. Narodu jako tego, co za waszych czasów stało się rzeczywistością absolutyzującą całą kulturę, bo i muzea macie narodowe, i muzykę narodową, jak te cudne lieder Schuberta, których słuchał von Egern w Ewiger Tannen-berg, i sporty narodowe, i narodowy charakter, i potrawy

narodowe, i narodowe alkohole, i narodowe święta, i narodowe języki, i narodową architekturę, jak dworki Matki Polski, w których otwierają się jej łona dla audiencji mnożnych i gdzie pociechę i odpoczynek znajdują ań-tropiczni rycerze polscy.

A w moim istnem światowaniu byli Polacy i Niemcy, i Czesi, i Szlą-zacy, i Francuzi tacy czy inni, ale to ich określało niejako przygodnie, mniej niż to, że byli rymarzami, handlerzami albo rycerzami, poddanymi swoich królów i synami swoich ojców i, potrafiąc się odróżnić od innych po kryterium języka, nie czuli przecież ze swoimi żadnej wspólnoty szerszej niż granice własnej pozycji społecznej. I to wcale nie rozumianej w sensie klasowym: mistrz rymarski Josef Schitzler z Krakowa był przede wszystkim mistrzem rymarskim, synem starego Schitzlera, również mistrza rymarskiego, był przełożonym swych czeladników i uczniów, ojcem swoich synów i córek, mężem swojej żony – i tak o sobie myślał, nie w kontekście przynależności do klasy społecznej „patrycjat miejski”.

I w moim istnem światowaniu nie zadreślałem się moją dwujęzycznością, ani matką – Niemką, ani ojcem – Arcypolakiem (bo polskim panem przyrodzonym), i bardziej bolało mnie to, że świat nie uznaje mojej przyrodzonej godności, że dla świata jestem tylko człowiekiem luźnym, wyłączonym z wszelkiej wspólnoty z resztą ludzi. A powinienem być oficjalnym królewskim bastertem, bo miałem w żyłach krew króla Kazimira. Ale już wtedy jakoś czułem, że jestem pomiędzy: pomiędzy Krakowem a Noremberkiem, pomiędzy moją matką mieszczką a moim ojcem królem, pomiędzy ludźmi, których nie ma a ludźmi, którzy są, bo mają domy, cechy, zamki, chorągwie i też pomiędzy nacjami, bo tak wtedy to określano chociażby na uniwersytetach, gdzie nacje grupowały studentów z różnych państw.

A potem, w przezwiecznym umieraniu, tysiące razy przeżywałem to odłączenie, o ileż bardziej dotkliwe niż dotkliwe były konsekwencje mojego nieprawego poczęcia.

Jak wtedy, kiedy ja, przodownik kompanijny, czyli sierżant, gdyby to było normalne wojsko, siedzę z młodszym kierownikiem szturmowym, czyli znowu – w normalnym wojsku porucznikiem – więc siedzę z młodszym szturmkierownikiem Trzebińskim w naszym pięknym schronie w Omalo, odciętej od świata wiosce na północno-wschodnim krańcu Gruzji, na północnych już stokach Kaukazu. Nikt nie wie, po co tu siedzimy, ja jestem niby zajęty napełnianiem magazynków do czeskiego erkaemu, ale głównie podsłuchuję rozmowę, którą Trzebiński próbuje prowadzić swoją nieporadną niemczyzną. W końcu, zirytowany, woła mnie do słuchawki polowego telefonu.

– Na rozkaz, kolego szturmkierowniku – odpowiadam służbiście, czego Trzebiński nienawidzi, i podchodzę do telefonu.

– Kolego przodowniku, ustal z nimi, kiedy mamy się wizyty spodziewać i wytłumacz im, jak tu dojechać.

– Na rozkaz, kolego szturmkierowniku – odpowiadam i tłumaczę. Że droga, jeśli to można nazwać drogą, droga przez Leczuri jest względnie bezpieczna, jeśli chodzi o obecność partyzantów, więc można jechać z minimalną eskortą, natomiast koniecznie trzeba jechać

samochoodem terenowym, ale ten też może nie dać rady, also, najlepiej wziąć esde-kaefzeta, SS-sturmabführer Chwolke z Achmety dysponuje lekką dwieściepięćdziesiątką, którą chętnie wypożycza, razem z obsługą, jeśli dać mu jakąś łapówkę, a na przełęczy Abano na pewno będzie śnieg, w końcu to trzy tysiące metrów nad poziomem morza, więc lepiej mieć coś na gąsienicach. I kaem się przyda, bo bolszewicy nie, ale bandziory zwykle mogą się zdarzyć. Chociaż od dwóch miesięcy żadnych incydentów nie było, nie, proszę się nie martwić. Trzebiński potakuje zza moich pleców, zadowolony z moich tłumaczeń. Odkładam słuchawkę i melduję:

– Przyjadą, kolego szturmkierownika.

I wracam do wtykania naboju do kolejnych magazynków, które wcześniej tak samo sumiennie opróżniałem, aby wytrząsnąć z nich hipotetyczny piasek i ogólnie oczyścić – zadanie, które sam sobie zadałem, aby jakoś zabić czas, który w towarzystwie młodszego kierownika szturmowego Trzebińskiego płynął nadzwyczaj powoli, albowiem młodszy kierownik szturmowy Trzebiński nie był specjalnie zainteresowany ani rozmowami ze mną, ani zlecaniem mi różnych wypełniających porządek dnia zadań. A wiadomo przecież, że wojsko nie może się nudzić. Jednak szturmkierownik Trzebiński całe dni spędzał na lekturze. Na zmianę czytał „Tristrama Shandy” i „Biblię”.

Kiedy już napełniłem wszystkie magazynki, układałem je karnymi czwórkami obok oszańcowanego workami z piaskiem kaemu, tak aby amunicja była pod ręką w zgoła nieprawdopodobnej konieczności użycia tegoż kaemu. W głowie przypominam sobie moją ukochaną lekturę, moją własną biblię w czasach, które były zanim mnie zdegradowali i wywalili z wojska, niby za defraudację, a w rzeczywistości, wiadomo – za to, że miałem matkę Niemkę i że sierżant – szef w kompanii – słyszał jak rozmawiałem z nią przez telefon płynną niemiecką i uznał mnie za szpiega, który to zarzut został szybko oddalony, ale smród został i kij się też znalazł, w końcu. Więc, tak czy inaczej, układając napełnione magazynki do czeskiego erkaemu, przypominam sobie punkt siedemdziesiąty dziewiąty części drugiej Regulaminu Piechoty, zatwierdzonego w roku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego przez wiceministra spraw wojskowych, generała dywizji Kazimierza Fabrycego. I recytuję sobie cichutko, pod nosem:

– Skrupulatna gospodarka amunicją i oszczędzanie jej muszą się stać przyzwyczajeniem każdego strzelca. Ambicją każdego strzelca w prowadzeniu ognia pojedynczego powinno być, by po każdej walce mógł powiedzieć, do jakiego celu za każdym strzałem mierzył. Gdy walka trwa dłużej, a zapas amunicji jest mały, oszczędzanie jej należy posunąć aż do sknerstwa.

Trzebiński nie zwraca na mnie uwagi. Traktuje mnie jak idiotę, wstrętnego, ale nieszkodliwego, i pewnie za cnotę poczytuje sobie, że właśnie nie zwraca na mnie uwagi, zamiast mnie prześladować. Nie wie nawet, że w całej dywizji nie było nikogo, kto znałby regulamin piechoty lepiej ode mnie. Duże części wkułem na blachę, na pamięć i mogłem

recytować.

Ale to i tak nie ma żadnego znaczenia teraz, bo u nas oczywiście obowiązują teraz regulaminy niemieckie. Których również uczę się na pamięć, tłumaczenie od razu z oryginałem i to, jak brzmi instrukcja: w razie niezgodności obowiązuje wersja niemiecka. Ale nie osiągnąłem jeszcze takiej biegłości, jaką miałem kiedyś w regulaminie polskim. Patrzą na Trzebińskiego: czyta, oczywiście.

– Kolego szturmkierowniku, proszę o pozwolenie oddalenia się z posterunku.

Trzebiński wzrusza ramionami:

– Idźcie, Schilke, idźcie, już tu wszystko poukładaliście – zwraca się do mnie nieregulaminowo, przez „wy”, co w naszym pułku zasadniczo nie jest tolerowane, albowiem, jak mówi instrukcja, aby podsycać ducha równości i koleżeństwa, wszystkich żołnierzy pułku Wenedia obowiązuje, zwracanie się do siebie per „kolego” niezależnie od rangi, nawet do brygadiera albo kierownika dywizji, czyli, gdyby to było normalne wojsko, do generałów nawet. Przy czym strzelcy i podoficerowie zwracają się do oficerów, dodając jeszcze do „kolegi” skróconą nazwę stopnia.

A ja nieregulaminowych zachowań nie toleruję nawet u oficerów.

– Dziękuję, kolego szturmkierowniku. Proszę o pozwolenie na zwrócenie uwagi.

– Spierdalaj stąd, Schilke, a już – syczy Trzebiński, nie odrywając wzroku od książki.

Zrobił się cyniczny. I wulgarny. Kiedyś, kiedy go poznałem, nie zdarzało mu się przeklinać. Nie mogę nic zrobić, więc wychodzę, ale zapamiętam to sobie. Zapamiętam.

W Omalo nie ma lokalnej populacji, ewakuowaliśmy ich przymusowo w doliny, trochę było przy tym strzelaniny i przestali nas lubić górale, chociaż wcześniej witali nas jak wybawicieli i na naszą cześć przygotowali obcięte łby trzech lokalnych komunistów, teraz w każdym razie jedynymi mieszkańcami górskiej wsi są żołnierze, trzydziestu strzelców i podoficerów, i czterech znudzonych oficerów Wenedii. Jest jeszcze niemiecki oficer łącznikowy, SS-hauptsturmführer Klose, który w zasadzie nie trzeźwieje, albowiem w listach brat donosi mu z Hamburga, że żona SS-hauptsturmführera Klose ma gorący temperament i puszcza się z kim popadnie, nie wyłączając cudzoziemskich robotników przymusowych krwi co najmniej podejrzaney. I niemoc zabija SS-hauptsturmführera Klose, więc pije i obiecuje sobie, że na pierwszej przepustce, nie wahając się, udusi kurwę. Nocami często wypada ze swojej kwatery, półnagi, wykrzykuje obelgi i strzela w powietrze, pijany bezsilną zazdrością rogacza co najmniej tak mocno, jak wódką, a potem płacze i woła w noc: ja cię kocham, kurwo jedna, kocham. I płacze, aż ktoś się nad nim ulituje i zaprowadzi na kwaterę.

Oprócz żołnierzy i oficerów było jeszcze w Omalo stado strasznych, zdziczałych psów, chudych jak widma i agresywnych jak bolszewicy. Niedawno pogryzły strzelca Szymańskiego – tak, że trzeba go było ewakuować na dół i w ogóle było z tym mnóstwo zamieszania, bo kubelwagen nie przejechał, musiał się cofnąć z przełęczy i trzeba było prosić SS-sturmbannführera Chwolke o esdekaefzeta i bez łapówki nie chciał dać, i Trzebiński

zwyzywał go od skurwysynów, co SS-sturmbannführer Chwolke, pochodzący ze Szląska, niestety zrozumiał i była straszna afera, którą w końcu udało się załagodzić pięcioma skrzynkami gruzińskiego wina, z których Chwolke, trzeba mu przyznać, zrobił bardzo godne przyjęcie dla wszystkich oficerów w okolicy, nawet z Wehrmachtu paru przyszło, ale pili niewiele, tylko siedzieli i gardzili, co wiem, bo słyszałem jak Chwolke rozmawiał z naszym łącznikowym.

No więc ze względu na psy, wychodząc ze schronu, wyciągam pistolet z kabury i chowam go dopiero przy schronie, w którym rezydują starszy strzelec Marczak i szturmowiec Maciejewski, dwaj warszawscy apasze, co do pułku uciekli przed więzieniem, czyli poniekąd tak jak ja. Nie lubią mnie, ale jak zwykle mam w kieszeni płaską butelkę z wódką, którą chętnie częstuję, więc kiedy widzą mnie przez strzelnicę w schronie, od razu zapraszają do środka i wchodzę.

Grają w karty, piją moją wódkę, ja piję mało, częstują konserwą, w końcu przyzwyczajają się do tego, że siedzę sobie w kącie, milczę i uśmiecham się sympatycznie. I rozluźniają się, i mówią swobodniej, a ja słucham, słucham, słucham.

I potem idę dalej, gadam z wartownikami, mówią mi, że widzieli niedźwiedzia, i w końcu, zmęczony spacerem, wracam do naszego schronu, gdzie tymczasem szturm kierownik Trzebiński siedzi na ławeczce, którą sporządził własnoręcznie z deski przykręconej śrubami do dwóch pustych skrzynek amunicyjnych, also siedzi i rysuje w swoim notesiku.

Salutuję i wchodzę do schronu, i idę spać, bo jutro, ze względu na wizytę, na pewno będę miał pracowity dzień.

I dzień rzeczywiście jest pracowity. Przyjeżdża kapitan, normalnie – Wehrmachtu, tyle dobrze, że normalny żołnierz, podobno pisarz sławny, na służbie w Paryżu, jak wnioskuję z zasłyszanej tydzień temu rozmowy szturm kierownika Trzebińskiego z starszym szturm kierownikiem Żabińskim. Ale dla mnie żaden pisarz nie jest sławny. Sławny jest Hitler, Stalin, Rydz-Smigły albo Musollini, a nie jakiś tam pisarz.

W każdym razie, kapitan przyjeżdża ze swoim ordynansem, z gefrajtrem i kierowcą półgąsienicowego wozu, i strzelcem, wypożyczonymi razem z esdekaefzetem od SS-sturmbannführera Chwolke, obaj z naszej dywizji, to znaczy kierowca Duńczyk z pułku Nordland, a strzelec nasz, w polowej miękkiej rogatywce feldgrau i z biało-czerwona ermelsztrajfą na lewym ramieniu.

Kapitan wysiada więc z wozu, szczupły, wąski w talii, w mundurze nienagannym jakby właśnie wychodził na spacer paryską ulicą, z niebieskim krzyżykiem pod szyją, a więc nie byle kto, cholera, salutuje mi, odpowiadam naszym salutem dwupalczastym, do polowej rogatywki i przygląda się mojemu salutowi nie bez zdziwienia, widać pierwszy raz salutuje mu żołnierz pułku Wenedia.

Trzebiński wybiega ze schronu, dopinając szary wyjściowy mundur z polową rogatywką, krzywo nasadzoną na głowę. Polowa do wyjściowego! Gdyby to było prawdziwe wojsko, to

takie rzeczy nie miałyby prawa się dziać.

Nie salutują sobie, podają sobie po prostu ręce, cholerny pisarz z cholernym pisarzem, kapitan Wehrmachtu ze szturmkirownikiem Wenedii, Niemiec z Polakiem. I traktują się jakby byli starymi kumplami, chociaż, wiem przecież, widzą się po raz pierwszy, a niemiecki oficer jest od Trzebińskiego, tak na oko, o jakieś dwadzieścia lat starszy. Swoją drogą, dziwne: bo kapitan po czterdziestce, to znaczy, że rezerwista, bo zawodowy w tym wieku i to jeszcze podczas wojny dawno powinien być pułkownikiem. Ale ten tu nie wygląda jak przebrany w mundur cywil, a tak najczęściej wygląda wyrwany z jakiejś ciepłej posadki oficer rezerwy, ten chudy oficer wygląda jednak na żołnierza. I jeszcze ten Blauer Max na szyi. Dziwne. Zresztą, dobrali się jak w korcu maku, Trzebiński też powinien być już starszym szturmkirownikiem, bo służył w pułku od początku, jeszcze we Francji był i też ma wstążkę Żelaznego Krzyża i baretkę *Virtuti Militari* na bluzie.

Idą razem do schronu: kapitan woła na swojego ordynansa i ten przynosi z wozu skrzynkę pełną butelek wina, francuskiego, czerwonego. Kapitan wspaniałomyślnie wręcza nam dwie, do wypicia razem z obsługą wozu i ordynansem, próbuję, wino niedobre, cierpkie, więc nie piję, kierowca i strzelec, i ordynans piją, nie grymasząc. Ja zaglądam do schronu i pytam dyskretnie, czy nie zaparzyć kawy: Trzebiński nie odrywa wzroku od niemieckiego kapitana, gapi się w niego jak w obrazek. Żenujące.

I gadają, głównie po francusku, trochę po niemiecku, ale Trzebiński wstydzi się mówić do swojego gościa po niemiecku, bo kaleczy, więc głównie rozmawiają po francusku i dziwacznie brzmi ten francuski tutaj, w Omalo, w gruzińskiej górskiej wsi, obsadzonej przez polskich żołnierzy pułku Wenedia. Ale im to nie wydaje się przeszkadzać. I na dodatek Trzebiński myśli, że ja nie znam francuskiego, bo skąd miałbym znać francuski ja – idiota, pawian, tępy zupak, przedwojenny zawodowy podoficer, który uczy się regulaminów na pamięć. Nie wie tego Trzebiński, tak jak nie wie, kto był moim ojcem i że chodziłem nawet do gimnazjum. Więc gadają swobodnie.

Gadają o dwóch książkach – o „Księciu piechoty”, napisanym dawno temu przez tego Niemca, a którego Trzebiński czytał w przedwojennym tłumaczeniu, ja oczywiście nie czytałem, i o drugiej, pod tytułem „Śladami Lermontowa”, którą mój dowódca pisał nocami, kilka miesięcy temu, kiedy w dzień biliśmy się o Groźny, i w wąwozie Argun, co wydawało mi się wtedy ohydne i niezgodne z regulaminem, bo oficer powinien być wypoczęty, aby mógł dowodzić swoimi żołnierzami, a nie pisać głupie książki o jakimś ruskim pisarzu, pisarz pisze o pisarzu, po cholere im ktoś jeszcze inny. Pisarz o pisarzu pisze i pewnie jeszcze inni pisarze mają to czytać. I ja tej książki oczywiście też nie czytałem, na cholere miałbym. I ktoś to potem Trzebińskiemu tłumaczył na niemiecki i sam to potem musiałem pocztą polową wysyłać na paryski adres tego tutaj niemieckiego oficera.

I piją to wino czerwone, i widzę, że Niemiec się trzyma, a Trzebiński robi się coraz bardziej pijany.

I wtedy mówi coś takiego, wskazując na mnie – że to zabawne, że siedzą tutaj jak Polak z Niemcem, zjednoczeni nagle wbrew historycznym zaszłościom, wbrew pamięci o powstaniach śląskich i wielkopolskich, wbrew całemu złu, jakie Niemcy, Prusacy szczególnie, wyrządzili Polakom: że Bismarck, że Hakata, i tak dalej. I że to jednak dobrze, bo wobec bolszewizmu i Europy Polska i Niemcy muszą stać razem, nigdy nie słyszałem, żeby Trzebiński na trzeźwo mówił takie rzeczy, a teraz mówi.

I potem, trochę już bełkocząc, mówi nagle, że ten strzelec tutaj, nazwiskiem Schilke, jest tego historycznego sojuszu najlepszym przykładem, albo wręcz żywą alegorią, albowiem jest on pół-Niemcem, pół-Polakiem, dawnym sierżantem w polskim wojsku, a teraz przodownikiem, to jest SS-unterscharfuhrerem, w niemieckim mundurze i w polskiej rogatywce, ale w kolorze feldgrau i walczy tutaj, jakby te dwa narody zlały się w nim w jedno.

Kapitan kiwa głową, śmieją się, piją dalej i Niemiec już też jest pijany.

Mówią o mnie, jakbym był okazem w klatce, w zoo.

I czuję, jak to do mnie wraca. Oddzielam: wraca. W tym wątku, w którym ten odwieczny antagonizm, jak mi się wydawało, został przewyciężony, bo oto walczą ramię w ramię polscy ułani i niemieccy grenadierzy przeciwko sowieckim bojcom i międzynarodowym ochotnikom, w tym wątku, oddzielam, zdawało mi się, że moja niemiecko-polska krew nie będzie więcej ściągać mnie w dół, nie będzie przyciskać mi karku do ziemi.

Ale słyszałem przecież ten specjalny ton w głosie Trzebińskiego. Tak mówi się o mieszańcach. Oni – Polak z Niemcem, Niemiec z Polakiem, dwóch pisarzy czystej krwi, różnej, ale czystej, oni mogą ze sobą rozmawiać w zgodzie, dwóch oficerów, dwóch pisarzy, jeden młody, drugi stary, ale sobie są równi, są tym samym.

A ja, mieszaniec, jestem nikiem, mierzwą ludzką, jestem ścierwem, jestem nikt-człowiekiem, bo całe życie mógłbym nie robić niczego, tylko wznosić ołtarze Hitlerowi albo Smigłemu-Rydzowi, a i tak zawsze będę nie do końca pewny, nie do końca w porządku, bo zawsze będę mieszańcem, miszlingiem. I można o mnie powiedzieć w taki sposób, jakbym był rzeczą – że jestem najlepszą alegorią. Przekląty Trzebiński, jakby mówił o psie.

Ale nie daję niczego po sobie poznać, niczego. Nie przejmują się już moją obecnością, dużo już wypili, rozmawiają o sztuce, padają nazwiska, które mi nic nie mówią i tytuły, które też raczej mi nic nie mówią, ale wszystkie skrętnie zapisuję – wychodzę na dwór, niby na papierosa albo za potrzebą, i notuję, zawieszając latarkę na guziku bluzy.

A potem zaczynają mówić o polityce i tu dopiero mam uszy otwarte, tu dopiero się zaczyna: Niemiec mówi źle o jakimś Kniebolo, najpierw nie rozumiem o co chodzi, ale nagle mnie oświeca: on mówi w ten sposób o Hitlerze! A potem Trzebiński, pijany: wymyśla naszemu Wodzowi, wymyśla Smigłemu-Rydzowi, nieustannie mówi, że dureń, że pawian, idiota, tymi samymi epitetami co mnie obrzuca, also mówi, że dureń, bo tylko dureń posłałby wtedy żołnierzy do Norwegii, a niemiecki kapitan, ku mojemu zaskoczeniu, właściwie się z

Trzebińskim zgadza, że rzeczywiście, dureń. A potem Trzebiński wymyśla Wodzowi: nazywa go skurwysynem, Dyzmą, co, jak rozumiem, jest odwołaniem znowu do jakiejś powieści, oraz czesko-ruską gnidą – więc znowu, że nie Polak, że nieprawdziwy.

I przelewa to szalę goryczy. Już więcej mi nie potrzeba notatek. Idę spać, panowie pisarze piją i gadają do rana.

Rano zaś za pomocą dwóch szklanek oleju słonecznikowego wywołuję u siebie straszną biegunkę i wymioty, a skacowany Trzebiński każe mi się zameldować u starszego szurmkiernika, dowodzącego całą naszą placówką i, zgodnie z przewidywaniami, zostaje odesłany na dół. Muszę tylko poczekać aż goszczący w naszej placówce kapitan zechce wybrać się z powrotem, siedemdziesiąt kilometrów do Pszaweli.

Niemiecki kapitan i Trzebiński jedzą razem śniadanie, skacowani, i rozmawiają, jak mi się wydaje, poważniej, i mówią o ważniejszych rzeczach. Podobno zawsze na kacu, rano, mówią o poważnych rzeczach. Trzebiński opowiada kapitanowi o polskim imperium, które może powstać, jeśli poeci wskażą drogę, jeśli Polacy odkryją w sobie wolę, aby to imperium zbudować. Niemiec zaś mówi Trzebińskiemu, że widzi w nim samego siebie sprzed dwudziestu paru lat, widzi młodego porucznika Sturmtruppen prowadzącego swoją kompanię do ataku. A Trzebiński ripostuje, że młodość nie oznacza głupoty, jeśli to chciał zasugerować, ale Niemiec uspokaja, że nie, a potem Trzebiński dodaje, że nie prowadzi żadnych kompanii do ataku, tylko od trzech miesięcy siedzi w tej absurdalnej wiosce w jednej ziemance z tym pawianem Schilke, bo sztab zabronił zakładać kwatery po góralskich domach, więc siedzi w ziemiance i próbuje czytać, i wydaje mu się, że zwariuje, tęskni do kobiet, do miast, nawet do wojny już by tęsknił, do Warszawy.

Do wojny tęskni. I do Warszawy. Skurwysyn. I jakże ja ich nienawidzę. Takich jak oni. Sturmtruppen, w kontrze do mas zwykłej piechoty, oni i piloci myśliwców, ochotnicy, antynomia zwykłego infanterzysty, tonącego w błocie okopów, tego, który bardziej niż wroga nienawidzi raczej swojego dowódcy, który z bunkra wysłał go na pola śmierci, i swojego króla albo cesarza, albo prezydenta, którzy zaczęli tę straszną wojnę, i chciałby jednego: wrócić do domu, do stołu z jedzeniem, do ciepłego łóżka i do żony, i dzieci. A szturmowcy, w innych mundurach, w hełmach pokrytych kamuflażem, z inną bronią, w pancerzach, z granatami w wielkich workach pod pachami, z amunicją w bandolierach, obwieszani pistoletami, nożycami do drutu, z wyostrzonymi saperkami, szturmowcy, którzy wcale nie chcą przeżyć, tylko chcą walczyć, szturmowcy, którzy dla żołnierza, takiego jak ja i jak mi podobni, są groźniejsi niż wróg, bo to oni przełamują nieformalne zawieszania broni, oni czynią nasze żony wdowami.

I potem zasilą szeregi freikorpsów i Stahlhelmu, i będziemy z okien patrzeć, jak na ulicach biją się z komunistami, będziemy patrzeć, kryjąc się za firankami, a oni będą o nas myśleć z pogardą.

I Trzebiński jest taki jak on, i jak cały ten pierwszy zaciąg Wenedii, kiedy trzeba było się

przekradać do Berlina, bo paszportów nie chcieli falangistom dawać, więc szli tam wtedy tylko najofiarniejsi, i potem przetarli się, zaostrzyli we Francji.

A Trzebiński pyta niemieckiego kapitana, co robił przez ten cały czas po wojnie, i Niemiec opowiada mu o studiach biologicznych, a Trzebiński z pewną rezerwą mówi mu o przyjaźni Hitlera i Piaseckiego. I znowu zaczyna źle mówić o Piaseckim, że to jest taki ktoś, kto by się z każdym dogadał, jakby na przykład tak wypadło, to dogadałby się nawet z bolszewikami.

A potem jedziemy i zabierają mnie do esdekaefzetu, i znowu pokonuję tę piekielną drogę do Pszaweli, która wielu zdrowych przyprawia o nudności. Na szczęście, kierowca wozu zna ją doskonale, na szczęście, bo z jednego miejsca w dole ciągle widać kettenkrad, motocykl gaśnicowy, który spadł razem z dwoma młodziami spod Rzeszowa i leżą tam ciągle, bo nie było nikogo, kto miałby się ochotę pofatygować w dół po zboczach po kettenkrada albo po trupy.

Więc jedziemy w dół, objijając się o blachy pancerza, kapitan gapi się na góry, a ja na kapitana, mnie tam krajobrazy wcale nie interesują. Nienawidzę Niemców, naprawdę nienawidzę Niemców. Nienawidzę wszystkiego co niemieckie: nienawidzę romantische lieder, które nasz verbindungs-offizier Klose nieustannie puszcza z adapteru, bo takiego akompaniamentu trzeba mu do rozpacy, i nienawidzę pruskiego stylu bycia, nienawidzę Goethego i Kanta, nienawidzę Hitlera, Allgemeine-SS, Waffen-SS, Luftwaffe, Heer i Kriegsmarine, nienawidzę nazistów i nienawidzę Tomasza Manna, który nienawidzi nazistów, nienawidzę bawarskich krajobrazów i nienawidzę krzyżackich zamków w Prusach, po prostu nienawidzę Niemców.

A potem patrzę na strzelca, który zamiast w spokoju siedzieć w środku, stoi przy emgocie, przyciskając kolbę do ramienia, a kaem się obraca i w efekcie podskakujący na wertepach wóz rzuca strzelcem i milcząca lufa kaemu zatacza absurdalne kręgi po niebie i stokach gór.

A więc patrzę na tego idiotę, który trzyma się kaemu i na jego białoczerwona ermelsztrafę na lewym rękawie, i myślę o tym, jak bardzo nienawidzę Polaków: nienawidzę Mickiewicza, który jest nawet gorszy od Goethego, bo nikogo poza Polakami nie obchodzi, nienawidzę Zamku Królewskiego w Warszawie, który chętnie wysadziłbym w powietrze razem z całą pierdoloną Warszawą, razem z Wawelem najlepiej, i nienawidzę polskich powstań, Słowackiego, piłsudczyków, endeków nienawidzę również i pepeesowców, ludowców, postępowców, polskich Żydów, poetów ze Skamandra i kosynierów, Chopina nienawidzę i wierszy płaczących, i tych przerażających, pleśnią chmur przykrytych równin, gdzie każdy konar kusi człowieka: do mnie przywiąż pętlę stryczka, utrzymam cię łagodnie i miękko.

I nienawidzę jednych i drugich za to, że wyrosłem między nimi, niczym chwast między pszenicą a żytem.

I w końcu zjeżdżamy w dół, na sam dół do Achmety, i mówię, że dojdę sam do lazaretu,

wzruszają ramionami, co ja ich obchodzę, ja, miszling, chwast, kąkol, mierzwa ludzka, co mogę obchodzić rycerzy.

I dobrze, skurwysyny, nie obchodzę was, ale ja wcale nie idę do lazaretu, ja idę do GFP, czyli do Geheime Feldpolizei. Idę złożyć meldunek.

Wiem dobrze, gdzie iść, chociaż mało kto wie, który z niewyraźnych wojskowych urzędników czym się zajmuje, ja wiem dokładnie, gdzie jest biuro kapitana GFP. Byłem tam już wiele razy.

Byłem u hauptmanna Dullicka, który jest taki cichy i szary w swoim skromnym mundurze bez dystynkcji i przyjmuje mnie od razu, sadza na krześle przed biurkiem, częstuje sznapssem i papierosem, po czym własnorecznie spisuje moją obszerną relację, a relacjonuję wszystko, jak było. Nie koloryzuję, ani niczego nie przemilczam, regulamin jest regulamin.

Potem robi mi się niedobrze, ale daję jeszcze radę podpisać moje zeznanie, i idę do lazaretu. Nikt mnie nie podejrzewa o próbę samouszkodzenia: w końcu jesteśmy tutaj prawie jak na wakacjach, bolszewicy są daleko, odepchnięci za Wołgę, za Astrachań, tutaj jesteśmy jak w górskim kurorcie, któż miałby się samookaleczać? Nie jest to może Soczi albo Batumi, gdzie jest morze i upał, ale w wielu miejscach jest naprawdę gorzej, można przecież iść na front albo do służby antypartyzanckiej, co gorsza. Więc wszyscy diagnozują zatrucie, po dwóch dniach, ozdrowiały, wracam do Omalo razem z transportem jedzenia.

I Trzebińskiego już w Omalo nie ma, kiedy przyjeżdżam. Warszawscy apasze mówią mi, że wzięła go żandarmeria i że go podobno zdegradowano, i że poszedł do sztrafbatalionu, na front i że pewnie rozbija pola minowe gdzieś w Kazachstanie czy gdzie tam teraz gonią bolszewików nasi, to znaczy niemieccy albo polscy, albo fińscy, węgierscy czy rumuńscy dziarscy żołnierzykowie.

A potem w nocy mam wartę i nie słyszę strzału, bo pocisk leci szybciej od dźwięku i nie wiem o tym, że wzięli specjalnie ruskiego mosina, żeby pocisk w moim łbie był ruski, i nie wiem, że śledztwo poprowadził kapitan Dullick i że Marczak i Maciejewski trafili do sztrafbatalionu śladem Trzebińskiego, którego tam w sztrafbatalionie spotkali, ponurego, w mundurze z zerwanymi dystynkcjami, tylko z rombem na ramieniu, i niedługo potem rozerwała go mina przeciwpancerna na strzępy tak drobne, że nawet nie było czego pochować i Maciejewski z Marczakiem pochowali tylko nieśmiertelnik i jakieś ochłapy, a w „Sztuce i Narodzie”, które to pismo Trzebiński zakładał, inni już redaktorzy napisali, że zginął za Polskę, żołnierz-poeta, kładący swoje młode życie na ołtarzu walki z międzynarodowym bolszewizmem i ani słowa o sztrafbatalionie nie napisali, bo się bali. A on wcale nie zginął za Polskę, tylko za karę – ale co ja, pawian, idiota, mogę o tym wiedzieć.

Więc jako kto umarłem, jako Polak czy jako Niemiec, za Polskę czy za Niemcy, czy po prostu – wyrwali mnie, jak się wyrывa kąkol z pola pszenicy, żebym nie rósł pomiędzy kłosami?

Coś mnie na to skazało, coś mnie do tego popchnęło w dziwny sposób – na przewieczne

umieranie zanurzone w narodach, w czymś, czego nie znałem, świątując.

I sędzę wszechteraz, że to moment, w którym stanąłem na polu istnego Grunwaldu i postanowiłem zabić wszystkich, po obu stronach. Czyli sam koniec mojego istnego światowania.

Zabiłem wtedy dwudziestu ośmiu: dwóch rycerzy zakonnych, jednego rycerza ze Szląska, pasowanego, który walczył po stronie zakonu, ale kiedyś mu oderznął prawe ramię, to maćkę wołał całkiem po polsku, i drugiego rycerza ze Szląska z chorągwi wieluńskiej, dalej Francuza, który nie płakał, bo rozplątałem mu głowę, dalej sześciu rycerzy polskich, jednego Czecha, co do którego nie mam pewności, po której stronie się bił, bośm go i w przezwiecznym mrzeniu nigdy nie zapytał, dalej siedmiu knechtów krzyżackich, z których trzech mówiło po prusku, jeden po niemiecku, a trzech jeszcze po pomorsku, w tym knecht Rybka, czyli ostatni, i również siedmiu Litwinów, z których większość wołała Boga Gospodna po rusku, a jeden wołał po żmudzku Perkunosa. Potem zaś mnie zabili i spadłem w ciemność, i umierałem z radosną nadzieją, że spadam w ciemność przezwieczną, w przezwieczne i wszechogarniające nic-nie-ma, nigdy-nie-bycie.

A potem się zbudzili jesmy, nadzy, przerażeni i smutni, bo gdaż nas zbudzono, to już wszystko wiedzieli jesmy i rozumieli jesmy, my, wszyscy Paszkowie, którzy byli jesmy i którzy być mogli jesmy, złani w Paszka jednego, we Wszechpaszka, przezwiecznie umierającego miliony przezwiecznych umierań w milionach wątków Historii – iluzji, tego stosu pastiszów i parodii istnych światowań.

I potem również miliony razy próbowałem zabić wszystkich, i nawet mi się to udawało, to znaczy nigdy zupełnie wszystkich, ale prawie wszystkich, jak wtedy, kiedy była wojna i Ruscy bombami atomowymi rozpierzolili Polskę i Niemcy od razu, hurtowo, w całości, i została tylko wypalona ziemia, wypalone Polskoniemcy albo Niemcopolska, albo miejsce, w którym kiedyś były jakieś tam kraje, o których nikt już nie pamiętał, i zniknęły marchie, granice i rubieże, i były dalej rzeki i góry, tak jak zniknęło państwo Samona i państwo Hunów, ale nie były już tymi rzekami i górami, na których się opierało to, co we mnie było podzielone.

Albo wtedy, kiedy żyłem w Warszawie i zamknąłem wszystkich w obozach. Wszystkich. Każdy więzień był strażnikiem i każdy strażnik więźniem, każdy kat ofiarą, a każda ofiara katem i wszyscy po obu stronach granicy, którą starłem, pracowali gigantycznym wysiłkiem dla ostatecznego celu eksterminacji wszystkich, eksterminacji fizycznej, aby zrobić miejsce dla doskonalszych i piękniejszych transludzi, ale aantropicznych inaczej niż w Przezwiecznym Grunwaldzie, bo jednorodnych, identycznych, nie aantropicznych osobno, jak Niemcy i Polacy, nieludczy, z Ewiger Tannenberg. Wszyscy więc pracowali dla eksterminacji niczym skopcy, którzy chcieli wymrzeć, aby zrobić miejsce dla Boga, albo członkowie Voluntary Human Extinction Movement, z tym że u nas nie chodziło o Boga ani o Gaję i wymieranie nie było dobrowolne, tylko oparte na uniwersalnej wszechprzemocy.

Ale potem wszystko upadło, bo moi transludzie byli tak piękni i tak bardzo mi poddani, że zatraciłem się w najwymyślniejszych rytuałach kopulacyjnych i przestałem władać pięknym, nowym światem, w którym nie było już ludzi i wtedy transludzie zabili mnie, i wtedy dopiero, umierając, zabiłem naprawdę wszystkich, bo poumierali z tęsknoty za mną, ze smutku, i nie było już w ogóle ludzi, i to jest piękne w tej historii, że przyglądały się naszym pustym ruinom tylko sosny i jeże, a ludzi już nie było.

A bliżej was to było wtedy, kiedy odegrano iluzję całego świata spalonego, i spotkałem Petera Holmesa i jego żonę Mary, i ich dziecko w Melbourne w Australii, i popłynęliśmy atomowym amerykańskim okrętem podwodnym do Ameryki, szukać życia w skażonym promieniowaniem świecie i wcale tego życia nie znaleźliśmy. Ledwie to pamiętam, a wspominam tylko dlatego, że Peter Holmes istniał, acz nie istnieje światowa w waszej historii: był bohaterem powieści. A skoro był bohaterem powieści, to i jego iluzję odegrano w przezwiecznym umieraniu, wraz z miriadami sprzężonych ze sobą wariantów, odgrywając jednego Wszecpetera, tak samo, jakby istniał w istnym światowaniu.

I zapewne przez to zabijanie wszystkich pod Grunwaldem, tak często w przezwiecznym umieraniu nie byłem dość niemiecki do tego, aby poczuć prawdziwą wspólnotę z Niemcami z Ewiger Tannenberg, ani nie dosyć polski, aby być dobrym synem Matki Polski.

Kiedy zawsze czegoś mi brakowało, mógł to być najmniejszy szczegół – mogłem na przykład nie odczuwać dreszczu mistycznej przyjemności połączenia się z ideą narodu, kiedy obmywałem się wodach Renu. A powinienem. Mogłem nie rozumieć potęgi rzeźb Thoraka. I to wystarczało.

I były oczywiście różnice. Bo Niemcy były wspólną Krwią z Blutfabrik, były wodami Renu, były świętym, wiecznym ogniem Indogermanów na szczytach zamków, były lieder Schuberta, były Czarnym Słońcem, słonecznym czarnym kołem ułożonym z fabryk u stóp noremberskiego zamku, były nocą i mgłą, były wszechogarniającą zasadą, były ideą wszechporuszającą, były jedyną treścią życia i jedynym jego sensem, były Bogiem naszego świata; ale przecież nie były żywe. Były wspólnotą mężczyzn i kobiet; wspólną pracą: wątrób, śledzion i trzustek z Blut-fabrik i mózgow z Oberstheeresleitung, i cipek, i macic z lebensbornów robotniczych i aantropicznych, i sensorium dronów, i rąk knechtów. Pozostawały więc Niemcy ideą, która poruszała to, co materialne: Blut, Ren, nas, aantropów, drony i pancery, i zerstórery A Matka Polska była żywa. Złała się w Matkę Polskę Krew Polek, które żyły setki pokoleń wcześniej, przed przemianą aantropiczną, i rosła Matka Polska swoim wielkim pięknym ciałem, wypełniającym Polskę tak blisko powierzchni gruntu, że ziemia delikatnie falowała, jak falują piersi kobiety, kiedy ją mocno cudzie, falowała w oddechu i pulsie, i można było całować tę ziemię, i całowało się Matkę Polskę, i chodziło się po Matce Polsce, i kładło się w Matkę Polskę, i otwierała się w każdym z mnożnych dworków milionem swoich łon, i parowała spod cienkiej warstwy czarnej ziemi z miliardów swych gruczołów, parowała, pachniała swoim najśłodszym, upajającym potem, i pachniała

Rozkazami, i składała Pocałunki przeobrażające antropów: sprawiając, że dojrzewali płciowo, kiedy byli już za starzy, aby walczyć, sprawiała, że rośli, że karleli, że marli.

Niemcy były ideą, zasadą, sensem – Matka Polska była fizycznie, swoim białym ciałem podziemnym. Każdy z nas dotykał tego ciała bladego jak ciała drążących nory larw, ciała miękkiego i pięknego, i ona nas dotykała milionem swoich rąk, kreśliła nam na czołach swoje święte znaki.

I dlatego zdradzić Niemcy, to było jak zdradzić ideę, zdradzić i stracić sens wszelki – a zdradzić Matkę Polskę to było jak zdradzić matkę, jak zdradzić samego siebie, bo nasze ciała zlepiła Matka Polska z samej siebie, dokładnie tak samo jak z samej siebie zlepiła rycerzy antropicznych.

Ale Matkę Polskę też zdradzałem. Płakałem, wspominając na moje maćkę z istnego światowania, na to stworzenie bez prawie żadnej formy, na moje maćkę, która światu naszego istnego światowania mogła służyć tylko otworami swojego młodego ciała, na moje maćkę, która żyła tak słabo, jakby prawie nie żyła, na nią, której treścią życia było pokładanie się pod męskie ciała, a ja, królewski bastert, byłem jej jedyną pociechą.

A ona, Niemka z urodzenia przecież, też była jakoś w Matce Polsce. A jednak zdradzałem to ogromne białe ciało, które pulsowało pod moimi stopami.

Pomnę: byłem antropem, byłem antropicznym pocztowym – strzelcem z chorągwi gończej, dlatego nosiłem na pancerzu barwy niebiesko-żółte. Lekki pancerz zasilala turbina gazowa o mocy dwóch i pół tysiąca koni mechanicznych, i był to pancerz szybki, przystosowany do pościgów i manewru, i do eskortowania bojochodów. I jako Polacy nie wrastaliśmy w nasze harnasze, opuszczaliśmy je czasem, po służbie, i mieliśmy ciała antropiczne, potężne i piękne. I dlatego pomnę, że byłem mistrzem szymirstwa w harnaszu, szymirstwa prowadzonego w menzurze zasięgu naszych sensorów albo w menzurze czucia Matki Polski, szymirstwa, które zasadę vor i nach doprowadziło do mistrzostwa, bo tylko na vor i nach polegało. Na tym, aby zawsze wyprzedzić atak, bo nie było obrony przed atakiem pancera, tak jak nie było obrony przed moim atakiem, kompozytowe harnasze nosiliśmy tylko dlatego, że były piękne, i po to, by chroniły nas przed knechtami.

I byłem również poetą w harnaszu.

Pisałem wiersze na pergaminie wyprawianym ze skóry niemieckich freinachtjegrów: wyłącznie tych, których zabiłem sam, i tematem każdego wiersza była Ona: jedyna, którą kochaliśmy, i ta, o którą każdy z nas był zazdrosny do obłędu, jakby wierzyli jesmy, że możemy wypełnić i zaspokoić każde z miliona jej łon, a ona przecież była wiecznym niezaspokojeniem i wiecznym pragnieniem ofiary.

Zabijałem więc freinachtjegrów i pisałem wiersze na ich skórkach, a pracownicy ludzcy pomocnicy oprawiali je w kościane ramy.

A potem przestałem pisać, bo zacząłem bać się własnych wierszy. Pisało się wtedy wiersze bardzo formalnie, zawsze polskim heksametrem, i w tych moich heksametrycznych

strofach nagle dopatrzyłem się tego, że jesteśmy tak bardzo podobni do siebie. My i Niemcy.

A grzechem było nawet to pomyśleć. A ja jednak myślałem i próbowałem sobie wyperswadować. Przede wszystkim, Niemiec nie ma, Niemcy są tylko pojęciem, a Matka Polska jest naprawdę, mogę ją dotknąć, jest pod powierzchnią gleby, rośnie powoli, przesuwa nasze granice, rozrastając się podziemnie jak grzybnia, pijąc nasze rzeki i morze, żywiąc się wszelką organiczną materią i zna każdego z nas, każdego z nas kocha i za dobro wynagradza a za zło karze.

I różnimy się wszystkim. Oni budują czarne zamki celujące w niebo, my budujemy dwory i szerokie zamki z ciepłego piaskowca. Walczymy inaczej: oni z wojny uczynili naukę, my zrobiliśmy z niej sztukę, u nich sztab zarządza każdym żołnierzem z bezpośrednią precyzją i za żołnierzy naciska spust ich broni, pancergrenadierzy i freinachtjegrzy nie rozumieją tego, co właśnie wykonują, u nas zaś Matka Polska pachnie Rozkazami ze swoich gruczołów i nasze szarże są zupełnie inne od niemieckich.

Oni, Niemcy, mają swoje samiczki, ludzkie i antropiczne, u nas samiczek nie ma, bo jedyną kobietą jest Matka Polska, której służymy i w której zlały się geny wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek istniały, ona jest matką, siostrą i żoną nas wszystkich, tylko jej cipki pragniemy, tylko jej soków chcemy smakować, tylko z nią chcemy się pokładać, tylko ją kochamy. Dlatego polskie antropy nigdy nie gwałcą niemieckich kobiet, zabijają je od razu. I po tym jak ich zerstórery zajmą kawał ciała Matki Polski i odetną je od reszty nekrotycznym jadem, antropy niemieckie nie kalają jej sromów. Zdarza się to jednak knechtom krzyżackim, zdarza naszym nieprzemienionym: a więc knechci zostawiają swoje nasienie w łonach Matki Polski i nasze samczyki też kopulują ich małe matki, kiedy zdobędziemy jakiś lebensborn, czasem nawet rodzi się z tego kulawe, chore, zdeformowane potomstwo, które i my, i oni zabijamy od razu, jak hodowca zabija od razu potomstwo królicy i szczura, co wdarł się do klatek.

W każdym razie u nich kobiety są sługami mężczyzn, u nas to my służymy jednej Kobiecie. Oni wreszcie mają Krew, więc są wszyscy jakby jednym ciałem – my zaś jemy, przemieniamy materię i wydalamy osobno, każdy z nas ma swoje własne, antropiczne narządy, a jednocześnie przecież wszyscy należymy do Matki Polski.

Jemy zaś na ucztach: zbieramy się w dworach, gdzie Matka Polska wyrasta z klepiska wielką grudą ciała pokrytą cyckami, i każdy z nas przysysa się do swojego cyca i karmi nas Matka Polska ze swoich piersi mlekiem gęstym, żółtym jak siara, i to jest nasz jedyny pokarm i napój, i jedyne materialne pożądanie, i ściskamy te pełne siary cyce Matki Polski, pieścimy je, musimy je pieścić, aby sutki zaczęły tryskać mlekiem, i samczyki nieprzemienione przy tych posiłkach mają serie małych polskich orgazmów.

I zupełnie inaczej wygląda Kraj: u nich wszystko jest ułożone męską ręką w znaki i symbole – w runy i rozety sonnenrad, wieże zamków mają znaczenie, ogień ma znaczenie, i wielkie jak drapacze chmur Babilonu pomniki mają znaczenie, i bawerskie pola z

romantycznego malarstwa mają znaczenie, chociaż wyglądają jak ręką natury wyznaczone. A Matka Polska, przykryta cienką warstwą ziemi, wydziela do gleby nawóz i pozwala rosnać na sobie drzewom i trawie, która ściele się do nóg antropocentrycznym rycerzom i bojochodom, gdy po niej stąpają i pozwala rosnać wierzbom, które obejmują ich zwisłymi gałęziami i głaszczą ich, i pieszczą, poruszają się, ożywiane jej wolą i rosną na Matce Polsce kwiaty, które pachną Rozkazem. U nich cały kraj brzmi pieśniami Schuberta, Matka Polska woli śpiew ptaków i mazurki Szopena dniem, i nokturny Szopena nocą, szczególnie nokturn f-moll, opus pięćdziesiąte piąte, numer pierwszy.

Lecz zwiódlby się ten, kto uznałby krajobraz Matki Polski za sielski: bo pod krzyżackim pancerem zapadnie się ziemia, gdyby nierozważnie wkroczył na ciało Matki Polski, nie zabijawszy go wcześniej. Mają dlatego Krzyżacy zerstorery, które, przekraczając naszą granicę, wgryzają się w ciało Matki Polski i trują ją nekrotyczną trucizną, tak że obumiera od granic, ale odrasta na nowo, kiedy odeprzemy ich po pięknym kontrataku szarżą. A w tle cały czas gra szopenowski fortepian i nikt nie pamięta, że jego nazwisko jest francuskie, bo nikt już nie pamięta o żadnych Francuzach, że w ogóle istnieli kiedyś Francuzi, pożarliśmy ich, nie ma Francuzów, nie ma Żydów, nie ma Rosjan, Anglików, Hiszpanów, nie ma nikogo.

I zatuwa nas ich Krew, Blut Germanii, i dlatego musimy ich zabijać z daleka, bo jeśli tylko kropla przesączy się przez pancerz, to umieramy od ich krwi, jak porażeni cyjankiem.

I mimo tych różnic, i mimo pasa spalonej ziemi, który nas rozdziela, i mimo tylu tysięcy lat bitwy, lat, których już nikt nie liczy, bo nie są ważne, bo czas stał się kołem, tak jak kiedyś u Greków, tylko mniejszym: kołem czasu jest cykl mobilizacja – akcja, cykl dzienny i cykl księżycy, który wyznacza cykl menstruacji Matki Polski, a który przekłada się na największe natarcia i szarże, i przesunięcia granic, i nie liczymy już lat, i nie spisujemy więcej dziejów, tylko szukamy ich logiki.

A jednak jesteśmy do siebie podobni, dzięki Przewiecznemu Grunwaldowi. Jedynym, dla czego istniejemy, jest walka ze sobą. Nikt już nie zastanawia się, o co walczymy, bo przecież żyjemy tylko po to, żeby walczyć, i ja nawet poezję piszę po to, żeby walczyć. I nagle z wierszy na antropocentrycznym pergaminie powstaje rzecz tak straszna: nie ma różnicy między mną a moim wrogiem, po co więc mam z nim walczyć?

Pytam o to Matkę Polskę, a ona odpowiada mi natychmiast.

– Syneczku, jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody – pachnie. – Jesteśmy dwoma ciałami, kobietą i mężczyzną, Polską i Niemcami, splecionymi w walce, która jest uściskiem miłosnym. Walcząc, kochamy się. Walczymy z miłości. Podtrzymujemy się w istnieniu, walcząc. Syneczku. Idź, syneczku, zgiń za mnie – prosi.

A ja idę i umieram, zdradziwszy ją. Schubert miesza mi się z Szopenem. Szubert z Chopinem. Nic już nie jest jasne.

I zdradzałem ją również jako samczyk ludzki, nieprzemieniony. Wystarczało, żebym nie marzył nieustannie o kopulacji z nią, o kopulacji ludzkiego samczyka, żebym nie tęsknił do

tego tanatycznego orgazmu, w którym w przewyższającej absolutnie wszystko rozkoszy ludzki samczyk oddaje piczy Matki Polski nie tylko swoje siemię męskie, lecz także całego siebie, wytryskuje całego siebie w Matkę Polskę, a ona go kocha i przyjmuje, i wchłania, i przenosi jego polskie geny, dzieli je i segreguje, i łączy, i poczyną w swoich łonach nowych ludzi nieprzemienionych, aby służyli antropom we wspólnym dziele, aby jej strzegli i ją pielęgnowali, bo tylko po to przychodzą na świat, z niej i dla niej, i przez nią.

I udawało mi się przecież, tyle razy – uciekałem od tej kopulacji, udawało mi się ustrzec przed Rozkazem z gruczołów Matki Polski, bo zatykałem nos i owijałem skórę folią, i uciekałem, bo chciałem żyć i nie chciałem jej kopulować. Nie pragnąłem jej piczy, pragnąłem powietrza.

Ale w końcu Rozkaz przesączał się do moich płuc albo do mojej skóry i wtedy wracałem, a Matka Polska otwierała swoje łono jak liście rosiczki i ja zapadałem się w niej, a ona wchłaniała mnie, lecz mnie nie kochała, i czułem przez skórę:

– Nie jesteś mój! – pachniała oszalamiająco, kamforą. – Nie jesteś moim synem, jesteś zaprzańcem.

I gasłem przy dźwiękach Etiudy Rewolucyjnej. Matkę Polskę niełatwo było zdradzać.

Ale przecież i w waszych czasach, i w waszym wątku historii, musiałbym wybrać. Zadawano mi to pytanie: Polak czy Niemiec? Albo „soczewica koło miele młyn”. Albo Vater unser po niemiecku. Ojczy nasz. Ojczy nasz powiedzieć nie umiesz, chuju? Albo dokumenty! Ausweis! I patrzę w moje czoło czarnym okiem pistoletu albo pieszczą szyję językiem miecza, ugina się skóra, rozstępuje się skóra.

A ja wtedy kłamałem, ale te kłamstwa moje zawsze okazywały się tak łatwe do przejrzania. Więc uciekałem, zawsze uciekałem.

Ale nigdy nie uciekłem zbyt daleko. Bo nie da się uciec. Niemiec. Polak. Niemiec. Polak. Niemiec. Polak. Niemiec. Rzesza. Matka Polska.

Były takie wątki Historii, w których stało się coś, co sprawiło, że nie było Polaków i Niemców. Albo byli, ale zupełnie inni. Kiedy na przykład Zygmunt August wzorem Henryka VIII ogłosił się głową polskiego kościoła narodowego. I Polska została państwem protestanckim, wciągnęła się w wojny religijne i kiedy dwieście lat później powstał Polacy – nie byli już Polakami, chociaż nosili tę samą nazwę. Jednak jej desygnat był zupełnie inny. I tak samo, były też takie, w których nie było Niemców, tylko Bawaroaustriacy i Prusacy.

Był też wątek, w którym w ogóle nie było narodów, nie było Matek Polsk, nie było rozety sonnenrad dookoła zamku w Noremberku ani napisów „Total Mobilaufmachung” i „Silni, zwarci, gotowi” płonących na niebie, ale ja tego wątku w ogóle nie potrafię sobie przypomnieć. Chociaż przecież był, był tak samo mocno, tak samo realnie jak Ewiger Tannenberg albo wasza płaczliwa historia uzalania się nad sobą. Ale nie potrafię go nawet pomyśleć, tak bardzo wsiąknęłam w Matkę Polskę i w Germanię.

A w tej waszej płaczliwej historii, w ogóle jesteście identyczni. Wy i Niemcy. Wydaje się

wam, że jesteście zupełnie inni, ale to nieprawda. Przeżywacie bardzo te różnice: Polakom wydają się Niemcy wyniośli, agresywni, wrodzy, ale też porządni i solidni, lubią przecież Polacy niemieckie samochody, to strach wymieszany z nienawiścią i podziwem.

Polacy zaś Niemcom wydają się brudni, niezorganizowani, skłonni do szaleństwa, to pogarda wymieszana z odrazą i jednocześnie z podziwem, jak u tego smutnego niemieckiego żołnierza, który, tłumiąc warszawską poruchawkę, powiedział z zadumą: też mógłbym być partyzantem, pięknie jest być partyzantem, gdybym tylko był Polakiem...

Bo i Polaków, i Niemców, was wszystkich w ogóle, poruszają tak podobne sprawy: jesteście narodami zrodzonymi z romantycznej sublimacji. Nie tak jak Francuzi albo Amerykanie, którzy narodzili się z polityki, w epoce głupiej wiary w mózg. Wy urodziliście się epokę później, w epoce wiary w ducha: ducha narodu, kryjącego się nie w państwowych urzędach (choć w to mogli niektórzy wierzyć), lecz we wspólnocie, jaką iluzją by nie była. Dla Niemców to Blut und Boden, Krew i Ziemia, dla Polaków – Król Duch, świerzop i dziecielina, szlachecki dworek, w którym w Przewiecznym Grunwaldzie rodzą się małe aantropy, rodzą się do zabijania aantropów niemieckich. Szopen i Schubert. Szubert i Chopin.

Tak samo bardziej cenicie klęskę od zwycięstwa, oczywiście w porządku pieśni i poematów. W porządku polityki chcecie, pragniecie zwycięstwa, a przynajmniej tak wam się wydaje, ale w rzeczywistości chodzi wam o to samo: o to, żeby pięknie, bohaterko przegrywać. Dziesięciolatki w mundurach Hitlerjugend albo w biało-czerwonych opaskach na ramieniu, ze zbyt dużym karabinem albo z za dużym panzerfaustem, lwowskie Orleńskie i studenci pod Langemarck – to wasza polsko-niemiecka wspólnota, wielki, polsko-niemiecki kindergarten dla poległych dzieci, to one i potem znowu one są takie same. Tak samo bali się, że wojna skończy się bez nich i tak samo płakali, i wołali mamę, kiedyś przecinał ich serią albo kiedyś palił ich miotaczem płomieni, tak samo brzmiał ich płacz i takie samo było ich rozczarowanie.

I o nich potem piszecie pieśni. O studentach i maturzystach, którzy ochotniczo, radośnie, ze śpiewem, na ochotnika wstępują do piechoty, królowej wojsk. Infanterie, Königin aller Waffen. Piechota, ta szara piechoota! Oszukują i kłamią, aby się zaciągnąć, a kiedy ich kłamstwa zostają zdemaskowane, strzelają sobie nawet w łeb, bo wojskowy lekarz odsyła ich do domu, bo plecy mają zbyt krzywe, astmę, wzrok zbyt słaby albo wnetrostwo, to jest jądra w jamie brzucha, nie w mosznie.

I wydaje im się, że chcą walczyć za ojczyznę, bić się za ojczyznę, zwyciężać za ojczyznę, a w rzeczywistości przecież oni chcą za ojczyznę umrzeć, idą tam po piękną śmierć, która swoim pięknem opromieni ich zwykle szare życie i to zwykle szare życie również pięknym uczyni, w jednej sekundzie sprawi, że z nikogo staną się kimś, bohaterami.

I nie każą im czekać, nie zostaną zawiedzione ich nadzieje: pozwoli im się umrzeć. Wybiegną z okopów i kłaść się będą pod ogniem kaemów, umierać będą od tych grudek metalu chłopcy, którzy potem potomnym wydadzą się najlepszymi, jakich wydało ich

pokolenie. I może rzeczywiście najlepszymi się stali, lecz dopiero przez swoją śmierć – wcześniej byłiby dokładnie tacy, jak ci, co przeżyli: zwykli. Mierni. A ginąc właśnie, weszli na narodowy panteon, o którym marzyli ich rówieśnicy, dopiero ginąc udowodnili, że w ogóle żyli i że żyli naprawdę.

Tych chłopców macie takich samych. Przez przyrządy celownicze browningów i hotchkissów patrzyłem na ich smukłe młodzieńcze ciała w mundurach, patrzyłem na ich jasne twarze pod okapami hełmów skryte, patrzyłem przez szczerbinki maximów i schwartzlose, i naciskałem na spusty, patrzyłem, jak spełniają się ich ciemne marzenia, jak dulce i jak decorum jest pro patria mori, umierać, sterben, jak znad krawędzi okopu wytryskują szpilki bagnatów niczym palce rozwierającej się tysiącpalczastej pięści i wychodzą chłopcy, po drabinach wybiegają, po wyrżniętych saperkami schodach, i dziurawiłem ich kulami a oni umierali, bellum dulce inexpertis, i nie myśleli o niczym, albo myśleli o mamie, albo o miłości, która została w domu, ale niektórzy potrafili do końca zostać w roli i ci wzywali na świadka swój kraj. Polskę, Niemcy, bez różnicy. Meine Ehre heißt Treue, Bóg Honor Ojczyzna, i niczym się nie różnili, kiedy patrzyłem, gdzie lecą moje płonące pomarańczem strugi kul, i przesuwałem te lśniąco strumienie na ich czarne sylwetki.

Więc ci chłopcy z niemieckiej szóstej armii, studenci i maturzyści, więźli w drucie kolczastym, a nigdy wcześniej nie zaznali jego kłujących, lepkich pnączy. Zza celownika cekaemu przyginałem ich szczupłe sylwetki do ziemi pod Langemarck i łamałem, strącałem im z głowy pikielhauby w szarych pokrowcach.

I ci szczupli chłopcy w Warschau, w cywilnych marynarkach i swetrach, z białoczerwonymi opaskami na ramieniu, ci chłopcy, już pobici, ale ciągle niepokonani, z jednym karabinem na pięciu, ci chłopcy, którym zaglądałem do piwnic dymiącym pyskiem flammenwerfera i ostatnim spojrzeniem rozjaśniałem na pomarańczowo ich głośną śmierć, ci chłopcy z ruin Warszawy i Berlina, z Monte Cassino i ze Stalingradu, i z Caen, i z Wrocławia byli jak bracia, którzy się nienawidzą – ale jednak bracia, jednej krwi, śmiercią zjednoczeni, śmiercią podniesieni, śmiercią kanonizowani, w śmierci pogodzeni, obojętną zgodą martwych bohaterów.

Ale można by pomyśleć, że wszystkim różniły się od siebie antropy z Przewiecznego Grunwaldu: inna w ich żyłach płynęła krew, nie byli już tylko podtypami człowieka, różnili się biologią jak termity od mrówek, pozornie podobni, lecz w istocie odlegli. Polski rycerz antropiczny nie zdołałby zapłodnić niemieckiej antropicznej samicy, nie było języka, którym mógłby się porozumieć panzegrenadier ze strzelcem chorągwi gończej. Ta wojna nie była już wojną ludzką: była wojną lwów z wilkami, nie była wojną światową, lecz wojną światów.

Ale tak naprawdę byli tym samym. Losem ludzkości, skreślonej w dwie współbiegunowe spirale, obok, lecz osobno, lecz razem. W dwie strony odsunęli się od człowieczeństwa i wszystkim już różnili się od ludzi, zrosnięci z maszynami i zrosnięci z Matką Polską, a nie

zdołali odsunąć się od siebie, zawsze razem, zawsze w uścisku, jak zapasy między kochankami i gwałt splatają się z pożądaniem.

I tak uciekałem zawsze od Niemców k Polakom i od Polaków k Niemcom, i tak uciekłem z Noremberku na Szląsko, k Glywicom. Na glywickim podgrodziu zapłaciłem za izbę, wypocząłem po trudach podróży, wyspałem się, kupiłem świec i piór, o wszystko prosiłem po polsku, nie zdradzałem się wcale, że znam niemiecki, chociaż z akcentu słyszeli przecie, żeśm nietutejszy.

I zacząłem spisywać nauki mistrza Lichtenauera, tak jak je pamiętałem, a pamiętałem dobrze, bośm był z tego egzaminowan wiele razy przez księdza Dóbringera i najbardziej niezawodną metodą stymulowany ku nauce – za pomocą kija.

Pisał jeśm dni dwanaście i spisał jeśm wszystko cośm pamiętał, zatym nawrócił jeśm był k Krakowowi, jakoż ze Krakowa bieguna do Melku jeśm kazać chciał.

I tyle razy jeśm do Krakowa wracał. A w istnem światowaniu tylko raz. A potem, w mrzeniu przezwiecznym, tyle razy.

W Przezwiecznym Grunwaldzie w Krakowie były największe serca Matki Polski i serca największych aantropów, i dawnych Polaków, które tłoczyły Krew Matki Polski pospołu z innymi sercami, w jednym krwiobiegu: a więc serce aantropicznego Słowackiego pompuje Krew i serce aantro-picznego Mickiewicza, i generała Andersa aantropicznego pompuje Krew, i Norwida, i Piłsudskiego, i Dmowskiego, i Witosa, i Juliana Tuwima, chociaż niby żydowskie serce, ale nikt o tym nie pamięta i też pompuje Krew, i Szymanowskiego serce pompuje, i Miłosza, i Naszego Papieża Polaka serce pompuje Krew, i to nie są oni dokładnie, to są ich aantropiczne analogi i tysiące innych serc pompują Krew w wielkiej Krypcie Zasłużonych, przez której środek płynie Wisła, i w krypcie mieszczą się podziemia Wawelu, Skalki i Tyńca, a nad nimi rozrasta się Zamek, z szarych bloków piaskowca, Zamek o ciepłych murach.

W Ewiger Tannenberg nie ma szpiegów: bo nie ma prawdziwych zdrajców. I Niemcy bardzo długo myśleli, że w krakowskim zamku kryje się mózg Matki Polski, tak jak ich noremberski Oberstheeresleitung i dlatego przez dwieście trzydzieści siedem lat układali misterny plan; i przeprowadzili go za panowania kaisera Baldura o wysokiej liczbie porządkowej.

Wielka ofensywa po siedemdziesięciu latach zawieszenia broni przesunęła front nad Wartę. Zerstorery z nekrotycznym jadem truły ogromne połcie białego, tłustego ciała Matki Polski, a potem my, knechci, ładowaliśmy to ciało – biała skóra, białe, lecz przekrwione sadło, ręce, oczy, uszy, piersi i cipy, wielkie gruczoły, które ciągle pachniały polskimi rozkazami, więc musieliśmy nosić maski i gumowe kombinezony. Cięliśmy to ciało wielkimi lancami, podobnymi do wielorybniczych i hakami na długich trzonkach ładowaliśmy na wagony pospiesznie ułożonej kolei: a pociągi wiozły je do najbliższych aantropicznych żołądków. Przy granicy ciało Matki Polski nie było dobrze rozwinięte, miąższość jego nie

przekraczała pięciu centymetrów podziemnej tkanki i, odliczając straty, po zagarnięciu niecałych trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych terenu, zdążyliśmy pozyskać osiemset milionów ton materii organicznej, co było ekwiwalentem półtoramiesięcznego zużycia energii całej Germanii.

Był to więc łup ogromny i należało się spodziewać, że Matka Polska uderzy z całą mocą, i tak się właśnie stało, już dwa dni później nasze siły pod naporem aantropicznych rycerzy wycofały się za Odrę, nad którą toczono ciężkie walki.

I o to właśnie chodziło – wtedy, w słabiej bronioną przestrzeń powietrzną Matki Polski, front omijając od południa, wdarły się cztery eskadry luftfahrzeugów i zbombardowały Zamek z piaskowca, oczekując, że zabiją Matkę Polskę, tak jak Germanię, będącą ideą, można by zabić, niszcząc Blutfabrik w górze Brocken albo Oberstheeresleitung w noremberskim zamku.

Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło: następnego dnia Matka Polska pachniała nowymi rozkazami i każdy z nas poczuł, że musi się przyłączyć do akcji odbudowy zamku, i maszerowaliśmy, z łopatami i kilofami na ramionach, śpiewając, i gładziliśmy ciepłe bloki z piaskowca, i ustawiali jeden na drugim, tysiące rąk, miliony rąk, miliony serc, miliony mózgów, miliony niewieścich mózgów zatopionych w ciele Matki Polski, której nie można zabić, bo jest zbyt duża, sześćdziesiąt miliardów ton ciała wsysa energię wszystkich roślin, które w niej rosną i gryzie to ciało kobiece skryty pod ziemią węgiel i sący skrytą pod ziemią ropę. A chirurdzy aantropiczni przyszywają do żył i tętnic Matki Polski zakurzone serca Zasłużonych, wygrzebane ze zburzonych krypt.

I rośnie Matka Polska powoli, i stapia się z ziemią, na skraju jej ciała są miriady palców, delikatnych kobiecych palców, które dotykają kamieni, rozcierają piasek, gładzą żdźbła trawy i rosną, przesuwają się do przodu, Matka Polska cały czas rośnie, tak jak cały czas rosną Niemcy, i tylko tam, gdzie graniczą (a niemieckie „Grenze” to słowiańskie z pochodzenia słowo) obopólny wzrost nawzajem się znosi, siłują się w słodkich zapasach, przesuwając pas ziemi niczyjej ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód.

I pamiętam jak leciałem do tego Krakowa, ale, oddzielał, nie było tam Matki Polski i był całkiem zwykły Wawel. Więc leciałem na pokładzie wielkiego srebrzystego focke-wulfa 700 z nabitym glockiem w kieszeni munduru i nie bałem się rewizji, bo pułkowników z Blechkrawatte na szyi nikt nie odważy się rewidować na lotniskach. Glock zaś był mi potrzebny, bo wiedziałem, że na wejściu do Wawelu będę musiał oddać kaburę ze służbowym pistoletem, taki od dawna był zwyczaj, a leciałem zabić Hansa Franka.

Potem jechałem samochodem z lotniska na Wawel, potem wszedłem, pamiętam, na kwatery Franka, wyciągnąłem rękę w Deutscher Grufe, Frank odpowiedział skinieniem pomarszczonej, sępiej głowy, a ja włożyłem rękę do kieszeni, wyciągnąłem glocka i zacząłem strzelać do Franka, i wystrzelałem cały magazynek, i zapadł się władca polskiej marchii bezwładnie w swoim wózku inwalidzkim, i lał się fizjologiczny roztwór soli z

podziurawionych worków kroplówki. Zmieniłem magazynek i zastrzeliłem sekretarkę, żeby przestała wrzeszczeć – a wrzeszczała po polsku – potem zobaczyłem adiutanta, który wpadł do komnaty, słysząc łomot przewracanego krzesła, i adiutanta też zastrzeliłem. Potem przypomniałem sobie o starym zwyczaju i głośno powiedziałem:

– W imieniu Rzeczypospolitej – po czym wypuściłem z ręki pistolet i spadł na dywan, a ja wyszedłem i nikt mnie nie zatrzymywał, i minąłem miejsce, w którym w dwa tysiące dwunastym roku obudziliśmy Zmeja Wawelskiego.

Zmeja, który był Czarnym Bogiem i spał, zwinięty, miedzianołuski pod wawelską skałą – a był to rok dwa tysiące dwunasty. Odkopaliśmy go przypadkiem pod naszą siłownią naprzeciwko Wawelu: robiliśmy remont i Chudy usłyszał głuchy dźwięk pod podłogą, więc rozwaliliśmy podłogę, spodziewając się hitlerowskich skarbów, bo jakoś nam się to tak uniwersalnie łączyło, że jak skarby, to hitlerowskie, a potem wleźliśmy do czegoś, co było tylko małym zagłębieniem pod podłogą, ale były tam stare cegły i trzeba było zacząć kopać.

Wtedy chudy dał mi plaskacza w kark i kazał kopać, więc zacząłem. Byłem zwykłym hoolsem i miałem jeden cel w życiu: być z nimi, być w tej prawdziwej bojówce Cracovii, dostać firmową bluzę i być taki jak oni. A oni to wiedzieli, wyczuwali tę moją determinację i wyczuwali, że było jej za dużo, i wiedzieli to, czego ja nie wiedziałem: zbyt mocno mi zależy, zbyt jestem pokorny, więc zawsze będę się mógł obok nich kręcić, ale nigdy nie będę jednym z nich.

Dlatego dostałem plaskacza w kark i szpadel, i dlatego zacząłem kopać. Potem nawet mi pomogli, zmieniali mnie i było tak jak zwykle, nikt nie robił mi krzywdy przecież i nigdy nie pozwoliliby psom mnie tknąć, ale jednak kiedy byliśmy sami, to ja byłem ofiarą wszystkich żartów i kpin: i mimo że przecież nie ustępowałem im pałarem, wyciskałem na klatę tyle, co najlepsi z nich i napierdalałem się tak, że pilnowali mnie, żebym był na każdej ustawce – ale wiedzieli też, że mogę napierdalać psów, ale nigdy na żadnego z nich ręki nie podniosę i byli tego pewni, więc się mnie nie bali, a skoro się nie bali, to nie szanowali.

Więc kopałem, kopałem i inni kopali, i w końcu odkopaliśmy jego miedziane cielsko, i zaczęliśmy wrzeszczeć ze strachu, jak dzieci na horrorze, i wtedy Zmej przemówił:

– Stranno rieszczeta. Nie imam nynie ischoda ot tego mesta. Wiedita mene bole otrokowic a sotworu wy niepoborima. Idita.

I na początku był oczywiście problem z porozumieniem, ale w końcu się udało, my przynosiliśmy mu dziewice w ofierze, które on pożerał, ale braliśmy Cyganki brudne, jemu było obojętnie, a nam jakoś głupio było dawać nasze dziewczyny, w każdym razie on je pożerał, a nas uczynił niezwykłymi.

I nie baliśmy się już psiarni ani wiślackiej, ani policji, więc najpierw pozabijaliśmy wszystkich kibiców Wisły i gadali o nas we wszystkich wiadomościach, i nawet żandarmerię wojskową wysłali na ulice, a potem pozabijaliśmy wszystkich policjantów i wszystkich żandarmów, i mówili już o nas nawet w CNN i NBC, i BBC, a żony i córki psów złożyliśmy

Zmejowi w zertwie, a potem była wielka wojna, a ja ciągle nie byłem prawdziwą elitą, więc w końcu pozabijałem ja moich braci, bo Zmej mi kazał, a potem, w świecie, który już płonął cały, wszedłem do katedry wawelskiej i otwarłem grób mojego ojca, króla Kazimira, zdjąłem jego koronę, założyłem ją sobie na głowę i splunąłem na jego truchło, a potem Zmej mnie pożałował, bo nie było już Welesa, który mógłby go zdeptać ani świętego Jerzego.

I oddzielałem też takie wjazdy do Krakowa, które były prawie nieodróżnialnym cieniem mojego istnego światowania – tyle że wjeżdżałem nie jako luźny człowiek podejrzanej konduity, lecz jako rycerz ze złocistym pasem na biodrach.

Jako prawdziwy człowiek, na którego mieszczki patrzyły tak, jak wasze nastolatki patrzają na chłopców, którzy są ucieleśnieniem ich marzeń: muzyka popularna jest pretekstem do tego, aby mogły na nich patrzeć i wielbić ich, mimo że są niedostępni, albo raczej, ponieważ są niedostępni, zupełnie niedostępni.

Tym właśnie byłem dla tych krakowskich mieszczek, kiedy wjeżdżałem jako miles strennus w tym bliskim cieniu istnego światowania: przecież wiedziały, że mieszczka nie zostanie ani moją żoną, ani damą mojego serca, mieszczkę mogę wycudzić, ale tylko w sposób, w jaki się cudzi dziewczkę łąziebną, a one przecież nie były dziewczkami, żeby je tak cudzie, więc nic między nami dziać się nie mogło, i one to przecież wiedziały doskonale, a jednak wielbiły mnie, spoglądały na moje utrefione loki, na zwisające ze strzemion noski poulaine i na czyn koński bogaty, i na konia pysznego, i tęskniły do mnie, a potem wychodziły za czeladników, suszyły im głowę, aż się wyzwolą na mistrza, i żyły mieszczańskim życiem, zapominając o rycerzyku, do którego wzdychały w młodości.

I w tym przewiecznym umieraniu tak bliskim światowania: te ich westchnienia, policzki zapłonione, wzrok spuszczone; karmiłem się tym, bośm spomniał na istne światowanie, jak wjeżdżałem istnie do Krakowa i mieszczanie patrzyli na mnie z odrazą: oto do miasta wjeżdża jakiś luźny człowiek, człowiek inny, ktoś z gościńca, ktoś szukający zarobku, cyrkowiec albo aktor, może kto bystrzejszy widział długi pakunek przy siodle i domyślił się jest – oto szymirz wjechał, fechschule będzie na jarmarku robił, młodzież psuł będzie, sam pewnie złodziej.

I co, miałem krzyknąć? Miałem złazić z konia, chwycić za suknię, potrząsać i tłumaczyć „Królewskim bastertem jeśm!”? „Panów przyrodzonych kry w mych żyłach ciecze!”?

Więc milczałem, patrzyłem w końską grzywę, a czarni bogowie byli coraz bliżej.

Myślałem wtedy o mojej maćce. Przez te lata, kiedyś m u księdza Döbringera stworność szymirską ćwiczył, zdołałem zapomnieć, kim moja maćka była. Zepchnąłem tę myśl głęboko, zepchnąłem obrazy cudzących moje maćkę mężczyzn, zepchnąłem głęboko obraz mojej maćki rozwiązującej troczki u nogawic machlerza Wszesława i rozkładającej nogi, i zzuwającej bawet, i nagiej wchodzącej do balii z wodą, i wypinającej huzno ku sterczącym rzapiom, i obraz rąk męskich miętoszących jej grędzi, wszystko to zepchnąłem głęboko i przykryłem tym, cośm potem spisywał w Glywicach na papierze i cośm z Krakowa biegunem

k Melkowi pchnąć potem kazał.

Nie widziałem więc mojej maćki, bo w głowie miałem tylko moje hawen und schnitten, cięcia, uderzenia i pchnięcia, miałem w pamięci to, jak układać lewą dłoń na głowicy, kiedy przedramiona krzyżują się przy ochs z prawej strony, pamiętałem, jak prostować łokcie przy mocnym oberhaw i jak ustawić stopę w ringen am schwert, żeby wroga łącno na ziemię obalić, miałem w pamięci, jak się miecz brusi i jak mocno dopinać paski harnasza, jak w męża wrazić puginał, żeby zabić, a gdzie, żeby zranić.

O maćce pamiętałem jeno, że była. Pamiętałem jej pieszczoty, jej uśmiech, pamiętałem naszą izbę, ale nie pamiętałem już, że była przy łaźniach miejskich, w domu zbytnim. I pamiętałem, że przychodził do nas machlerz Wszesław, lecz pamiętałem go jako rycerza von Kónigsegg, nie jako machlerza.

Ale jednak coś mię pchnęło do tych łaźni. I stanąłem przed nimi, zsiadłem z konia i patrzyłem: azaliż poznają ja ten budynek, azaliż przewidują to budowanie?

I nie, nie przewidują, nie poznają, nie wiem, nie chcę wiedzieć, chcę tylko jakąś dziewczkę wycudzić, więc rzucam stajennemu monetę i wodze, gestem takim, jakbym był rycerzem, nie zaś nikim, mówię mu, że jeśli od konia coś zginie, to mu oderzną obie dłonie, a chłopak się boi, i idę do łaźni, i wchodzę do środka, i przewiduję oblicza jakie takie, i nie przewiduję, nie chcę pamiętać ani poznać, ani wiedzieć, aliści idę do dziewczki niemłodej i daję jej pieniądz czeski, i mówię:

– Kąpielicę mię przyprawowuj, a potem zwłaczaj się z odziewa i poč k mię, koczugo.

I wiem, wiem, znam ją, przewiduję ją, pamiętam ją, była družką maćki mej, a ona mnie nie przewiduję, bo urósł jeśm z małego chłopczyka w urodziwego junocha z mocną grądzia, jak miałyby przewiedywać mnie skąd.

I ona nie wie, nie wie, i każń moje jiści krom mieszkania, jako maćka moja jiściła była jest zawszeć, i ona jiści, boć przecieź nie włada sobą samą, boć przecie jeśm jeji panem jako Bóg Gospodzin, jako król, jako machlerz, bośm zapłacił, aliści idzie za mną i idziemy do łaźni, idziemy po schodach do łaźni, idziemy, idziemy, ja siadam, ona kąpielicę mię przyprawowuje, grzeje wodę, wlewa cebrzykiem do wanny, zewleka się z sukni, jako się maćka moja zewlekała jest była, a ja siedzę i ona podchodzi, i zwłacza moje szaty, i rozwiązuje troczki przy moich nogawkach, i przy sączku rozwiązuje troczki, rozwiązuje troczki, zwłacza mój dublet i staję nagi przed nią, a ona mówi aksamitnym, pełnym udawanego pożądania głosem:

– Och! Jakże wielikie rzapie masz, mój panie krasny, jakże wieliki choj.

Jako maćka moja mołwiła jest była k rycerzowi Kónigseggowi abo machlerzowi Wszesławowi, a ja patrzył na to jeśm był i ja słuchał jeśm był.

I przewiduję sobie wszystko, przypomniałem sobie moją matkę kurwę i wszystko, co widziałem, nagle przesaczyło się przez nauki księdza Döbringera k sąmnieniu memu.

I uderzyłem duchnę w twarz, z całej siły, aż upadła, ale wstała zaraz i przepraszała, żeśm

się przez nią zdenerwował, a ja uderzyłem ją po raz drugi i słyć zaczęła, płakać, płakać, jak płakała maćka moja, nienawidziłem jej tak, jak nienawidziłem mojej maćki.

Czarni bogowie tańczyli dookoła mnie, śmiejąc się i pokrzykując: oto jesteś kim jesteś, otroczę! Oto twoje trzebiszcze tutaj, w domu zbytym, w Krakowie, oto jesteś prawdziwym człowiekiem, oto zrzucasz kajdany, otroczę! Wreszcie! Tańczył Perkwunos, zwany Indrą, tańczył Dyeus Pater, tańczyli Deiwos i Welnos, i Krysna, i Zmej też tańczył. Oto jest twoja dharm, szczenię Ariów, jesteś jak tygrys, więc żyj jak tygrys, nie rozpaczaj. Jesteś smokiem, więc żyj jak smok.

Chwyciłem duchnę za szyję i bała się mnie strasznie, bała się, że ją zabiję, jakby w jej życiu było cokolwiek, do czego mogłaby być przywiązana, jakby jej życie miało wartość większą niż kręgi na wodzie, kiedy w wodę rzucić kamień, a jednak bała się, ale ja jej nie zabijałem, rozwarłem kolanem jej nogi i wepchnąłem moje rzapie w jej suchą picz i zacząłem ją cudzie, zbyt mocno i krzywdziłem ją, ale ona w tym bolesnym cudzeniu widziała dla siebie nadzieję, więc zaczęła jęczeć tak, jakbym sprawiał jej lubość, nie ból i zaczęła nawet kręcić biodra, jakby większej lubości szukając, i nawet zwilgotniała jej chamajda, więc nie przerywając zacisnąłem dłoń na jej gardle i przestała zaraz jęczeć, i postanowiłem, że ją zabiję, i zacisnąłem dłoń z całej siły, i cudził jeśm ją dalej, a ona zaczęła sinieć na twarzy jest i chwyciła mnie dłońmi za przedramiona jest, ale zbyt niewiele miała siły i zbyt niewiele woli do życia.

I bych ją ubił jeśm, aleć do izby wszedł machlerz, nie Wszesław, ale inny machlerz, wszedł bronić swojego skotu, bo usłyszał hałas, bo przecież nie przyszedł bronić człowieka przed śmiercią, tylko swojego bydłcia przed zniszczeniem i rzucił się na mnie, i zepchnął mnie nagiego z nagiej duchny, i ocalił jej życie, a ona wybiegła z izby kaszląc, a machlerz rzucił się na mnie i chciał mnie zabić, ale to ja zabiłem jego.

Zabił go jeśm bośm był młodszy, silniejszy, bo mie zapasów uczył jest Otto Żyd. Machlerz miał puginał, aleśm mu go łatwo zabrał, a potem wraził w pierś, aż po jedlca, a miał puginał tegoż machierza rękojeść na kształt rzapia męskiego, razem z jajcami, a więc wbił jeśm mu ów flandryjski puginał w grądzie aż po te jajca z drzewna uczynione.

Czarni bogowie wzięli się za ręce. W istnem światowaniu nie znałem tych słów, bo przecież w tym domu zbytym, w którym mnie wychowywano, żyłem głęboko w świecie znaków i symboli semickiego chrześcijaństwa; a więc nie znałem takich słów jak żerca i żertwa, i trzebiszcze, a przecież tego właśnieśm dokonał, ten chudy alfons, nędzny następca Wszesława, był moją żertwą.

Drzwi do izby uchylły się. Ciągłe naga duchna, którąśm cudził przed chwilą, zajrzała przez szparę: i zobaczyła zabitego machierza, i mię nagiego na nim, i ubieżała jest.

A ja jeśm zrobił, co zrobił. I nagle zaczął jeśm bać się konsekwencji: bośm przecież znowu zabił człowieka! A cóż, jeśli pójdę do piekła! A jeśli złapią mnie teraz, zaraz – i powieszą na rozstajach pod miastem, a z mojego truchła będą czynić sobie amulety.

I zszedł k mię Krysna, ciemnoskóry i piękny, i zapytał:

– Skąd spada na ciebie, Ardżuno, w tej decydującej, niebezpiecznej chwili, tak haniebna, wojownika aryjskiego niegodna rozpacz? Bolejesz nad tymi, nad którymi boleć nie należy. Człowiek rozumny nad żywym nie boleje ani nad umarłym.

I w istnem światowaniu nie wiedziałem, że to był Krysna, tak jak nie wiedziałem, że w ogóle w jakiś sposób istnieje, że ktoś do mnie mówi, słyszałem po prostu głos w mej głowie, nie wiedziałem też, że mówi do mnie słowami świętej księgi Ariów, starszej niż „Biblia”. I przecież zwróciły się do mnie głosy moim imieniem, nie imieniem Pandawy, dziecka – daru Indry – Perkwunosa.

Rzekł do mię: Paszko, powiedział moje imię.

Zresztą może nie mówił; może to teraz, w moim wiecznym teraz, umierając przezwiecznie, wiem wszystko, może po prostu przyłożyłem do tamtej sytuacji rzeczywistość, którą poznałem po śmierci, i w strasznym do śmierci przebudzeniu na koniec czasów.

Ale słyszałem ten głos w głowie: człowiek rozumny nad żywym nie boleje ani nad umarłym.

Wstałem, oporządziłem jakoś odzienie, związałem troczki nogawic i sącza. Martwego machlerza wzięłem za szmaty i pociągnąłem ku schodom, i zepchnąłem w dół, na parter, gdzie w łaźni zgadywali się patroni z duchnami, gdzie moczyli się w baliach, gdzie mokre koszule oblepiały grędzi duchien, gdzie gorąco w powietrzu pachniało potem męskim i niewieścim, i parą, i chucią.

Więc ciało spadło na dół, i ja zszedłem, w szatach pokrwawionych, i stanąłem nad martwym machlerzem, i Perkwunos stał za mną, i nie bolałem nad żywym ani nad umarłym, i oświadczyłem, iż ja jeśm tu teraz machlerzem nowym, bośm ubił machlerza starego.

– Taka była jest kaźń pana Wszesława – dodałem jeszcze nie-swoim głosem.

I może powinni pomyśleć, żeśm wariat, miał jeśm przecie tak mało lat wtedy, duchny powinny zacząć sobie ze mnie kpić, wyszydzać mię, więc któryś z roślejszych i odważniej szych patronów, jakiś mistrz rzeź-niczny albo kowal, winien wyjść z balii, nie sromając się swojej nagości, chwycić mię za kark i wyrzucić przez drzwierza w błoto albo oddać katu, bo znał się przecie dobrze z machlerzem i płacił mu dobrze za to, żeby machlerz dlań trzymał najmłodsze, najświeższe dziewczki, często dziewicze, które meister rzeźniczy przyuczał do kurwiego zawodu, ku machlerza pożytkowi a swojej uciecze.

A jednak: nie mieli mnie za wariata, za wiłę. Nie zabili mnie na miejscu. Nie widzieli przecie czarnych bogów, co zstąpili za mną, stopy i palce zamaczając w krwi zabitego machlerza, a jednak nie śmiali się ze mnie. Może to Perun dotykał ich serc.

Więc po prostu byli tam, patrzyli, a ich milczenie oznaczało zgodę.

Było we mnie coś strasznego, jakaś groźba, której nie trzeba wypowiadać, był trup na podłodze łaźni i były duchny, którymi trzeba było się zająć.

I tak, w jeden wieczór, zostałem machlerzem. Pierwsze, co rozkazałem, to sprzątnąć ciało

poprzedniego machlerza: trafił do Wisły. A potem – zająłem się kopulacją, bośm był jurny i spragniony kobiet, i z nauk machlerza Wszesława, i wiedzą lwa wiedziałem, że tylko w jeden sposób mężczyzna może władać stadem kobiet: kopulując je wszystkie, nie miłośnie, lecz władczo.

Więc wycudziłem jednej nocy wszystkie duchny w domu zbytnim, bogowie czarni tylko wiedzą, skądęś na to wziął siłę, a one uznały mnie za swojego pana.

A potem powiedziałem im, kim jestem – synem mojej maćki i króla Kazimira, i one wszystkie uwierzyły mi natychmiast, bośm był ich panem i znały przecie moją maćkę. I wierzyłem wtedy, że tak ścieram z siebie to znamię: znamię kurwie macierze syna, znamię basterta w domu zbytnim chowanego, niemego świadka bezceństw, jakie z moją własną maćką odprawiał każdy, kto chciał za to zapłacić, znamię świadka hańby własnej maćki.

I tak właśnie wtedy sądziłem: każda kopulacja z duchną z domu zbytniego, w którym się wychowałem, to przejście na drugą stronę: wychodzę z chłopca, który podgląda przez szpary w przepierzeniu, i staję się jednym z tych silnych mężczyzn, którzy cudzili moją maćkę, przełamuję własną słabość.

Staję się innym mężem, staję się mocny i potężny. Ocieram zmęczone rzapie swoje płatkami batystowym, co go król Kazimir mojej maćce dał jest, jakbym pluł mu w twarz. Jakbym mu mówił: tyle dla mnie znaczysz, co szmata do obtarcia chuja. Jestem silny i szczęśliwy.

Ale to wszystko nie dzieje się jednak w moim istnem światowaniu, oddzielam. To jednak przezwieczne umieranie: nie wiem, nie umiem sobie przypomnieć, to znaczy nie umiem oddzielić z siebie tego, wyciągnąć tego z Wszehpazka, którym jestem, nie wiem, czy czarni bogowie byli już wtedy, czy pojawili się u mnie dopiero po tym strasznym przebudzeniu do śmierci, bo czymże albo kimże mieliby być? Bo przecież, skoro się przebudzili jesmy do wiecznego umierania w tym złym wszechbożku, co go nie było, a teraz jest, echie aszer echie, będę, który będę w czasie przyszłym, futurum, to znaczy, że wtedy, kiedy światowaliśmy, nie było go, ani nie było Boga Gospodna, ani Jezukrysta, ani Bogurodzicy, ani czarnych bogów, Zmeja ani Welesa, Dziwa Pacierza i nikogo, i niczego, i w umieraniu była tylko czarna pustka i nic.

I słuszną była moja nadzieja, wtedy, kiedyśm patrzył w niebo pod Grunwaldem spod żelaznego ronda kapalina, gdaż kary destrier zdeptał mi pierś, słuszną była moja nadzieja, że się w tę czerń zapadnę i że mnie nie będzie więcej, i wcale. Czy wtenczas tańcowali na niebie czarni bogowie są? Czyśm ich przyśnił w tym śnie śmiertelnym, tak jak śnię Wieczny Grunwald, to jest raczej śni go wszechbożek, ten sam, co śni mnie, który jestem tylko widziadłem sennym wszechbożka.

Ale widziadła, mary senne, iluzje cierpią i to cierpienie jest już prawdziwe, bo boli, boli mnie, Wszehpazka, który jestem przecież złudą, ale boli tego pseudomnie, co nie jest mną, boli po stukroć, po tysiackroć, mirady cierpień we wszystkich moich życiach, jestem więc ten,

który nie jestem, a boli, jakbych był.

Więc jak było w istnem światowaniu? Na pewno zabiłem machlerza, prawie na pewno zabiłem machlerza, raczej zabiłem machlerza, chyba zabiłem machlerza, może zabiłem machlerza. Płatkim panakazimirowym obtarłem sobie przyrodzenie, po tym jak dziewczki cudził jeśm, żeby mu pokazać, królowi Kazimirowi, jak nim gardzę i jak go nienawidzę, i nie czułem się od tego ani silny, ani szczęśliwy, czułem się, jakbym plując na kogo innego, sam sobie w twarz napluł, wiła, paduch i kiepuś, ja, mierzwa ludzka, wyrzutek i wymiot, kurwie macierze syn.

Rozumiesz, óccze? A on nic nie rozumie, nie ma go tutaj, przy mnie, chociaż przecież musiało być tak wiele wątków, w których żył jeszcze, w których nie umarł przed moim urodzeniem, w którym czyni mnie swoim faworytem, nie następcą, to jasne, ale daje mi pas i ostrogi, i urzędy, i to ja, a nie Bartosz z Wezemborga jadę przez Europę z orszakiem, to mnie znają na dworach, to ja posłuję do cesarza, do królów i książąt, a pod Grunwaldem, który nie jest Grunwaldem, tylko inną bitwą, ale bitwą z Zakonem, jadę jako przedchorągiewny wielkiej chorągwi Ziemi Krakowskiej, biało-czerwonej, zaparty w siodle, kółkami długich ostróg tykam boki końskie i chociaż uda spowija mi kolczuga i harnasz, to czuję, jak pięknie, równo idzie koń, kopia jeszcze wysoko, wrzeszczę coś, czego i tak nie słyhać, bo więźnie to w moim szłomie, i jestem człowiekiem, prawdziwym człowiekiem, nie mierzwą, nie ludzkim wymiotem, nie kurwie macierze synem, tylko człowiekiem w pełni. Mogę żyć jak człowiek i umierać jak człowiek, nie jak skocię. Ale nie oddzielam tegoż, nie oddzielam.

Jak było w moim istnem światowaniu? Nie, nie zabiłem machlerza. Nie wszedł nawet do izby i duchny też nie zabiłem, zbiłem ją tylko bardzo mocno, a potem uciekła z izby poskarżyć się machlerzowi i spotkałem się z nim na dole, już w łaźni, a on popatrzył na mnie, a znał się na ludziach, i stwierdził od razu, że nie chce ze mną zwady, więc całkiem uprzejmie poprosił mnie, żebym się z łaźni wynosił i więcej nie wracał. Ja też zwady nie chciałem, więc się wyniosłem, zabrałem odzienie i konia, i miecze, i poszedłem szukać noclegu, i znalazłem, izbę niedrogą, zapłaciłem z góry za miesiąc, za konia utrzymanie w stajni zapłaciłem i za bieguna zapłaciłem, dużo pieniędzy, żeby mój manuskrypt zawiózł do Melku, jak skazał ksiądz Döbringer.

I siedziałem w mojej ciemnej izbie, nic nie mając do roboty. Aby zorganizować fechtszulę na targu, to znaczy pokaz szymirstwa, musiałbym mieć jakichś towarzyszy, z którymi mógłbym szymircze sztuki pokazywać. Założyć stałej fechtszuli nikt mi nie pozwoli, nie mam listów polecających, niczego, a poza tym, gdyby nawet się udało, słowo poszłoby w świat, a w Noremberku dla wszystkich przecie jasne jest, żeśm to ja Döbringera ubił i ograbił, więc prędzej czy później przyjechałby który z księdza dawnych przyjaciół i zabił mnie od razu, na miejscu, albo pojmał i do Noremberku zawiódł, na męki i stracenie.

A przecie chciałem żyć, jeszcze wtedy chciałem żyć, bośm nie rozumiał jeszcze, że lepiej jest umrzeć i nie żyć wcale. Potem zaś to zrozumiałem, ale dalej nie rozumiałem tego,

że nie dana będzie mi ta łaska, nie dostąpię tego zaszczytu, aby po prostu nie być i wyrokiem na wieczne trwanie przypieczętują mój los człowieczy.

Wymyśliłem wtedy, że wypytam tę duchną, cośm ją skrzywdził, wypytam o wszystko, co wie, o mojej kurwiej macierze i chodziłem pod dom zbytni, i zaczajałem się na nią, czekałem, aż wyjdzie kiedy, i w końcu wyszła – prać, bo z wielkim koszem bielizny, i poszedł jeść za nią, aż nad Wisłę i tam podszedł jeść do niej, a ona przełękła się i krzyczeć poczęła, a ja jeść jej grosz rzucił, jeden z moich ostatnich, i rzekłem, żeby milczała, bo nic jej nie zrobię, tylko pytać chcę.

Więc milknie. A ja jej mówię, żeśm synem duchny, co w domu zbytnim była, i że na imię mi Paszko, i czy mię pamięta.

A ona patrzy na mnie i słyży.

I ja wiem, czemu ona słyży, ona słyży, bo sobie mię przypomniała, chudego chłopaczka, którego kochała jak wszystkie duchny, a może najbardziej ze wszystkich, chłopaczka, który robił jej pięknie „pa, pa” i tak pięknie dawał całowanie, i który tak ładnie umiał nazywać różne rzeczy po polsku i po niemiecku, i całe pater noster po łacinie umiał powiedzieć, chociaż jeszcze seplenił, i był taki miły dla wszystkich swoich mamek, czyli ciotek koczug i był jedynym, którego był dla nich dobry i mówił im, szepluniąc, że cię barzo miłuję, mamko Katarzynko. I obejmował małymi rączynkami za szyję. I był dobry, dobre miał serce, w świecie, w którym dużo dobroci się nie spotykało.

I ten Paszko się zgubił, zniknął, zamiast niego wrócił Paszko inny, należący już do świata mężów, Paszko nie ze śliczną maleńką kuśką do sikania, tylko Paszko z wielkim rzapiem, które będzie w nią wbijał i z mocarnymi ramiony miast rączyn małućkich, z ramiony, którymi może zbić, udusić, schwycić za włosy i ściągnąć na ziemię, Paszko, który przynależy już do świata, którego się bała i nienawidziła, od którego cierpiała same krzywdy i może trzeba było zabić tego małego Paszka, utopić w balii, zanim się stanie taki, jakim się stał jeśćm, zabić wszystkich mężów zaraz jak się narodzą, aby potem z ich ręki nie cierpieć.

I w końcu służyć przestała, wtedy spytał ją jeśćm o moją maćkę. I odpraszał ją jeśćm za to, co żeśm ją w domu zbytnim fatal i zbił.

A ona wtedy, duchna Katarzynka, zaczęła mi opowiadać. O tern, jak maćka moja do domu zbytniego przyszła, bo została na ulicy sama, bo ojciec jej, a mój dziad, wyrzucił jej z domu, zaraz jak mój ojciec król Kazimir umrzał, nie było doma miejsca dla mojej maćki i dla mię, i porodziła mnie w szpitalu dla biednych, a potem ją wyrzucili ze szpitala i co miała jeść, z dziecięciem na ręku, gdzie mi pieluszki przewinać? Ale spotkał ją machlerz Wszesław na ulicy, pewnie wiedział skądś dobrze, że tak urodziwą dziewczkę ze szpitala wyrzucili, bo urodziwa była wielce, nic jej po moim porodzeniu ciało się nie popsowało, grędzi miała mocne i wysokie, i chuzno mocne, nabite i włosy piękne, jasne, gęste, i wziął ją do siebie, i mnie do siebie wziął machlerz Wszesław, i od razu powiedział jej, na co ją bierze, na jaką pracę i zgodziła się przecie, bo jakże miała się nie zgodzić, i zażył jej machlerz tej pierwszej

nocy od razu, a ja, to znaczy ten pierwszy Paszko, więc on-ja leżał jeśm albo on leżał jest obok w powijakach, a on, Wszesław, cudził moją maćkę po raz pierwszy, był jej drugim mężczyzną, po królu Kazimirze, a już następnego dnia miała patronów.

I opowiedziała mi też duchna Katarzynka o tym, co opowiadała jej maćka moja: o słudze Pełce, który ją do króla Kazimira poprowadził, o płatku batystowym z królewską literą, o wszystkim tern, cośm już powiedział wcześniej, ale czego zapomniał jeśm był, istnie światując, jeśli to było istne moje światowanie.

I wtedy nagle zrozumiałem ja: to Pełka jest moimi drzwierzami do złotego rycerskiego pasa. On jeden, króla Kazimira dworzan, zaświadczyć może, żeśm bastert królewski. On widział na własne oczy, jak mię król Kazimir począł w łonie maćki mojej, a przy tym nie jest przecież z mierzwy ludzkiej. Nie jest kurwą, katem, złodziejem, cyrkowcem, aktorem, kuglarzem, szymirskim meistrem, ani Cyganem, ani Żydem, ani Żmudzinem czy Jaćwingiem dzikim, jest dworzanem, a więc szlachcicem, prawdziwym człowiekiem, mężem, jeśli on powie, że ten tutaj Paszko to królewski bastert, to same te słowa uczynią mię już człowiekiem, pasują mię na człowieka, i nagle stworność szymirska moja, która teraz jest cyrkowym kunsztem, jak połykanie ognia albo żonglerka, stanie się rycerskim przymiotem. Zakładając zbroję do harniszfechten, przestanę być w tę zbroję cudacznie przebrany, niczym mąż w białogłowskich sukniach, lecz będzie ta zbroja nagle tak mi pasować jak mitra biskupowi. I herb mi dadzą jakiś, i każdy będzie wiedział, żeśm bastert, ale nie lada jaki bastert, ale królewski, a królewski bastert to nie sromota, jak zwykle kurwie macierze syny, królewski bastert to cześć, to zalot, poczesność wielka.

I czemu nie miałby tego Pełka uczynić, czemu nie miałby zaświadczyć za mną, przecież mu nic to nie zaszkodzi, a zyska we mnie nieliczego przecież przyjaciela, bom w szymirstwie stworny, mocny jak tur, a byłby mię zrobił rycerzem, winien bych mu był wdzięk przezwieczny owszem. I byłych mu wdzięczny i wierny, służyłych mu do śmierci, bo to nie byłaby już służba psa, służba ludzkiego wymiotu, to nie byłaby już służba będąca łaską pana względem sługi, niewolnika, to byłaby służba godnego godnemu i taką służbę przyjąłych chętnie.

Dałem jej jeszcze grosz drugi, niewiele mi już zostało, przyjęła z wdzięcznością i zaproponowała, że mi tu zaraz w takim razie rzapie wydoi, byłych jeno chciał. Nie chciał jeśm, a potem, w mojej izbie, żałował jeśm, żeśm nie chciał, samogwałcąc się posepnie na wspomnienie słów jej. Ale powiedziała też, że mogę do domu zbytniego przyjść, ona powie machlerzowi, że to była tylko zatarga niemądra, że ze mną wszystko jest dobrze.

I zanim poszedłem do Pełki, poszedłem do domu zbytniego, a duchna Katarzynka nie chciała ode mię srebra, i miłował ją jeśm pieszczono, i ona miłowała mię, jakbychmy byli prawdziwymi miłośnikami, nie wozgrą i patronem. A może przez to, żeśm jej nie zapłacił, byli jesmy na krótko prawdziwymi miłośnikami, jak z rycerskiego romansu, nie mierzwą ludzką, co się gzi jak skocięta, nie jak prawdziwi ludzie.

A potem poszedłem go szukać. Katarzyna nie wiedziała, czy jest jeszcze na dworze u króla Władysława, nie wiedziała nawet, czy w ogóle jest w Krakowie. Próbowałem więc kręcić się przy dworze: przy stajniach, wozowniach, szukałem dworskich praczek, kuchcików, płaciłem tą resztką pieniędzy, jakie jeszcze miałem, i w końcu znalazłem starą, pomarszczoną praczkę, tak starą, że musiała pamiętać jeszcze mojego dziada Władysława na krakowskim tronie. Jej podbródek porastały siwe włosy, tworząc rzadką, wstrętną brodę. Zapytałem ją, nie licząc na odpowiedź, zapytałem, bo pytałem wszystkich:

– Starko, skażcie mi, azali wiecie wy Pelkę, co panicem był jest na dworcu za wrzemia króla Kazimira, bogdaj we poślednich latach państwa jego?

– A ty kto? – zapytała, opluwając sobie pomarszczone wargi.

– Jeśm ja Paszko. Króla Kazimira bastert – odparłem, chociaż nie zwykłem o tym mówić każdemu, kogośm spotkał. Ale coś w jej oczach, niebieskich i wyblakłych, kazało mi wierzyć, że dobrze będzie powiedzieć jej prawdę.

– Młod jeś – odparła, niedowierzając.

– Pogrobkiem jegośm, przeto młod jeśm.

Patrzyła na mnie i milczała, wpatrywała się we mnie, w końcu rzekła:

– Wiedziała ja maćkę twą jeśm. Pominęła, jenże dzień wczorajszy.

A potem powiedziała mi, że Pelka nie jest już na dworze, chociaż był jeszcze za regencji Elżbiety Łokietkówny. I powiedziała mi też, że dalej mieszka w Krakowie, i powiedziała mi nawet gdzie – miał dom we Florencji, zwanej już często Kleparzem, przy rynku, drewniany.

I udałem się tam zaraz, i wydzielić to umiem z siebie tylko nie wprost, nie umiem wprost przypomnieć sobie wizyty u niego w istnym świato-waniu, tylko przez przewieczne mrzenie, więc odchodzę od staruchy, omijam kałuże, chociaż na trzewikach mam białe kalosze, w rękę laskę, wsiamam zaraz do dorożki i każę jechać na Kleparz, na ulicę Szlak.

Dorożka skacze po bruku, mijają nas nieliczne samochody i wielu rowerzystów, dojeżdżamy na Kleparz, płacę talara i dwadzieścia groszy, wysiadam przed domem niezbyt okazałym, z niewielkim ogródkiem; jednak obok stoi garaż, a przed garażem stoi wystawna hispano-suiza h6b, w bladozielonym kolorze, ociekająca chromem, znam te hispany, mam obsesję na punkcie hispan, buicków, alf romeo, bugatti i astonów martinów, wszystkich samochodów w ogóle, które kosztują tyle, żem przez całe moje trzydziestoletnie życie nie zarobił nawet setnej części, nawet na jeden chromowany zderzak, a jednak kradnę katalogi sprzedawcom i oglądam te samochody, w których nigdy nawet nie siedziałem, porównuję ceny, roztrząsam, azaliż lepiej kupić hispanę z sześciolitrowym silnikiem czy raczej buicka, co ma silnik słabszy, ale nowocześniejszy i linię nowocześniejszą, aerodynamiczną, i roztrząsam to, a nie stać mnie nawet na bocykl, nie mam bocykla, bom go w lombardzie zastawił za trzydzieści talarów, za którym kupił sobie jedwabny krawat angielski, szkockie skarpetki do pumpów, w kratę argylle i wykupiłem też członkostwo w poślednim klubie dla poślednich dzentelmenów, podając się za szlachcica inflanckiego, co bardzo zaimponowało

zgrupowanym także urzędnikom niższego szczebla, niektórym nawet chyba bez matury, weterynarzom, młodym rejentom, którzy tylko czekają, aby się z tego podłego towarzystwa wyrwać, i marnym pismakom, których tekstów nikt nie czyta i którzy w klubie przepijają resztki honorariów, nie łożąc nic na swoje nieślubne bachory.

A więc znam tę hispanę, w Krakowie są tylko trzy takie, więc ta musi być czwarta, bo wiem, kto jeździ pozostałymi: czerwoną, dwustukonną jeździ następca tronu w nieoficjalnych sytuacjach (bo oficjalnym samochodem dworu pozostaje rolls-royce silver ghost), to znaczy jeździł, bo roztrzaskał ją ostatnio pod Ojcowem, ścigając się ze swoim angielskim kuzynem. Dwie czarne hispany, h6 i h6b posiadają odpowiednio córka premiera panna Marysia Radziwiłłówna (i prowadzi ją sama) i ambasador rosyjski.

Więc nie byle kto musi tu mieszkać. Podchodzę do drzwi, naciskam przycisk elektrycznego dzwonka i po chwili otwiera mi kamerdyner w żakiecie i sztuczkowych spodniach. Przedstawiam się, Paweł von Dönhoff jestem, i pytam o pana Pełkę hrabiego de Miechów-Miechowskiego: kamerdyner mierzy mnie wzrokiem, oczywiście nie wierzy w nazwisko, w żadne nazwisko nie wierzy, kiedy co drugi galant używa fałszywego, ale ocenia mnie po ubraniu, wymowie i postawie: a więc garnitur mam bardzo porządny, angielski, z szarej dobrej flaneli, koszulę i krawat kosztowne i dobrze dobrane, kamerdyner nie wie przecież, że to mój jedyny dobry garnitur, który specjalnie chowam na takie okazje, i nie wie również, że ukradłem pieniądze, którymi za ten garnitur zapłaciłem.

Wymowę mam dobrą, jak przystało na człowieka wykształconego; kamerdyner nie wie, że nie mam matury, tylko podrobione świadectwo maturalne z gimnazjum w Rydze, ale ja mu przecież tego nie powiem, trzymam się prosto – ale moje nazwisko kamerdynerowi nic nie mówi. Decyduje więc, że nie wyrzuci mnie po prostu na zbity pysk, lecz zapyta, i pyta: w jakiej sprawie do pana hrabiego?

A ja mówię, że pan hrabia dobrze znał moją matkę, Klementynę Marię z domu Tischler, proszę, aby powołał się na to nazwisko. Sługa zastanawia się chwilę, po czym prosi mnie do sieni, zabiera płaszcz i kapelusz, wskazuje mi krzesło i prosi pokojówkę, aby podać mi herbatę. Ani słowem nie zdradza, czy pan hrabia jest w domu, czy jest zajęty, czy mnie przyjmie.

Siedzę więc; czekam. Herbatę na srebrnej tacy przynosi mi blondwłosa pokojówka. Uśmiecham się do niej – nie reaguje, zupełnie, jakby mnie nie dostrzegała. Szkoda. Kopulując służbę, łatwo znaleźć drogę na pokoje państwa, bo kopulowana służba chętnie zdradza pańskie sekrety, dzięki którym można do nich dotrzeć. Potęga pokojówek, nie mniejsza może niż potęga sekretarzy, acz innej zupełnie natury.

Upijam herbaty; mocna, dobrze zaparzona – wtedy przychodzi kamerdyner i obwieszcza, że pan hrabia prosi do siebie do gabinetu. Odstawiam filiżankę, idę za kamerdynerem.

Pan hrabia przyjmuje mnie w gabinecie, który jest jednocześnie biblioteką. Przyjmuje mnie dość ciepło – wstaje zza biurka, ściąga z nosa pincenez, wskazuje miejsce na fotelu, sam

siada na fotelu obok, jakbyśmy byli równi, jakby nie było między nami przepaści większej niż między mną a Hotentotą, którego pan hrabia w tropikalnym hełmie klepie po ramieniu na dużej fotografii wiszącej na ścianie, obok głów antylopy eland i afrykańskiego bawołu.

Pan hrabia proponuje mi cygaro i koniak, zgadzam się, pan hrabia podaje mi cedrowe pudło, wybieram grube maria mancini, pan hrabia podaje mi gilotynkę, obcinam ładny krążek z kapturka, zapalam, smakuję Remy Martin, a pan hrabia, widząc, że już się rozgościłem, pyta:

– Czego pan chce ode mnie, panie von Dönhoff?

Moje fałszywe nazwisko wymawia z wyraźnym przekąsem, kpiąco. Obcesowość tego pytania w zamierzony sposób kontrastuje z życzliwym, jak mi się wydawało, przyjęciem. Mam być zaskoczony – i jestem.

– Chcę tego, co mi się należy, panie hrabio – odpowiadam i w zasadzie sam nie wiem, co mi się należy. Przecież nie chcę od niego pieniędzy, nie chcę przeprosin, nie chcę, żeby przyznał, że jest skończonym łajdakiem. Nie o to idzie. Chciałbym... no właśnie, chciałbym, żeby dał mi moje życie, żeby dał mi życie, które mi się należy, żeby wyciągnął mnie z wynajmowanego, zagrzybionego pokoiku na Krowodrzy, do którego wracam z odrazą po dniach spędzanych w hotelowych restauracjach, w kawiarniach i klubach, gdzie szukam okazji do zarobku i najczęściej znajduję, i najczęściej wystarcza, aby podtrzymać iluzję przynależności do klasy, do której z urodzenia powinienem przynależeć: nikt, poza moim kamieniczkiem, nie wie, że jestem biedny jak mysz kościelna. I jeszcze policja pewnie wie, bo kamienicznik bez wątplenia donosi policji o mnie, bo to przecież podejrzane, kiedy ktoś snobujący się na dżentelmena mieszka w tanim pokoiku w oficynie na Krowodrzy, a każdy kamienicznik to policyjny szpicel.

Hrabia zaciąga się głęboko cygarem, wypuszcza ogromną chmurę dymu i uśmiecha się do mnie szeroko, obnaża zęby.

– Nic się panu ode mnie nie należy – mówi, nie przestając się uśmiechać. Nagle myślę o mojej maćce, którą Pełka naraił królowi Kazimirowi, którą Pełka przywiódł do komnaty. Wzbiera we mnie wściekłość. Gaszę cygaro w koniaku, żałując, że nie odmówiłem poczęstunku – to są konsekwencje braku tresury, prawdziwy dżentelmen w mojej sytuacji nigdy nie przyjąłby poczęstunku, nie musiałby się nad tym zastanawiać, odebrana w dzieciństwie i młodości tresura, bo przecież nie wychowanie, tylko właśnie tresura, wyrabia takie odruchy. I dlatego, chociażbym przebrał się w najlepszy garnitur, chociażbym nawet kiedyś się wzbogacił i woził się takimi bladozielonymi hispanami, chociażbym pieprzył Radziwiłłówny i Potockie, to nigdy nie będę prawdziwym dżentelmentem, bo nigdy nie miałem guwernera, który siekłby mnie po łapach linijką, gdybym uniósł łokieć przy jedzeniu. I to wszystko mimo królewskiej krwi, która płynie w moich żyłach.

– Jestem synem króla Fryderyka III – syczę. – Jestem wettyńskim bastardem, a tyś, łajdaku, zaprowadził moją matkę do królewskiego łóża, tyś jej złamał życie, przez ciebie

popęłniła samobójstwo, bo nie chciała żyć w hańbie. Łajdaku.

Hrabia uśmiecha się jeszcze szerzej. Nie oburza się ani o tykanie, ani o łajdaka, w ogóle nie jest oburzony, raczej rozbawiony.

– I co, panie von Dönhoff, pan sobie wyobraża, że będzie pan mnie tym szantażował? Że pójdzie pan do redakcji „Monitora” albo do „Kuriera” i opisz pan im ze szczegółami, jak to hrabia de Miechów stręczył kurwy jego świętej pamięci królewskiej mości?

– Nie chcę cię szantażować, łajdaku. Ale pójdę do gazet, jeśli będzie trzeba.

– Co do gazet, to pan, panie von Dönhoff, chyba od niedawna w Krakowie, co?

Nie rozumiem, dlaczego zmienia temat. Dżentelmen zignorowałby to pytanie zimną obojętnością, ale ja znowu ulegam odruchowi i machinalnie odpowiadam:

– Od miesiąca.

– No właśnie – ciągnie hrabia ciepłym, życzliwym głosem. – Jak pan w Krakowie pobędzie trochę dłużej i porozmawia z kimś na poziomie, to się pan dowie, jaka jest moja reputacja. Panie: o tym, że byłem króla Fryderyka nadwornym rajfurem, wie każdy, a jeśli ktoś tego nie wie, to go to nie obchodzi, bo jestem rajfurem emerytowanym, od dwudziestu lat żyję sobie na emeryturze, nie chadzam i nie bywam, jeżdżę tylko do Afryki, wydawać na polowaniach pieniądze, które udało mi się w królewskiej służbie zgromadzić. Dodam, że w znakomitej większości zgromadziłem je w sposób całkowicie niemoralny. Jasne? Gdyby miał pan w zanadrzu jakiś interesujący skandalik na temat tego, kto stręczy chłopców jego królewskiej mości Albertowi – o, to mogłoby kogoś zainteresować. Ja zaś – nie. Ja nie istnieję.

Milczę.

– Więc wyobrażałeś sobie, że co mógłbyś ode mnie dostać, głupcze? Pieniądze?

– Nie chcę twoich pieniędzy, łajdaku – odpowiadam. I jednocześnie myślę, że gdyby udało mi się wyrwać z niego jakąś solidną sumkę, to może mógłbym jakoś zacząć inne, nowe, prawdziwe życie. – Chcę moje życie, to życie, które mi się należy.

– A, życie, które ci się należy. Co, chcesz posadę? Na dworze?

– Chcę żyć, jak przystało na kogoś, w czyich żyłach płynie królewska krew – odpowiadam głupio. Hrabia wybucha śmiechem i, nie przestając się śmiać, mówi:

– Moja matka spłodziła mnie z siedemnastoletnim koniuchem, Rusinem imieniem Hryćko, nazwiska brak, po prostu Hryćko. Grześ.

Mój oficjalny ojciec, trzeci hrabia de Miechów-Miechowski wiedział o tym tak samo dobrze, jak każdy, kto kiedykolwiek widział mnie i tego koniuszego, podobieństwo uderzające.

– I co z tego? – pytam, znowu głupio.

– Nic. Nie szukam sobie posady w stajni, tylko dlatego, że moja nieboszczka matka bardzo chłopskie chuje lubiała, prawda?

Milczę.

– Jedyne, co możesz ode mnie dostać, chłopcze, to poradę – hrabia nagle zmienia ton, nagle staje się zimny jak pruski oficer. – Miałeś tego pecha, że się staremu jebace zdechło, zanim żeś się urodził i nie zdążył cię zabezpieczyć, tak jak zabezpieczył innych swoich bękartów.

Przerwał, powąchał koniak, upił duży łyk.

– Żebyś sobie wiele nie wyobrażał – ciągnął. – Nie są szambelanami na dworze ani ministrami, to już nie te czasy, co dwieście lat temu. Ale pokończyli uniwersytety, są adwokatami, rejentami, lekarzami. Gdzieś na prowincji, nigdy w Krakowie ani w Warszawie, ale żyją sobie dobrze, spokojnie na Pomorzu czy w Prusach Królewskich. Nawet nazwisko dostają wspólne, Wetyński.

– To nie jest porada – odpowiadam. Hrabia nagle porzuca zimny, pruski ton.

– Rzeczywiście, nie jest – uśmiecha się jowialnie.

Sięga do sznura dzwonka, ciągnie, po dziesięciu sekundach wchodzi kamerdyner.

– Piotrze, podaj nowy koniak dla mojego gościa.

I co, powinienem odmówić, nie wiem, chlusnąć tym koniakiem w twarz łajdakowi, czy raczej nie chlustać, przyjąć wielkopańsko? Właśnie – nie wiem. I nie, nie chlustam, nie wykonuję żadnego gestu, świat się po prostu dzieje dookoła mnie.

I zawsze tak było, na rany Krysta Pana, niech świadczy za mną Perkwunos i Bóg Gospodzin! Świat działa się, a ja byłem w tym świecie niczym szarpany wiatrem listek, jeśli mogę pozwolić sobie na tak ograną metaforę. Rycerz, dżentelmen, samiec alfa, kszatrija – porusza świat dookoła siebie. Jest porusZycielem, a ja jestem poruszany. Kszatrija jest solarny, a ja jestem lunarny i chtoniczny. Moim bogiem Zmej, nie Perun, nie Dziw Pacierz. Tak brzmiałby chyba po słowiańsku Dyeus Pater, ale jakoś się ten pacierz na ojca nie uchował, chociaż macierz, czyli mater aryjską słyhać w słowiańszczyźnie, to pacierza nie. Dyeus, czyli Zeus, czyli Iove Pater albo źmudzki Dievas, którego do dziś tam czczą, to znaczy do dawnego dziś, co go już nie ma, a u nas został Dziwem i zniknął z pamięci jako bóg, został tylko jako cud, jako dziw właśnie. A Perun się ostał, czyli Indra się ostał, bóg kszatrijów się ostał. A z tym byciem kszatrija, to przecież rzecz nie w bieglności robienia bronią, mam w pokoju skradziony pistolet mauser, z którego na pięćdziesiąt metrów rozbijam pięć butelek w dziesięć sekund, to znaczy miałem w izbie miecze i stworność szymirską miał jeśm, w harnaszu i bez harnasza, a jednak to świat mną szarpie, a nie ja światem. I pewnie nawet nie w tym rzecz, aby być dżentelmenem, mieć kamerdynera i jeździć słonecznym rydwanem, nie każdy w kaście kszatrijów jest kszatrija w sercu swoim, nie każdy postępuje za swoją Dharmą. Nawet Ardżuna wątpił przed bitwą.

Więc piję nowy koniak, a pijąc go, jakbym przeproszał hrabiego za mój grubiański gest sprzed chwili, za to gaszenie darowanego cygara w darowanym koniaku.

A Pelka hrabia de Miechów-Miechowski podsuwa mi jeszcze raz cedrowe pudełko z cygarami i ja jeszcze raz biorę cygaro, jeszcze raz posłusznie odcinam krążek z kapturka i

powoli zapalam cygaro: w końcu długo podglądałem dżentelmenów w kawiarniach i wiem teraz, jak się to robi: najpierw opalić cygaro trzymane w dłoni, okręcając je, żeby podpałiło się równomiernie, potem włożyć do ust i pociągnąć, ciągle opalając, aż rozbłyśnie płomieniem, potem płomień zdmuchnąć i dać mu chwilę odpocząć, i dopiero wtedy przystąpić do palenia.

I kiedy dżentelmen zapalał cygaro, nie przerywając konwersacji, robił to tak, jak robił wszystko inne, od niechcienia, świat zatrzymywał się, żeby dżentelmen mógł zapalić cygaro, ale dżentelmen sam nie zatrzymywał się wcale, zapalał cygaro dokładnie z taką samą obojętnością jak grał w tenisa, walczył na wojnie, kochał i umierał.

A ja zapalam cygaro i gaśnie mi zapalka, zapalam więc następną, a pan Pełka hrabia de Miechow-Miechowski patrzy na mnie z cierpliwą, pobłażliwą wytrwałością, a mi trzęsą się ręce.

Kiedy cygaro już się żarzy, pan Pełka hrabia de Miechow-Miechowski mówi do mnie znów ciepłym, serdecznym tonem:

– Namysliłem się. Nie dam ci tego, co mógłby dać ci twój świętej pamięci ojciec, gdyby żył, nie dam nazwiska, ale mam dużo pieniędzy, więc mogę dać pieniądze.

Powinienem zaprotestować, niby dlaczego mnie tak bezczelnie tyka, ale jakoś nie protestuję. Hrabia wstaje, przy biurku sięga po książeczkę czekową, wypisuje, wraca do stolika i wręcza mi czek na pięćdziesiąt tysięcy talarów. Fortuna.

– Kup sobie samochód, kup sobie mieszkanie w Krakowie, wykup członkostwo w jakimś porządnym klubie, będziesz miał to, czego chciałeś.

Hrabia wstaje, dając mi znak, że rozmowa skończona. A ja nie wiem, jak powinienem się zachować, więc chwilę siedzę jeszcze, sztywno, z dymiącym cygarem w dłoni.

– Wynoś się stąd – warczy hrabia, a ja posłusznie, posłusznie, posłusznie wstaję i wychodzę.

Kamerdyner podaje mi płaszcz.

Następnego dnia spieniężam czek, zakładam konto w Bank of London, rozglądam się za mieszkaniem i autem, i auto znajduję, kupuję używaną, roczną alfę romeo, piękną i mocną, dwumiejscowego roadstera na białych oponach, w sam raz dla kawalera i dżentelmena, którym nie jestem.

I stoję na pawimencie, powiewam biało-czerwona chorągiewką, jak wszyscy, i zazdroszczę: oto defiluje na pięknych koniach pułk ułanów, tutejszy, krakowski, nadworny; za ułanami na gniadych koniach artyleria konna, dalej szwadron samochodów pancernych, kolarze. Piękna to defilada, bo defiluje wojsko wracające z dalekiej zwycięskiej wojenki, mundury wypłowiałe, pancerze samochodów podziurawione kulami, ale wojsko szczęśliwe, rozbili pruską dywizję piechoty pod Olsztynem, na żołnierskich twarzach uśmiechy i modne wąsiska, na mundurach krzyże i medale.

I wiem, że ja nigdy, nigdy, nigdy nie mógłbym zostać oficerem w tym pułku, między

porucznikami Ostrogskimi i von Ratschek-Raczyńskimi, między rotmistrzami Pacami, majorami Potockimi i pułkownikami Badenimi, podporucznikami Czartoryskimi i Lubomirskimi, i nie mógłbym, tak jak oni, nosić wąsów i medali. Tego nie dał mi Pełka.

I tak siedziałem w swojej izbie na Kleparzu, w marnej izbie, w posłaniu ukrywszy pieniądze, któreśm dostał od Pełki, dużo pieniędzy w srebrnym groszu praskim. I przechadzałem się po Krakowie w najlepszym stroju, ubierałem się jak rycerz, tyle że bez pasa, nie ośmielałem się nosić pasa, ale też przecie bardzo niewielu rycerzy u nas jest w ogóle pasowanych, więc teraz mieszczki patrzyły na mnie jak na młodego rycerza, ale ich spojrzenia i tak nie przynosiły mi satysfakcji, bo między moim drogim chaperonem, houppelandą z czerwonego aksamitu, poulaine z miękkiej, czerwonej skóry kozłej, między tym strojem godnym panoszy a moją prawdziwą dharmą kszatriji, której oczywiście nie zwał jeśm dharmą, bośm w ogóle jej nie nazywał, albo raczej, uczonym przecież będąc, posługiwał się jeśm łacińskim określeniem vocatio, powołanie – między nimi czało się kłamstwo, kłamstwo i iluzja.

Mógł jeśm być rycerzem w sercu i mogłem nosić rycerskie szaty, ale pomiędzy sercem a szatami nie było kszatriji, pomiędzy sercem a szatami był Paszko, bastert i oszust, fechtmeister, czyli kuglarz, kurwie macierze syn, człowiek luźny, mierzwa ludzka znikąd, bez domu, bez rodziny, bez pana i bez poddanych, nikt-człowiek.

I bałem się iść do ludzi, bałem się wydawać srebro, bo bałem się, że mię kto przejrzy, uzna za paducha, co srebro jest skradł był, patrzyłem, jak jadą ulicami rycerze chorągwi nadwornej, biało-czerwoni i piękni, i wiedziałem, że to są prawdziwi kszatrija.

Miecz u mojego boku to narzędzie mojego fachu, tak jak dłuto i piła cieśli albo igła krawca, a miecz u boku rycerza, nawet jeśli rycerz ten stworności szyrmirskiej nie ma, miecz u boku rycerza jest czym innym, jest mieczem świętym, jest wolą i życiem rycerza zakłętymi w żelazo, jest przedłużeniem jego prawicy.

I wtedy przyszedł k mię machlerz Wszesław jest. Wszedł do mojej izby, w białym płaszczu z krzyżem czarnym i nawet z mieczem przy pasie, czyli pewnie prosto z podróży, i był panem von Königsegg, bratem zakonnym von Königsegg, i powiedział mi, czym jest moje życie, jak jest marne i śmieszne, ja zaprotestowałem, wtedy uderzył mnie w twarz tak mocno, że obalił mnie podłogę, po czym kazał milczeć i słuchać.

I powiedział co mam zrobić.

Niestety nie mogę zabić mojego ojca. A jego krew, jego śmierć, zmyłaby może hańbę mojego poczęcia. Ale nie mogę. Więc do końca hańby nigdy nie zmyję, nie przestanę być bastertem i kurwie macierze synem, ale mogę je zamazać, zatrzeć jakoś. Aby to uczynić, zabić muszę Pełkę. Odpowiedziałem na to, że przecież on nie stanie ze mną do pojedynku, a poza tym dał mi bardzo dużo pieniędzy, z którymi nie wiem nawet co mam zrobić.

Na to von Königsegg oświadczył, że jestem głupcem i że pieniądze mam zatrzymać, bo to dzięki nim mogę się stać tym, kim stać się chcę. O tym potem. Pełka ma po prostu umrzeć z

mojej ręki, nie musi to być miecz, wystarczy, że zastrzelę go z samostrzału chociażby.

Ale musi umrzeć, tak jak musiał umrzeć Tworzyjanek, abym ocalił tę jedyną rzecz, która łączyła mnie z moim królewskim dziedzictwem, mój płatek batystowy z królewskim „K”, który noszę dalej i nie wiem teraz, nie umiem oddzielić, czyśm go do końca w istnym światowaniu chronił i strzegł jako relikwi, czyśm go splugawiał, rzapie weń obcierając po uczynku męzczyńskim z wozgrami. Na pewno nigdyśm go nie porzucił.

Więc machlerz Wszesław kazał mi kupić samostrzał. A bełty dla pewności zatruć, dał mi truciznę niezawodną, w srebroznym napařtku.

A potem miałem kazać sobie uczynić harnasz, nic wyjątkowego, dobry harnasz rycerski, płaty na pierś, kolczugę, przyłbicę i naramienniki, i nagolenniki i nabiodrki, czyli taszki. I jakę na to, i czyn koński rycerski, i konie, destriera, i palfreja.

Dobrego palfreja jużśm miał, ale destriera bał jeśm się kupować, i powiedziałem machlerzowi, że strach mi kupować rycerskiego konia, że zobaczy mię jakiś rycerz i gotów zabić za to, że się próbuję pod rycerza podszywać.

A machlerz Wszesław cierpliwie wytłumaczył, że stanę się rycerzem, że nie będę się pod nikogo podszywał, tylko stanę się rycerzem, jeśli nie w sercu własnym, to w oczach tych, co na mię patrzą. A potem, kiedy już będę miał konia i zbroję, i wszystko, wtedy przyjmę imię Paula von Sternberg i podam się za ubożego rycerza służebnego, za ministeriała z Palatynatu, i pojedę na północ, do Prus, i zaoferuję siebie samego Zakonowi razem z całym moim skromnym majątkiem, powstałym, jak powiem, ze spieniężenia niewielkiej posiadłości, jaką zostawił mi ojciec. Matka zmarła w połogu, co jest prawie prawdą, a rodzeństwa żadnego nie mam, co również jest prawdą, a to dlatego, że gdy przyszła moja maćka do domu zbytniego, od razu inne duchny wtajemniczyły ją, jak postępować, aby nie chodzić znów dziećmi.

Ale najpierw muszę zabić Pełkę, panica Pełkę, hrabiego Pełkę, zabić, zastrzelić, kiedy wyjdzie z domu na Kleparzu, a więc zabić na dobre. Inaczej nigdy nie stanę się rycerzem, nigdy nie wyzwolę się od piętna mojego grzesznego poczęcia.

Bo owa w lichocie poczęła jeśm się i w grzeszech poczęła mię mać moja. Ciem okropisz mię, czarny boże, kry nieprzyjaciola mego omyje mię i nad śnieg ubielon będę.

Ciem kiedy go zabiję, oderwę się od strasznego dziedzictwa mojego basterdziego poczęcia, od mojej kurwiej macierze i zacznę życie nowe, życie człowieka prawdziwego.

I machlerz Wszesław odszedł ode mię, a ja poszedłem za samostrzałem szukać, bo to przecież nie tak łatwo samostrzał kupić. Kupiłem w końcu włoski, genueński chyba, bez dźwigni, tylko ze strzemieniem i hakiem, co się do pasa przypina, żeby samostrzał napiąć siłą wyprostego nóg. Kupiłem to od Żyda, któremu pewnie jakiś żołnierz zaciężny broń zastawił, żeby mieć na duchny i piwo, kupiłem też dwadzieścia bełtów ze zwykłymi grotami, bo u samostrzelników zbyt drogie były.

Szyć z samostrzału stwornym był jeśm, nie mistrzowsko, ale wystarczy, zresztą to żadna sztuka, nie to, co strzelanie z łuku. Pojechałem też poćwiczyć, daleko za miasto, napsułem

bełtów, ale mogłem być pewien, że z trzydziestu kroków trafię niechybnie.

A potem straciłem wolę do tego czynu.

I przypominam sobie, wydzielałem z Wszechpaszka tę część Przewiecznego Grunwaldu, która była refleksem tej utraty woli z mojego istnego światowania, i nie był to ten Przewieczny Grunwald najmocniejszy, była to ta z miriadami wersji Przewiecznego Grunwaldu, w której antropiczny Joachim von Egern był koronnym rycerzem, bo jego odległy przodek wyparł się swojej węgierskości razem z całą węgierską szlachtą, która została Polakami, podczas gdy węgierscy mieszczanie zostali Niemcami, chłopcy zaś zniknęli.

Matka Polska zaś chętnie przyjmowała obcych, zachłannie, jak gospodyni, która rada przyjmuje gości, aby potem wprząc ich w rytm życia własnego domu, tak mocno, aż tracą poczucie własnej odrębności, aż zapomną, że są gośćmi, że kiedyś mieszkali gdzie indziej.

Joachim von Egern nazywał się Węgierski, przyjął polski herb Rola, czyli w polu czerwonym róża srebrna, wkoło której trzy kroje, jeden prosto od dołu jej, drugie dwa z boku – czyli starożytny triskelion, oswojony w postaci swojskich, wiejskich ostrzy kos. W klejnocie pięć piór strusich.

Matka Polska zaś uczyniła go historykiem, ja zaś służyłem mu jako pomocnik i pracowaliśmy ze starymi księgami, wszystkie zgromadziła Matka Polska w Narodowej Bibliotece Polskiej, gdzie ze ścian wyrastały Jej palce i ramiona i przesuwwały, podawały, ustawiały i odkurzały wszystkie polskie książki, jakie kiedykolwiek powstały. Matka Polska jednak nigdy ich nie czytała, bo Matka Polska była Polską, była żywą Polską, była polskością i Wszechpolską, była jedyną Polską, jaka była, więc żadna z polskich książek nie była jej potrzebna. Więc Narodowa Biblioteka Polska była już tylko muzeum, bo skoro Matka Polska nie potrzebowała książek, to nie potrzebowały ich też antropicy i my, ludzie nieprzemienieni, bo polskość mieliśmy wrodzoną i my, i oni, i piliśmy ją z jej cyców, i wdychaliśmy ją z jej gruczołów, i zanurzaliśmy się w polskości w tanatycznych orgazmach na mnożnych audencjach, po polsku zapładniając łona Matki Polski.

W Narodowej Bibliotece Polskiej zaś misją Joachima Węgierskiego herbu Rola nie było doglądanie księgozbioru, tym zajmowały się zręczne, miękkie palce Matki Polski, Joachim był historykiem i Matka Polska potrzebowała jego antropicznego umysłu, sama pozostając niezdolną do lektury i do namysłu, bo nie do tego służyły mózgi Matki Polski.

Więc Matka Polska pachniała wewnątrz biblioteki rozkazami, a Joachim Węgierski porządkował treść książek tak, aby stała się prawdziwa.

Usuwał więc niemieckie nazwy nieistniejących już od dawna miast, które istniały już tylko w obcych tkance Matki Polski słowach, i zastępował je słowami polskimi. Miasta już nie istniały, bo całą Matkę Polskę pokrywał ten sam swojski, polski krajobraz: łany zboża, zagajniki, przydrożne wierzby i dwory, dwory mnożne i dwory z cyncami Matki Polski, i dwory, w których mieszkali nieprzemienieni, i dwory, w których mieszkali antropicy, i dwory, w których nieprzemienieni wykuwali broń i pancerze. Góry Matka Polska wyrównała,

bo góry nie są polskie, góry są duchem obce Matce Polsce, bo w polskich górach zbyt czuć owczy smród Bałkanów, zbyt głośno słycać wołoskie słowa, nazwiska i toponimy, te wszystkie koliby, bacowie, juhasy, gazdowie, nazwiska Wałach albo Rusin i te Kiczory, i Istebny, Koszarawy i gronie, więc nie ma już gór i owiec, i nie ma też krajobrazów pagórkowatych ani polodowcowych jezior i moren, bo to wszystko jest krajobrazem obcym Matce Polsce, ciało Matki Polski dobrze czuje się tylko pod złotozieloną równiną i dobrze rosną na niej wierzby, i sosnowe bory, i mieszane puszcze, a źle rosną lasy górskie, nie lubi Matka Polska lasów górskich.

Więc nie było już gór, pojezierz i lasów, była tylko równina Matki Polski, a Joachim Węgierski wymazywał starą historię miast i sprawiał, że nieistniejące miasta wrastały w macierz. Zmazywał niemieckie słowa z nagrobków na fotografiach, zmieniał niemieckie nazwiska burmistrzów, Gryfici stawali się pomorskimi Piastami, a miejskie cekhausy zamkami piastowskimi, a potem Joachim Węgierski zaproponował Matce Polsce wymianę z Germanią: bo akurat był krótki rozejm. Germania była wtedy w posiadaniu dużej części Szląska, gdzie niemieccy historycy aantropiczni pracowicie wymazywali słowiańskie nazwiska wójtów, ścierali z chat domów echa słowiańskich, czyli polskich pieśni – dawno już zatracono dystynkcję tego, co słowiańskie, i tego co polskie, cała słowiańszczyzna w Matkę Polskę wrosła.

I zgodził się któryś z kolejnych cesarzy Baldurów o bardzo wysokiej liczbie porządkowej, zgodził się pływający w solach Oberstheeresleitung, bo na tym polu interes Germanii i pragnienia Matki Polski były zgodne (bo dodać należy – Matka Polska nie ma interesów ani celów, Matka Polska ma tylko pragnienia, albo raczej żądze) i wymieniał się Joachim Węgierski z rzeszańskim komturem od historii: oddawał Bambrów za Łużyczan, którzy musieli zostać Polakami, za szląskich wójtów i szląskie pieśni dał mieszczan z Krakowa i Torunia, i ludwisarza, co odlał dzwon zygmunowski, i dał Głuchoniemców z Pogórza, dał miasta na prawie magdeburskim za stare nazwy dzielnic Berlina i za gontyny Rugii, i nawet ruskich Rurykowiczów oddał Węgierski za połowę starej pruskiej szlachty o nazwiskach kończących się naski, chociaż poprzedzonych „von” i za Mazurów, Ludendorffa źle było oddać, więc oddało się raczej tylko jego babkę nazwiskiem von Dziembowski.

A ja nanosiłem te zmiany do książek i do zdjęć, w wielkim warsztacie, którego byłem kierownikiem, pisałem, wprowadzałem liczby, retuszowałem fotografie, drukowałem na nowo całe książki i wklejałem je w stare oprawy, nie mogąc się nadziwić, jak indyferentni narodowo byli kiedyś polscy historycy.

A potem, pewnego dnia, postanowiłem zabić Joachima Węgierskiego, a więc domyślałem się, że nie był to absolutny Przewieczny Grunwald, bo w absolutnym nie ma miejsca na to, co moglibyście uznać za narrację, za historię, która rozpoczyna się od tego, że bohater coś postanawia, a potem to realizuje: w absolutnym świecie aantropów każdy rodzi się obowiązkiem i dla obowiązku żyje, wszyscy są gotowi do absolutnego poświęcenia w każdej

sekundzie swojego życia, rozkazy wykonują odruchowo, tak jak oddychają i jak poruszają się ich serca, nie ma tam miejsca na żadne wahanie, na rozterkę, na zaskoczenie, nie ma więc żadnej narracji ani żadnej historii.

A może każdy Przewieczny Grunwald jest absolutny i ja, ja właśnie byłem jedynym, który się wahał, który ulegał był rozterkom i wątpliwościom, to też możliwe, nie wiem, nie pamiętam, nie umiem tego oddzielić, jestem śmiertelnie zmęczony.

Śmiertelnie zmęczony.

Mówiłem o tym, jak straciłem wolę, aby zastrzelić Pełkę, tak? I potem przypomniało mi się, przypomniało mi się coś, przepisywanie ksiązek... Ale nie wiem, nie pamiętam, już nie oddzielał. Chyba bałem się, że po strzale nie zdołam uciec, że wyda mnie człowiek, od którego kupiłem karabin, wyglądałem na ulicę, wypatrując samochodu, z którego wyjdą tajniacy, bałem się włączyć komputer, bałem się wszystkiego.

Ale jednak, przypominam sobie, przewieduję, oddzielał. Postanowiłem zabić Joachima Węgierskiego, był wielkim aantropem, pocałował już Matkę Polską i jego życie chyliło się ku końcowi, dojrzewanie płciowe było początkiem umierania polskiego aantropa, nie trwało dłużej niż pół wieku, a on już miał się ku końcowi i bałem się, że może nawet dożyję jego śmierci i że każą mi wtedy kopulować i mieć tanatyczny orgazm w łonie Matki Polski, bo ludzik bez swojego pana-aantropa, z którym był całe życie, to organizacyjny kłopot, do zapachu nowego pana może już nie przywyknąć, nie dostosować się.

I wtedy poczułem, że nie chcę. Nie chcę fanatycznego orgazmu, chociaż wiem, czy raczej powinienem wiedzieć, że to największa rozkosz, na którą powinienem całe życie czekać, że jest to rozkosz, która rozciąga się na wieczność, że każda sekunda fanatycznego orgazmu trwa całą wieczność, i że umierając w fanatycznym orgazmie, cały zanurzony w łonie Matki Polski, w rzeczywistości nie umiera się wcale, tylko żyje się wiecznie.

A ja nie chcę. Nie chciałem i teraz też nie chcę, marzyłem tylko o tym, żeby nie być, żeby mnie nie było, a teraz jestem, wszechjestem, czy może raczej coś mnie iści, nie mam formy biernej od być, jak może nie być formy biernej od czasownika być, ale to jasne, przecież ten język narodził się, kiedy rzeczy były same z siebie, to znaczy były po prostu, a mnie coś iści, wszebożek mnie iści, nie, to nie ja siebie iszczę, nie jestem, tylko wszebożek mnie wszechiści i samo to moje, lecz nie moje istnienie jest cierpieniem, i modłę się do wszechbożka, aby raczył mnie zakończyć, aby nie iścił mnie już ani sekundy więcej, ale wszechbożek milczy, zawsze milczał, milczał bardziej niż Bóg Gospodzin milczał, bo wierzcie mi, o wy, którzy jesteście na wysokościach, że da się milczeć bardziej, da się milczeć ciszą śmiertelną, w takiej ciszy bardziej słyhać, jak powiedziałaby to byle klecha, jęki potępionych.

Bóg Gospodzin zaś milczy zwyczajnie, razem z Krystem Panem i Duchem Świętym, Spiritus Sanctus, amen, milczą sobie tak po prostu, ciepło milczą, tak jak milczą starzy przyjaciele, co już sobie wszystko powiedzieli i nie muszą już mleć ozorami, więc sobie milczą po prostu, ale razem, ze sobą, milczą do siebie.

Więc nie chcę w Przewiecznym Grunwaldzie tanatycznie umierać, nie chcę. Jeśli poczekam, aż Joachim Węgierski umrze ze starości, to wtedy zapachnie rozkaz Matki Polski i pójdę po jej ciele do jej łona, i nie oprę się, bo nikt się temu nie oprze, więc postanawiam zabić Joachima Węgierskiego, a wtedy skończy się szybko: zapachnie Matka Polska rozkazem i przestanę oddychać. A jeśli mnie przeoczy, bo Matka Polska patrzy na wszystko i wie wszystko, ale nie wszystko widzi i wiele zapomina, więc jeśli mnie przeoczy, to pójdę, po prostu pójdę na Zachód, aż do pasa niczyjej ziemi i tam w końcu ktoś mnie zabije, krótko i szybko, aantrop polski albo niemiecki, albo Matka Polska się obudzi i udusi mnie rozkazem, nieważne, ważne, że skończy się to szybko, łatwo i od razu, nie będzie wiecznej rozkoszy w umieraniu.

Bo przecież nie zawsze wiem, czym są moje życia w umieraniu przez-wiecznym: i wtedy się łudziłem, nie wiedziałem o wszechbożku i o tym, że nie ma zakończenia, nie ma śmierci prawdziwej, jest tylko czarna wieczność. Orgazm tanatyczny tak rozkoszny, że wieczny, był jakimś przecuciem i łudziłem się, że uda mi się uciec do prostej, krótkiej śmierci. Do zwykłego samobójstwa byłem niezdolny całkowicie, tak jak wy nie potraficie popełnić samobójstwa, zwyczajnie wstrzymując oddech. Więc postanowiłem, że zabiję aantropa.

Joachim Węgierski, polski aantrop, miał ponad trzy metry wzrostu i ciało nieludzkie, źle poddające się opisowi: a więc miał ciało polskie, a ja w tym ciele musiałem znaleźć miejsce, aby wbić lancę, i krążyła plotka między nieprzemienionymi albo i nie krążyła, może to przeczytałem w książce, że aantropa da się zabić lancą, jeśli dźgnąć precyzyjnie poniżej spłacza, gdzie znajduje się zwój nerwów, odpowiedzialny za poruszanie dolnymi krocznikami bojochodu, a Węgierski był weteranem bojochodów.

I wziąłem lancę, i poszedłem za Joachimem Węgierskim, a on wszedł w fotel przy pulpicie, nad książką, i wpiął się w ten fotel, a ażurowa konstrukcja fotela odsłaniała to miejsce, miejsce poniżej spłacza i dzierżyłem lancę mocno w dłoniach, i wiedziałem – muszę tylko pchnąć, mocno, aby przebić grubą egzodermę ostrzem mojej lancy.

Zamiast pchnąć, odkładam jednak moją lancę, klękam na podłodze i płaczę. Joachim Węgierski odpina się od fotela przy pulpicie, kroczy w moją stronę, pochyla się nade mną, dotyka długimi palcami moich łez, gładzi mnie po włosach, po czym modli się do Matki Polski: zabierz go, o Pani, do siebie, przytul go do łona.

I to się właśnie dzieje: Matka Polska pachnie rozkazem, a ja pragnę i nie pragnę iść do dworu, sztywnieje mi siusiak, po raz pierwszy w życiu i wychodzę z biblioteki, i idę z tym sztywnym siusiakiem, pachną rozkazy wskazujące mi drogę, więc idę za nimi, idę dwadzieścia siedem godzin bez przerwy po złotych polach i zielonych zagajnikach, mijam dziesiątki białych dworów i tysiące wierzb, ale to nie tu, jeszcze nie tu, idę, mijam takich jak ja, którzy gdzieś idą: na front, to zbrojne aantropy, lub do pracy, tam tacy jak ja, wszyscy w pojedynkę, zawsze sami, nigdy samotni, bo zawsze z Matką Polską, idą, wydawałoby się bez żadnego porządku, na przelaj przez pola, bo na Matce Polsce nie ma dróg, bo drogi nie są

potrzebne, drogi są niemieckie, drogi są nieprzyjacielskie, my poruszamy się na przełaj, najkrótszą drogą do celu, jak wiedzie nas rozkaz Matki Polski i tak idę, i tak pachnie rozkaz, pachną też rozkazy innych, ale to są zapachy obce, bełkotliwe, nie rozumiem ich, dla każdego Matka Polska ma rozkaz osobny, o innym aromacie.

I w końcu już widzę mój dwór, dwór drewniany, podmurowany, pobielony, w którym rozewrze się przede mną łono Matki Polski, otwieram drzwi i wchodzę, i piję z cyca, pieszcząc miękkie białe ciało otaczające brązowy sutek, i potem Matka Polska pachnie: to już. I z salonu idę do alkierza, a tam czeka na mnie Ona, Matka Polska, rozbierają mnie jej długopalce ręce, podają sobie nawzajem części mojego stroju i dalej, posłużą komuś innemu, mnie już niepotrzebne.

Tak bardzo pachnie Rozkaz.

Kładę się na obfitych białych fałdach, wtulam je w siebie, wpasowuję mojego sztywnego siusiaka w czerowne, wilgotne otwarcie, ciało Matki Polski otacza mnie, obrasta, owija. Rozchyła mi wargi, delikatnie rozsuwa szczęki i wpycha się do ust, wypełnia mi usta, nos, wbija się w odbyt, otacza mnie z zewnątrz i wypełnia od środka, i z lędźwi, od sztywnego siusiaka, który – już to wiem – już nie jest siusiakiem, który służył wcześniej tylko do sikania, lecz jest rzapiem, więc od rzapia przebiega w moim ciele dreszcz, i rośnie, rośnie wykładniczo, i wyprężam się, już cały zamknięty w jej ciele, wyprężam się w rozkoszy, i nie wiem już, gdzie jest moje ciało, nie wiem już, gdzie jestem, nie wiem, czym jestem, nie wiem, czy jestem, nie wiem, jest tylko dreszcz, rozkosz, jak blask oblicza Boga, który spala. Wieczność we wieczności, przezwiecznie.

I tak trwam, wieczność trwania, zasymulowana w symulowanej wieczności, po wszystkie czasy, na zawsze w na zawsze – Ja, ja, ja, wszechja, mały Wszechpaszko we Wszechpolsce, ukryty w dużym Wszechpaszce w mrzeniu przezwiecznym, wieczność we wieczności, przezwiecznie.

Aleć w istnem światowaniu nacisnąłem na dźwignię samostrzału, uwalniając cięciwę i pobiegł bełt ku Pełce. Bałem się, ale nacisnąłem.

Wola mi drżała i dłoń mi drżała, ale nacisnąłem. Była niedziela, Pełka wyszedł przed swój dom drewniany przy floriańskim rynku, a jaśm, za węglem schowan, wycelował, przyciskając samostrzał do policzka i nacisnął jeśm na dźwignię.

I bełt leciał snadno jest, z cienkiej wypuszczon cięciwy, i wsterczył się jest w grudź Pełkową aż po pierze, zatym Pełka stojał jeszcze kęs jest, zatym posadził się jest na słopniu i dychał jeszcze jest.

Dychał jeszcze, kiedy jeśm do niego podszedł. W biały dzień, ludzi wielu było, a ja się nie obawiał jeśm, nie obawiał się jeśm niczego, czarni bogowie czuwali nade mną, Dziw Pacierz po mojej prawicy i Perun po mojej lewicy, i podszedłem do Pełki, a on patrzył na mnie, siwy, stary, z oczami wyblakłymi, z których uciekało życie, patrzył na mnie i – zdało mi się – rozumiał. I juszył barzo jest.

Więc z mieszka przy pasku wyjąłem kozik, ten sam, którym Tworzy-janka ubił jeśm i wraził go jeśm w garło Pełkowe, lżąc go:

– Na, swędro!

I Pełka umarł, a ja odstąpiłem od niego, z kozikiem w ręce. Indra i Dyaus Pita po mej prawicy i lewicy, chronią mnie przed złymi spojrzeniami ludzi. Odstąpiłem, ruszyłem do biegu, uciekłem. Czy to czarni bogowie mnie chronili, czy coś innego się działo, nie umiem oddzielić, może po prostu nikogo nie było w pobliżu, a może się bali i patrzyli gdzie indziej – nie oddzielałam.

I wsłuchiwałem się w siebie: czy ścieka, schodzi ze mnie basterdzie piętno? Czy staję się człowiekiem, czy z mierzwy ludzkiej, jaką byłem, kiełkuje już nowy człowiek?

A potem zobaczyłem rycerza.

Jechał na siwym palfreju, niezbyt elegancko rozparty w siodle, a odzian był w jakę, ale bez zbroi, na jace czerwonej łabędź biały. Nie nosił pasa, więc pewnie nie był pasowany, ale nie miałem wątpliwości, był rycerzem, było to w jego niedbalej postawie w siodle i w gładko ogolonej szczęce, i w utrefionych lokach, i w tym, jak dzierżył wodze i jak opierał prawą dłoń na biodrze. Świat oglądał spojrzeniem, w którym była jednocześnie skromność i duma, duma słuszna, duma nie pyszna, lecz duma wynikająca z pełni, z odwagi. Był męski, solarny, aktywny, władał swoim światem. Był Boga Ojca, boga dnia, Zeusa, świetlistego niebios sklepienia. Wiedział, jak mówić do damy i jak robić mieczem z konia, wiedział, jak dwornie wygrać i przegrać – wyczytałem to z jego postawy. Wiedział, jak przemawiać i jak przyklęknąć w kościele, umiał śpiewać rycerskie romanse i akompaniować sobie do nich na lutni. Wiedział, jak być hojnym i jak żądać pieniędzy i prezentów, wiedział jak być dwornym i jak być bezczelnym – nie tylko wiedział, ale był. Tak jak byli wszyscy po nim – kawalerowie przy rapierach i szpadach, kładący łeb pod gilotynę, i napoleońscy oficerowie, wjeżdżający konno do pałaców i siekący się kawaleryjskimi szablami w pojedynkach jednocześnie o nic i o wszystko, i angielscy oficerowie z Lekkiej Brygady, ci z prawdziwej szarży i ci z wiersza Tennysona, i Oscar Wilde, i Dorian Gray, i porucznik Sturm, i Andrzej Trzebiński, i Kmicic.

A ja byłem chtoniczny, ziemski, kobiecy, macierzysty, bierny, byłem Zmeja, to świat mną poruszał, nie ja światem. I zrozumiałem, patrząc na pięknego rycerza: nic się nie zmieniło, nic nie wyrośnie z tej śmierci, nic się nie zmieni, ja się nie zmienię.

A kiedy wróciłem do mojej izby, brat von Königsegg już czekał na mnie i śmiał się. Chciałem i jego również zabić, aleć przecież nie mogłem, nie potrafił jeśm, a on śmiał się, do rozpuku prawie, walił się dłońmi po udach, próbował coś powiedzieć, ale ten szalony śmiech mu przeszkadzał, nie dawał wydusić ani słowa.

A ja wypuściłem z dłoni krwawy kozik, dopiero teraz, więc całą drogę szedłem z tym kozikiem w dłoni. I nie wiedziałem, co teraz będzie, co nastąpi, ale znowu, znowu rozumiałem cały ogrom mojej klęski i próżne moje zamiary, próżne starania, a śmiech

machlerza Wszesława był światem: był światem, który mną szarpie, który bawi się mną jak kot ze sparaliżowaną ze strachu myszą, trąca mnie świat łapą śmiechu Wszesława, drwi ze mnie, gardzi mną, mierzwą ludzką, skotem ludzkim, wymiotem ludzkim, który wymarzył sobie, wymyślił, że może być kimś innym, że może się wywrócić na nice, jak się wywraca bukłak, w którym stęchła woda, i wyczyścić, i wysuszyć na słońcu, i wypełnić wodą nową, szlachetną, czystą.

Ale nie da się. Nie można przecież. I zapytałem Wszesława, ponuro, o jego plan. O kupowanie zbroi, koni i wyprawę na północ, do Zakonu. Zapytałem, rozumiejąc, że to po prostu okrutny żart, tak jak zażartowało sobie życie z mojej maćki, kiedy padł na nią królewski wzrok z okna wawelskiego, tak jak zażartowało ze mnie, kiedy maćka umarła i kiedy Wszesław nakazał mi zabić Döbringera.

Lecz nie: brat von Königsegg odparł, że pojedziemy na północ, Wisłą, aż do Marienburga i tam mnie zapytają, czy należę już do jakiegoś zakonu, a ja zaprzeczę, zapytają czy jestem żonaty i ja zaprzeczę, czy ukrywam jakąś cielesną deformację, a ja zaprzeczę, bo przecież nie pytają o serce, które toczy mi robak smutku, zapytają o to, czyśm nie zadłużon, a ja zaprzeczę i na dowód okażę złoto, które chcę przekazać do zakonnego skarbcza i zapytają, czy jestem wolnym człowiekiem i potwierdzę – bo w moim istnem światowaniu ministeriał, za którego zamierzałem się podawać, był już człowiekiem wolnym, nie sługą, jak jeszcze wiek wcześniej.

A potem przyjdzie kolej potwierdzać: i zapytają, czy jestem gotów walczyć w Palestynie, chociaż wiadomo przecie, że nikt się do Palestyny nie wybiera, i czy gotów jestem walczyć gdziekolwiek indziej, gdzie każe mi zakon, i czy gotów jestem zajmować się chorymi, bo to w końcu zakon szpitalniczy, i czy gotów jestem uprawiać wszelki fach, wszelką sztukę, jaką znam, jeśli tylko zakon mi rozkaże, a ja mam tylko stworność szymirską, i czy jestem gotów poddać się regule – i ja na wszystko odpowiem twierdząco, i potem przyrzeknę.

Przyrzeknę czystość, wyrzeczenie się własności i posłuszeństwo Bogu, Pannie Maryj i i tobie, bracie Kondradzie von Wallenrode i wszystkim twoim następcom, i regule Zakonu, aż do śmierci. A w jakiś czas potem będę już żył życiem zakonnego brata, w białym habicie z czarnym krzyżem. A więc nic nie będzie moje własne, nawet moje szaty i broń, nie będę miał nawet własnej skrzyni, bo też na nic by mi się nie przydała, bo wszystko będzie wspólne. Nie będę posiadał żadnych pieniędzy i będę przyjmował komunię siedem razy dziennie latem i trzy razy dziennie zimą, będę się modlił do Boga Gospodna, Jezukrysta i Bogurodzicy, nie będę jadł mięsa w post, w adwent i w poniedziałki, środy, piątki i soboty, będę pracował i walczył, i jeśli zginę, walcząc z poganami, których teoretycznie już nie ma w okolicy, to jako męczennik zajmę po prawicy Boga Gospodna to miejsce, które zwolniło się, kiedy do piekieł strącono zbuntowanych aniołów, sługi Lucyfera.

I czy wtedy stanę się godny mojej krwi?

Nie wiem. Myślałem o tym, kiedy wsiadaliśmy do pociągu do Kijowa, bo tam najdalej

dało się dojechać koleją. Königsegg płacił złotymi dolarówkami, więc mieliśmy dwuosobowy przedział sypialny wyłącznie dla siebie – zresztą, mało kto wybierał się w tym kierunku w wagonach osobowych, poza paroma oficerami proveniencji niewiadomej, w mundurach amerykańskich z naszywkami na rękawach polskimi i słowackimi. Co niewiele już znaczyło, w tych czasach. Wśród nich ten blondyn, którego widziałem w istnym światowaniu na rynku na Kleparzu, herbu Łabędź.

W składzie był tylko jeden wagon osobowy – oprócz tego trzy wagony towarowe, kilka platform z ukrytą pod plandekami artylerią, przestarzałym lekkim czołgiem i pokieroszowanym samochodem pancernym, i jeszcze jeden wagon obsadzony żołnierzami ochrony, z dwoma kaemami na podstawach przeciwlotniczych. Które oczywiście na wypadek faktycznego ataku lotniczego stanowiły zabezpieczenie całkowicie symboliczne, ale mogły również obronić pociąg przed bandami; o ile do linii Lwów – Brześć teren był bezpieczny, to dalej tylko linia kolejowa pozostawała pod kontrolą aliantów, zabezpieczana przez dwa pociągi pancerne, węgierski i czeski, i jeszcze dworce w największych miastach obsadzone były najczęściej przez Polaków.

Jechaliśmy czterdzieści osiem godzin; Königsegg siedział naprzeciwko mnie, pogardliwy, milczący, obcy. Zaproponowałem szachy; zgodził się, wruszając ramionami, przegrałem pięć razy i odechciało mi się grać. Gapiłem się na monotony krajobraz, na zniszczone wojną miejscowości, na żebrzące i głodujące dzieci, których nie było mi wcale żal, bo wiedziałem, że mógłbym być jednym z tych obdartych chłopców, zresztą przecież byłem obdartym chłopcem, i obdarci, głodni, zawszeni chłopcy mieszczą się we Wszechpaszku. Chciałem rzucić im kanapkę z moich obfitych zapasów, bałem się jednak, że Königsegg popatrzyłby na mnie z pogardą.

Zawyła syrena, pozdrawiając wlokącego się od strony Kijowa „Arpada”, węgierski pociąg pancerny, pomalowany w szarzielone smugi. Znad dział i karabinów maszynowych widziałem czarne od dymu i pyłu twarze obojętnych, zmęczonych żołnierzy, którzy wiedzieli, że jeszcze długo nie wrócą do ojczyzny.

Widziałem rozbite czołgi wszystkich możliwych typów, włącznie z niemieckimi z pierwszych lat wojny, widziałem wałęsające się, wychudłe szkapy i widziałem watahy zdziczałych wiejskich kundli, które z wilczym ujadaniem i zawodzeniem goniły nasz pociąg, co na chwilę wyrywało z letargu żołnierzy obsługujących przeciwlotnicze kaemy: kiedy tylko mogli, siekli po psach seriami i sporo gnijących psich trupów widziałem z okien. I psów też mi nie było żal.

A potem dojechaliśmy do Kijowa i Kijów wyglądał jednocześnie jak twierdza, jak plac targowy, jak wojskowy obóz i jak burdel. Ruiny, wszędzie ruiny, a na ich tle tętniące w ruinach życie, tysiące przechodniów spieszących do tysiąca swoich wiecznowojennych spraw: kobiety ubrane tak, że nie powstydzilby się ich Paryż ani Broadway; mężczyźni w garniturach, co do których byłem pewien, bo znałem się na tym, więc byłem pewien, że

zostały uszyte na miarę na Savile Row, i jeszcze mężczyźni w mundurach. Głównie miejscowi milicjanci przeróżnego autoramentu, Polacy w wyjściowych ułańskich kurtkach pod szyję i w bryczesach, pod szabłami lub kordzikami i jakoś wcale nie wyglądali na ułanów, jeszcze honwedzi węgierscy i aktualnie sprzymierzeni z aliantami anarchiści Nestora Machny w czarnych koszulach, obwieszeni bronią, widziałem też paru alianckich oficerów w amerykańskich i brytyjskich sortach z różnymi naszywkami, i wreszcie Kozacy, w papachach, w czerkieskach fantazyjnych, z carskimi pagonami, z kindzałami i szaszkami, nie umundurowani, tylko przebrani, w operowych kostiumach kłujących oczy czerwieniami i błękitami, i złoceniami czerskieskich ozdób.

A wszystko to, miasto, mundury, kobiety, mężczyźni, wszystko otoczone zasiekami z drutu kolczastego, żołnierze nocą kryjący się przed bandytami po strzeżonych burdelach i knajpach.

Budy i baraki na gruzach budynków, lśniące kasyna w prowizorycznych konstrukcjach ze stali i dykty, ulice poprzecinane zaporami przeciwczołgowymi i zgniecionymi szczątkami barykad, ziejące pustymi oczodołami kamienice i ich półdzicy mieszkańcy. I głodne, chude dzieci, i obok kurew luksusowych, w pięknych sukniach, kurwy głodne, chore, brudne – Rosjanki, Ukrainki, Rumunki, Polki, Tatarki, półnagie, w obłędzie, niektóre z cichymi niemowlętami na rękach.

I bezwstydna, publiczna prawie kopulacja, w zaułkach, za dwie kromki chleba, za cienki plaster słoniny, zadzieranie brudnej sukienki, klękanie w błocie i gniew mężczyzn, po tym jak już od nich odchodzą, jeszcze bardziej niezaspokojeni, niż byli wcześniej.

A my pojechaliśmy do hotelu, to znaczy Königsegg zawiózł mnie taksówką, zapłacił za hotel i kazał czekać; czekałem więc, hotel był odbudowany za amerykańskie pieniądze i służył głównie amerykańskim podróżnym, w luksusowym pokoju znajdował się w pełni zaopatrzony barek, dwie paczki zapieczętowanych papierosów Lucky Strike, telefon, radio z zielonym okiem i room service na najwyższym poziomie, Conrad Hilton nie miałby żadnych zastrzeżeń. Wyjrzałem, odsłoniwszy ciężkie story – przy tylnym wyjściu, które zapewne prowadziło do hotelowej kuchni, stała duża grupa szarych postaci, kobiet i dzieci, głównie dziewczynek, wszystkie zakutane w szare szmaty. Wyczekiwali na coś niecierpliwie, a ja, przez moje okno, czekałem z nimi, ja, którego nigdy nie zaznałem prawdziwego głodu w moim istnym światowaniu, paliłem amerykańskiego papierosa i patrzyłem, i czekałem. W końcu wystawiono przed hotel dwa kubły resztek jedzenia, i tłum kobiet i dziewczynek jął walczyć o to jedzenie, a kiedy łupy już rozdzielono, rozeszły się natychmiast.

Do pokoju zapukał boy; zapytał, czy ma mi przyprowadzić kogoś do towarzystwa – odmówiłem. Myślałem o mojej matce, o tych mężczyznach, którzy jej płacili i nie mogłem, nie chciałem, chociaż żądze szarpały mną strasznie. Próbowałem się modlić, ale też nie mogłem, poszedłem więc spać.

Königsegg wrócił następnego dnia rano, kazał się pakować, więc zabrałem swój worek,

starego schmeissera i raportówkę. Przed hotelem czekał odkryty jeep, Königsegg siedział na fotelu pasażera. O maskę opierała się lufa zamontowanego przed pasażerem kaemu.

– Siadaj – powiedział, czasem mówił do mnie po polsku. – Jedziemy, ty prowadzisz.

Posłusznie siadłem za kierownicą, pistolet maszynowy ułożyłem tak, aby łatwo było dosięgnąć. Cały tył samochodu wypełniały kanistry z benzyną. Daleka droga przed nami.

Przejechaliśmy przez miasto, ulicami nieprzejezdnymi dla zwykłych samochodów, bo pełnymi wyrw i płynącymi błotem, drogami, które zerwałyby zawieszenie każdej limuzynie. Zapłaciliśmy dwa dolary za przejazd po tymczasowym moście pontonowym – carskie mosty wysadzili Polacy w tysiąc dziewięćset dwudziestym, sowieckie Niemcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym – po czym przejechaliśmy przez opustoszałe dzielnice na lewym brzegu Dniepru i kierowaliśmy się na północny wschód, w kierunku na Woroneż.

Kiedy mijaliśmy obsadzone milicjantami pikiety na rogatkach spalonego miasta, oficer w amerykańskim mundurze próbował nas zatrzymać, obiecywał eskortę, wtedy Königsegg odpowiedział mu, że tam, gdzie jedziemy, żadna eskorta nie pojedzie. Oficer postukał się palcem w czoło, milicjanci nie reagowali, ponurzy, zmęczeni.

I pojechaliśmy.

W raportówce mam wiersz Rilkego: Reiten, reiten, reiten, durch den Tag, durch die Nacht, durch den Tag. Reiten, reiten, reiten. Und der Mut ist so miide geworden und die Sehnsucht so grofe. Dżipem, dżipem, dżipem, dniem i nocą, i nocą i dniem, dżipem, dżipem, dżipem, odwaga już dawno osłabła, tęsknota zaś stała się wielka.

I wiem, że nic to nie znaczy, wiersz nic nie znaczy, wszystkie wiersze świata, które zna Wszechpaszko, z którego się sącę, nic nie znaczą, w obliczu tego, że nie dosięgłem w mojem istnem światowaniu mojej prawdziwej Dharmy. Nie usłuchałem Kryszny, jak usłuchał go Ardżuna.

A Königsegg zna moje myśli, nie wiem, czy znał wtedy, nie wiem, kiedy było, a raczej kiedy jest wtedy, bo przecież wszystkie życia Wszech-paszka żyją się równolegle, dzieją się równolegle, a ja ich nie rozplatam.

Więc Königsegg zna moje myśli, kiedy siedzi obok mnie w willysie, patrząc okiem podzielonym celownikiem kaemu na mijane chaty wypalone i wsie zarastające olchą i topolą.

Więc jedziemy. Dniem i nocą. Königsegg nie pozwala na postoje, zatrzymując się, jesteśmy najbardziej zagrożeni, więc stajemy tylko po to, aby przelać benzynę z kanistrów do baku.

Dwukrotnie uciekamy uzbrojonym bandytom i wielokrotnie widzimy grupy konnych, którzy przyglądają się naszemu willysowi ze wzgórz i znikają szybko w zagajnikach, a potem mijamy buddyjskie owooo z cegieł i szarych pustaków, ozdobione niebieskimi wstęgami i ludzką czaszką, i wiemy już: jesteśmy na terenach kontrolowanych przez Zakon.

Po dwóch godzinach pierwszy posterunek. Kiedy podjeżdżamy, ożywa wieżyczka samochodu pancernego, ozywają lufy karabinów maszynowych w gniazdach

ufortyfikowanych workami z piaskiem, małe twierdze z żądłami w osłonach z perforowanej blachy. Zatrzymujemy się pięćdziesiąt metrów przez grodzącymi drogę zaporami, wysiadamy z willysa, unosimy ręce do góry i podchodzimy.

Zza zapory wychodzi do nas oficer w delu – długiej, mongolskiej sukni, jednak wzbogaconej o rosyjskie pagony, ściśniętej pasem z koalicijką. Ma dystynkcje praporszczyka, na piersi szarej sukni nosi wyhaftowaną czarną swastykę o krótkich załamaniach ramion, prawoskrętną.

Ogląda nasze dokumenty, drapie się po jasnej brodzie, w końcu pozwala nam jechać. Żołnierze o bardzo azjatyckim wyglądzie, zapewne Buriaci, odsuwają drogowe zapory, przejeżdżamy, scenariusz powtarza się dokładnie w taki sam sposób jeszcze cztery razy, tylko posterunki za każdym razem są silniej obsadzone, ostatni jest chroniony przez dwa okopane czołgi, stare, niemieckiej produkcji, nad ziemię wystają tylko płaskie wieże i lufy z potężnymi pyskami urządzeń wylotowych.

Jedziemy dalej, Königsegg przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, tylko parę krótkich komend, a komenda, rozkaz – to nie słowo, ja zaś cały czas prowadziłem – kiedy mój towarzysz i prześladowca zauważył, że gotów jestem zasnąć zaraz na kierownicy, podał mi dwie białe pigułki, które połknąłem bez wahania i odzyskałem zaraz siły i trzeźwość umysłu. Teraz jednak narkotyki i brak snu sprawiły, że świat wydaje mi się dziwny, ciemny, niezrozumiały.

Mijaliśmy obóz jeniecki: stanowiły go dwa hektary gruntu, otoczony był pasem pola minowego, przeciętym pośrodku wysokim płotem: drut kolczasty pod napięciem, dwie wysokie wieże strażnicze. A w środku – nic, poza postaciami, cieniami ludzkimi, leżącymi, chwiejącymi się na stojąco, siedzącymi, ogrodzonymi jak bydłeta na jałowym pastwisku. Mimo ryku silnika słyszałem ich zawodzenia i nie był to żaden z ludzkich języków, i widziałem na nich strzępy wszystkich mundurów wojny domowej i improwizowane namioty z koców, ziemianki, płytkie niecki wydrapane w twardej, suchej ziemi i przykryte kocami, i pełnące po nich miękkie, białe kręgi, rzucane przez reflektory. Jechaliśmy powoli, miałem minutę na przyglądanie się ciągnącemu się wzdłuż drogi obozowi i widziałem, jak żołnierze w szarych delach ze swastyką wpuszczali do środka nowych jeńców i widziałem jak spadają na nich starzy mieszkańcy zagrody, jak stado wróbli do suchej bułki i jak biją ich, pięściami, nożami i kijami, jak obdzierają ich ze wszystkiego, z mundurów, butów, wszystkich przedmiotów i jak nowi jeńcy – ci, co przeżyli – stoją pod zachodzącym słońcem październikowym nadzy, pobici, krwawi, jakby narodzeni na nowo, niektórzy martwi na nowo, jakby ich człowieczeństwo poddano redefinicji, nie mają już imion ani stopni, mają tylko pięści i zęby, i nogi, i sadło na brzuchach, które pozwoli im żyć dłużej, ale może też przeszkadzać w walce.

I tak jak oni patrzyły żmudzkie kobiety, także żrzały są żmudzkie niewiasty, a dziatki, a młodziczki, wszystko z szat odrane, niewiasty pofatane od Prusów moich, gdaż użzał jeśm

żmudzkie sioło, w mojej pirwej rejzie: mężów ubili jesmy, a reszt pobrali jesmy w jęcstwo i taka to była wojna, wjeżdżaliśmy na Żmudź, jeden albo dwóch braci, paru rycerzy gościnnych i zaciężne strzelce, i Prusowie lekkobrojni, i Żmudzini tak samo w nasze Prusy wchodzili, paląc i grabiąc, i biorąc w jęcstwo, i Polacy do nas i na Żmudź, i na Litwę, jak jeszcze Polacy z Litwą wojowali, taka to była wojna. I zawsze te same spojrzenia, czy brałem w jęcstwo Pomorzan, Prusów, Mazurów, Żmudzinów, Rusów, zawsze te same oczy.

A teraz zagroda dla jeńców już za mną i zbliżamy się do kwatery wielkiego mistrza. Wjeżdżamy pod przeciwlotnicze siatki maskujące, rozpięte na wysokich tyczkach przykrywają cały teren jak całun, na nich od dołu oglądamy wymalowany, inny świat: pola, drogi, których nie ma, i zagajniki, przykrywające bunkry, i baraki. Pod siatką drzemią również działa przeciwlotnicze, cała obfitość, widzę, niemieckie acht koma acht, sowieckie ciężkie działa, lekkie boforsy i oerlikony, podwójnie i poczwórnje sprężone.

Drzemią, bo od dawna nie latają tu już samoloty, przynajmniej nie takie, które byłyby zdolne zagrozić bunkrowi, pod którym Königsegg parkuje willysa.

Beton bunkra, w nim, niczym skamieniałości w węglu, odcisnięte słoje desek szalunku i odcisnięte litery: Orden der Briider das Dharma i krótkopałka, prawoskrętna swastyka. Pośrodku stalowe, potężne drzwi, a po dwóch stronach schodkowane oczodoły strzelnic i żrenice luf.

Przed bunkrem stało dwóch wartowników z pistoletami maszynowymi. Pokazałem im swoją przepustkę, Königsegg stanął z boku. Spojrzałem nań pytająco – wzruszył ramionami i powiedział po polsku:

– Tam każdy wchodzi sam.

Więc wszedłem.

Widziałem kiedyś, w umieraniu przezwiecznym, klasztor Gandan w Urdze, stolicy Mongolii. Kiedy wejść do tego białego, utrzymanego w tybetańskim stylu budynku, przed wzrokiem wchodzącego znajdował się nagle ogromny, złoty paznokieć na palcu u nogi – i kiedy podnieść wzrok do góry, okazywało się, że cały klasztor wypełniał posąg Avalokitesvary, jednego z bodhisattwów Buddy, posąg bodhisattwy wyrażającego jego miłosierdzie. Wiedziałem to wtedy bardzo dobrze, bo gorliwa wiara w marksizm nie przeszkadzała mi studiować buddyzmu, tak samo jak w moim chlebaku oprócz amunicji do mauzera, zawsze znajdowało się miejsce na książki, notesy i przybory do pisania. Jak przystało na oficera politycznego.

Nie umiem rozpleść tych wątków: może więc, stojąc przed bunkrem z napisem Orden dem Bruder das Dharma, byłem tym samym człowiekiem, który dwadzieścia kilka lat wcześniej wszedł do klasztoru Gandan w Urdze jako politruk przydzielony do oddziałów Suche Batora. Nie oddzielał. Chociaż na pewno przed tym bunkrem stanęło kilku Paszków: i ci, którzy byli w Urdze dwadzieścia kilka lat wcześniej i ci, którzy nie byli, bo się jeszcze nie urodzili, a byli też tacy, którzy byli w Urdze, a nie stanęli przed stalowymi drzwiami bunkra.

W każdym razie, co rozplatom, oddzielałam bardzo łatwo i dokładnie: wchodząc do bunkra, w którym rezydował wielki mistrz Zakonu Dharmy, spodziewałem się, z jakiegoś powodu, ujrzeć coś podobnego: wielką salę, wymalowaną strasznymi buddyjskimi demonami, obrazami mąk wszelakich, ludzi patroszonych i obdzieranych ze skóry albo kopulujące w yab-yum demony, albo wielki posąg właśnie, albo złoty tron pod baldachimem, a na tronie Wielkiego Mistrza.

Tymczasem, kiedy wartownik wprowadził mnie do środka, zastałem tylko mroczny, wilgotny korytarz, oświetlony okratowanymi żarówkami i tym korytarzem poprowadzono mnie w głąb bunkra i wskazano mi pomalowane szarą farbą drzwi stalowe.

Chciałem zapytać, czy mam pukać, czy wchodzić, co w ogóle mam uczynić, ale buriackie oblicze wartownika kazało mi sądzić, że nie będzie on mówił w żadnym znanym mi języku – więc po prostu wszedłem.

Znalazłem się w sekretariacie, przechodnim pomieszczeniu, w którym na przeciwko wejściowych znajdowały się drzwi obite wyciszającą tapicerią, prowadzące zapewne do gabinetu. Przy brzydkim, pomalowanym olejną farbą biurku siedział jasnowłosy mężczyzna w garniturze, na biurku piętrzyły się dokumenty i kilka aparatów telefonicznych.

Sekretarz spojrział na mnie, wstał, wskazał mi krzesło, na którym mogłem usiąść, podniósł słuchawkę telefonu i zaanonsował mnie po niemiecku.

– Hochmeister przyjmie pana od razu, proszę wejść – do mnie odezwał się po polsku, odkładając słuchawkę.

Wszedłem. Wielki Mistrz siedział za biurkiem pomalowanym tą samą farbą, co biurko jego sekretarza. Na szafie wisiał szary mongolski del z czarną swastyką, identyczny jak te noszone przez żołnierzy, zaś sam Wielki Mistrz miał na sobie angielski garnitur z brązowego tweedu w jodełkę, z kamizelką. Pomyślałem, że żaden Anglik nie założyłby brązowego tweedu do pracy biurowej, ale szef Zakonu Dharmy wyglądał w tym stroju jakoś całkiem na miejscu. Może to zimne mury bunkra prosiły się o ciepłą, grubą wełnę.

Wstał zza biurka, podszedł do mnie, wyciągnął rękę i przedstawił się bezpretensjonalnie, świetną niemieczyzną, w której słychać było cień rosyjskiego akcentu:

– Hochmeister Roman Nikolai Maximilian Ungern baron von Sternberg.

Więc to rzeczywiście on, zupełnie inny, niż się spodziewałem. Spodziewałem się szaleńca, tyrana, bawiącego się czaszką pokonanego wroga na złotym tronie. Znałem też tylko stare zdjęcia barona, na których widniał wychudzony trzydziestolatek o płonącym spojrzeniu – i widać było, jak bardzo się zmienił. Wyłysiał, zaokrąglił się mocno, dłonie miał zadbane, pełne policzki gładko ogolone, nie pachniał koniem i prochem, lecz drogą wodą kolońską.

I tak to się zaczęło: potem przysięgałem, potem były rytuały oczyszczające, potem były szkolenia, potem była służba, a potem jakoś wszystko zaczęło się rozsypywać, każdy robił co chciał i dwa i pół roku później oficjalnie byłem ciągle w randze pułkownika-komtura, lecz w

praktyce dawno zerwałem epolety i próbowałem wydostać się z płonącego wozu na polach pod Tannenbergiem, i ciąłem pasy nożem, i nie udało się, więc zrezygnowałem, i gotowałem się na śmierć, i blachy pancerza rozgrzewały się jakby mnie ktoś chciał powoli upiec w blaszanej puszcze.

Przykleiłem oczy do ciepłego peryskopu: przez wizjer widziałem ciągle gniotący ziemię powoli flagowy landkreuzer hochmeistera: „Gautama”, ostatni z floty pięciu landkreuzerów, które miały zgnieść Europę, „Gautama”, szary jak stal, ozdobiony czarnymi swastykami i niebieskimi wstęgami modlitewnymi. Pośród płomieni, w krzyżujących się strugach ołowiu wstęgi poruszały się, podnoszone wiatrem i ciepłym powietrzem unoszącym się znad rozgrzanych luf. Ciągle bił jeszcze umieszczony na pokładzie dzwon i z jego dźwięku, i z ruchu wstęg unosiły się ku niebu modlitwy.

– Santi, santi, santi – śpiewały wstęgi. – Santi, santi, santi! – dzwonił dzwon.

Święty, święty, święty, Pan Bóg Zastępów!

Sanctus, sanctus, sanctus, Dominus Sabaoth!

Gate, gate, paragata, parasamgate, bodhi swaha.

I wiedziałem, bo widziałem to już wcześniej: hochmeister Sternberg siedział w środku, pomiędzy maszynownią a przedziałem bojowym, siedział nagi, opasły, i na jego tłustym ciele młodszy bracia niebieskim pigmentem wyrysowali święte znaki, a więc na piersiach ośmioszprychowy czakram Dharmy i trzecie oko na czole, i siedział hochmeister Ungern von Sternberg, który był Buddą i bodhisattwą śmierci i miłosierdzia, i szeptał hochmeister swoje modlitwy bezsłowne, i myślał o duszach uwieczonych w kręgu samsary, które opuszczają swoje ludzkie ciała i nie dostąpią mokszy, tylko wrócą na ziemię, żyć w grzechu, w kłamstwie, żyć złudzeniami, że życie ma znaczenie, że świat ma sens, że cierpienie można pokonać.

Krażownik lądowy ciągle strzelał; strzelała bateria dziobowa i lekkie działa na burtach, ale wiadomo było: szary potwór nie wyjdzie z tej bitwy cały i Ungern von Sternberg zginie pod jego okrętowym pancerzem, bo machnowców, Polaków i bolszewików wspierało czeskie lotnictwo i nad pole bitwy nadlatywały kolejne klucze bombowców nurkujących. „Gautame” trafiły już dwie bomby, ale szczęśliwie ześlizgnęły się po pochyłym pancerzu i wybuchy zmiotły tylko pokładowe stanowiska z boforsami, a działa skryte w kazamatach pod pancerzem ciągle pluły ogniem, rozwalając bolszewickie umocnienia polowe i zabijając, i toczył się wielki „Gautama” do przodu na trzech gąsienicach, a każda szeroka jak deutsche Autobahn. Ale jego los był przypieczętowany, nie mieliśmy już lotnictwa, które mogłoby przegonić bombowce, nigdy nie mieliśmy lotnictwa z prawdziwego zdarzenia, bo Ungern von Sternberg nie wierzył w lotnictwo, uważał, że jest obce eurazjatyckiej duszy, duszy lądowej, duszy stepu, konia i czołgu, i landkreuzera. Zostawiał więc lotnictwo cywilizacji atlantyckiej, jednak to nie angielskie czy amerykańskie samoloty nurkowały z wyciem syren w stronę szarego kadłuba „Gautamy”, lecz stukasy z czeskim tricolorem na ogonach. Ale strzelały

jeszcze dziobowe baterie, na mostku fahnrich celowniczy ciągle przyciskał oczy do okularów dalmierza i oficer artyleryjski ciągle wykrzykiwał rozkazy do interkomu, i pociski grube jak pnie drzew rozbijały jeden po drugim bolszewickie bunkry, obsadzone Polakami i Ukraińcami.

Ale jego los był już przypieczętowany i w powietrzu wisiały już bomby, które zgładzą „Gautamę” i już niedługo, a zastygnie jego cichy, dymiący jeszcze wrak, i zaśnie „Gautama” na polach pod Stębarkiem, i pozostawią tam rdzewiejącego, porastającego młodymi brzoźkami trupa, i zostanie „Gautama” atrakcją turystyczną, i będą w jego ciele organizować koncerty z pokazami laserów i pirotechniki.

A po tym, jak „Gautama” się zatrzymał, kiedy po następnej bombie ścichły ostatnie z jego dział, wtedy moją płonąca pumę ugasili Polacy i wyciągnęli mnie spod pancerza, i tylko ja przeżyłem z całej załogi, i odezwałem się do nich po polsku:

– Dziękuję, panowie!

A oni odwarknęli, że panowie to się skończyli na szosie zaleszczyckiej, i to był błąd, że odezwałem się do nich po polsku, bo wzięli mnie za zdrajcę albo szpiega – bo na pancerzu mojej pumy nie było żadnych znaków przynależności, ani swastyki zakonu, ani czarnej flagi machnowców, ani czerwonej bolszewików, ani polskiej szachownicy, ani czeskiego tricolora.

Miałem dobrą załogę. Młody kierowca prowadził brawurowo, więc wyskakiwaliśmy z lasu tylko na moment, tyle żeby dać ognia, i pamiętali nasz czarny pancerz, kiedy wyłanialiśmy się z lasu, i pamiętali nasze działo plujące ogniem i rozbijające ich samochody i umocnienia, a nie pamiętali, że klucząc pomiędzy walczącymi, strzelaliśmy z działa i kaemu do wszystkich, walczyliśmy z każdym, kogo mogliśmy dojrzeć przez celownik.

Mój kierowca już nie żył, reszta załogi też nie, a ja żyłem, aż Polak przystawił mi do czoła sowiecki pistolet i strzelił, i już nie żyłem, nie wiem zupełnie po co mnie z tej pumy płonącej wyciągali, i ta śmierć, tak jak wszystkie inne, jest zanurzona we Wszechpaszku, konstytuuje Wszechpaszka, tak samo jak wszelkie życie konstytuuje Wszechpaszka, jestem więc i żywy, i martwy, i dobry, i zły, i zwycięski, i przegrany, i godny, i niegodny. Ale bardziej, mocniej czuję to, czego jest we mnie więcej i tak więcej jest we mnie śmierci niż życia.

A w istnym światowaniu, oddzielam, brat von Königsegg sprawił, że złożyłem śluby i otrzymałem szatę z czarnym krzyżem, otrzymałem posłanie na wspólnej sali i otrzymałem prawo do walki dla zakonu, prawo do codziennej modlitwy, do postów i do dyscypliny, i wszystko to miało zaprowadzić mnie do nieba, w które słusznie nie wierzyłem. Bo nie było nieba i nie ma: jest tylko śmierć po śmierci, bo przecież nie nazwę tego życiem, tego jak zły wszechbożek iści mnie, Wszechpaszka, chociaż przecież Wszechpaszek to nie ja, bo ja to Paszko, ten jedyny, który byłem naprawdę, który począłem się w grzechu, narodziłem w cierpieniu, dziecięciem będąc żyłem w hańbie i upodleniu mojej maćki, potem we własnej hańbie człowieka bez domu i bez miejsca, i we własnych grzechach, i własnym szaleństwie,

aż wreszcie umarłem, bez sensu, bez powodu i po nic, i całe moje życie jak zły sen, ale jednak życie i Paszko to ja, i ja to Paszko, i Paszko był sam, a nie coś go było, więc jestem i nie jestem, i nie tylko dlatego, że to zły wszechbożek mnie iści, ale też dlatego, że ja to nie ja, nie jestem Paszkim, jestem złym demonem całego spektrum nienawiści, jestem złym, czarnym bożkiem, który sam siebie w żertwie składa na własnym ołtarzu i innych spotykam tylko w snach, w nieprawdzie i jestem sam, samiustek, sam a sam, samojeden, jestem swoją własną torturą i własnym oprawcą, i własnym bólem, i tylko sobą samym nie jestem, nie ma „ja”, jest tylko „my”, my, Paszkowie, złani w jedno.

A wy, przekłenci, wy żyjecie w kłamstwie, w którym moje życie zdaje się wam należeć do historii, do tego, co było kiedyś, a to, co było kiedyś, to jakby nie było i moje cierpienie zdaje się wam cierpieniem nieistniejącym, bo nie waszym i nawet przekłenty Grunwald, przekłenty Tannenberg – nie pamiętacie o tej wielkiej i pięknej bitwie, w której tak pięknie i absurdalnie przyszło mi życie położyć, pamiętacie tylko o pomnikach i książkach, które zbudowali i napisali wasi dziadowie.

Pamiętacie o wspaniałych, wspaniale nieprawdziwych książkach Henryka Sienkiewicza i o nieprawdziwych mauzoleach Hindenburga, i o nieprawdziwej drugiej bitwie pod Tannenbergiem, w której żywiol germański miał pomścić klęskę sprzed pięciuset lat, ale to wszystko nieprawda. Waszej bitwie pod Grunwaldem bliżej do mojego Przez-wiecznego Grunwaldu, do Ewiger Tannenberg niż do tego Grunwaldu, który był i w który wszedłem, między dwie walczące strony, jednak nie z nienawiści do Polaków albo Niemców, a z nienawiści do prawdziwych ludzi, walczących po obu stronach i z nienawiści do samego siebie, wszedłem tam po to, aby zginąć z ich ręki i pomiędzy nimi lec, przynajmniej w śmierci im równy.

A na dwadzieścia prawie lat przed Grunwaldem, jako młody brat zakonny, a więc mnich – ale przede wszystkim rycerz z – gośćmi pojechałem – na moją pierwszą rejsę na Żmudź, pod wodzą komtura zu Schau. I szło z nami sześciu gości: dwóch rycerzy z Pomorza, jeden Meklemburczyk, jeden Szlązak, Sas niesłychanie głupi, szalony Francuz, podobno z Prowansji, opowiadający okropne łgarstwa o swoich rzekomych przygodach: o tym, jak spotkał smoka, którego święty Jerzy dobić zapomniał, albo o tym, jak został schwytany przez olbrzymy w Górach Harzu i jak uciekł im tylko dzięki wymyślnemu fortelowi, zabawiając je opowieścią przy ognisku tak długo, aż światło słoneczne zamieniło je w kamień. Opowiadał też o tym, jak na dworze polskiego króla pogana jada się surowe mięso sarnie i o tym, że katedrę wawelską na chram pogański przerobiono, na gontynę, czcząc pogańskie bóstwa, szczególnie zaś boginię łowów Dianę, jako że litewscy książęta bardzo łowy lubią. Tę ostatnią historię mógł zasłyszeć u nas, już w Prusiech.

I tacy piękni byli: nawet ten francuski kłamca, kiedy łgał, to czynił to z takim rycerskim wdziękiem, że jego kłamstwa były szlachetniejsze niż prawda wypowiedziana przez prostaka albo przeze mnie, któren nie byłem ani rycerzem, ani prostakiem. Chociaż oczywiście

potrzebne nam było prostactwo: potrzebowaliśmy zaciężnych kuszników ze Szląska i pruskiej lekkiej jazdy, i na ośmiu rycerzy przypadało dwustu zwykłych knechtów.

Więc szliśmy i przekroczyliśmy granicę, i robiłem to miriady razy, jak w Przewiecznym Grunwaldzie, kiedy w poczcie aantropicznych polskich rycerzy szedłem na reję na Niemcy, spalić lebensborn albo przeciąć jakąś strategiczną tętnicę z Blut, żeby obumarł cały Kreis jakiś, albo jak w czymś, co mogło w zasadzie nawet być mojem istnem światowaniem, kiedy jako zaciężny żołnierz w polskiej służbie pustoszyłem Prusy i potem: w zagonach siedmiogrodzkich wjeżdżających do Małopolski i w zagonach polskich wjeżdżających w Siedmiogród.

Albo wtedy, oddzielam, kiedy na pace ciężarówki opel blitz przekroczyliśmy granicę niemiecko-sowiecką pod Janowem Podlaskim i nie pozwolono nam gwałcić i rabować w sposób systematyczny, bynajmniej nie z miłosierdzia, tylko z zapobiegliwości; bo wojsko, co gwałci i rabuje systematycznie, a więc nie po kryjomu, bardzo szybko zamienia się w bandę gwałcicieli i rabusiów, którzy niechętnie słuchają oficerów, a jeszcze niechętniej idą w bój. Więc nam nie pozwolono, ale Einsatzgruppen działały intensywnie, jakby robiąc to wszystko za nas, ale kiedy w tej samej wojnie jechałem na podobnej ciężarówce w drugą stronę, na zachód, to w pewnym momencie gwałcić i rabować nakazano, i już wszystko było tak samo jak zawsze: dzieci, głodne, przerażone, o osmalonych policzkach, na których swoje jasne łożyska żłobią cieki łez i płonące domy, i domy opuszczone, i domy wypatroszone, z różowymi jelitami kołder i pierzyn wywleczonych z rozprutych okien, i martwi mężczyźni w grubych okularach, martwi, bo przebiłem im pierś graniastym bagnetem, i martwi, bo umarli w swoich własnych oczach, kiedy patrzyli, co robimy z ich kobietami, i te kobiety, które się gwałci nie z chuci, tylko z nienawiści do mężczyzn, do których te kobiety należą. Żądę zaspokajają się inaczej, z głodnymi kobietami, które oddadzą się za chleb i za konserwę: do tych kobiet się tuli, a one głaszczą swoich oprawców po włosach i nie zdarzają się wśród nich Judyty, więc głaszczą swoich oprawców po włosach tak, jakby głaszały swoich mężów, którzy nie żyją, zastrzeleni przez kamratów tego, którego trzymają w ramionach; więc głaszczą swoich oprawców tak, jakby głaszały swoich synów, których już dawno oplakały, a my, żołnierze w zielonych mundurach, w ich ramionach osłonięci przed spojrzzeniami kolegów, nagle znajdujemy ciepło i kobiecą delikatność, i słodycz, i miękką skórę, nawet jeśli jest brudna, i płaczemy za naszymi matkami i żonami, co żyją albo nie żyją, zawsze daleko, a wszystko to za pół bochenka chleba i konserwę.

A potem – marsz, marsz! I w następnej miejscowości z pruskiego muru znowu dopadamy tych, którzy nie zdołali ująć przed naszym strasznym gniewem i zabijamy mężczyzn, i niewolimy kobiety, a Ziemia, planeta ludzi, obraca się powoli, i wschodzi, i zachodzi za horyzontem słońce, oświetlając nowe uczynki szlachetne i podłe, a na stare kładąc zasłone ciemności.

I po wschodzie słońca zwijamy obozowisko: Prusowie oporzędzają nam konie,

giermkowie dopinają harnasze rycerzom gościom, komtur i ja zakładamy swoje harnasze sami, i to nie jest żaden wstyd dla komtura, który pochodzi z wielkiego rodu, dla niego to skromność zakonnego rycerza, który sam zapina sobie harnasz, skromność będąca w istocie apogeum rycerskiej dumy. A ja, bastert, człowiek-nikt, pod fałszywym nazwiskiem do zakonu przyjęty, płonę ze wstydu, kiedy sam muszę zapinać haftki i paski harnasza. Bo nie umiem być skromny. Skromność jest przywilejem książąt. I cieszę się, dziękuję Jezukrystowi za to, że śluby ubóstwa maskują przed innymi moją biedę wrodzoną, ale przed moim własnym spojrzeniem na samego siebie nie chronią: i wiem, i widzę doskonale, kim jestem.

I patrzę na nich, tak prawdziwych, tak rycerskich, tak swobodnie wyniosłych, patrzę, jak świat ugina się pod ich dotykiem. Patrzę, jak potrafią służyć, nie będąc słuźalcami i jak potrafią rozkazywać, nie stając się tyranami. A ja nie potrafię.

I obóz zwinięty, na koń, i jedziemy, w żmudzki deszczu i w tej cudnej muzyce: w skrzypieniu skórzanych czynów końskich i cichym grzechocie bełtów w ich ciemnych kołczanach, i w głuchych brzęknięciach, kiedy ostrze miecza pochwą skórzaną spowite uderza o nagolenicę albo ostrogę, i w zgrzytnięciach stalowych trzewików o stal strzemienia, i w parsknięciach koni, i w cichych pieśniach Prusów w ich niezrozumiałym, pogańskim języku, i w rytmie kopyt na błocie, i w kołysaniu się w siodle wolnym stępem, i w rzadkich nawoływaniach awangardy i ariergardy, i w dźwięku ich świstawek. Ta sama muzyka, co dwieście i czterysta, i pięćset lat później w mrzeniu przewiecznym, zawsze ta sama: konie, broń, komendy świstawką albo trąbką, rozciągnięta kolumna przemokniętych jeźdźców, broń rdzewieje powoli, tak powoli, jak powoli płynie czas w takim przemokłym marszu, płaszcze lepią się do końskich zadów, błoto tryska spod kopyt i oblepia pęciny, i woda spływa po plecach jeźdźców pod ubraniem, zimnymi strumyczkami, jak zapowiedź śmierci.

A potem stajemy, zwiadowcy idą przodem, wracają, zdają sprawę, wybieramy drogę, gotujemy broń i ogień, i idziemy: i zza miękkiej krzywizny pagórka widać dachy żmudzkiej wsi, zatrzymujemy się i najpierw idą spieszeni Prusowie, zaciężnych kuszników podzieliliśmy na dwie grupy, druga otacza wieś od południa, więc kiedy Prusowie wbiegają między chałupy z obnażonymi mieczami, z włóczniami i z bartami, i ze strasznym wyciem, to Żmudziny wiedzą, co się święci, porywają dzieci i żony, i bieżą w las, w stronę przeciwną do tej, z której spadli na nich nasi Prusowie; więc biegną Żmudziny, ciągnąc dzieci i żony, a tam witają ich wytryskujące z gęstwiny bełty, wchodzące w ich koszulami jeno osłonięte piersi aż po pierze, i witają ich ostrza rohatyn naszych, i witają ich miecze nasze i barty. Chude piersi dziecięce bełty z samostrzału wystrzelone przebijają na wylot i umierają ojcowie i dzieci jedną włócznią przebodnięci, i wyją Prusowie, i jęczą Żmudziny.

I my wjeżdżamy, z miecze obnażonymi, wjeżdżamy między chałupy i sieczem, i rąbiem, i kłujem z wysokości siodła, i już pierwsze pochodnie idą na strzechy.

A ja zsiadam z konia. Bo byłbych chciał walczyć konno, mógłbych owszem, ale nie chcę, bośm nienawykły, bo się pewniej na nogach własnych czuję. I tutaj nie ma miejsca na

stworność szymirską, tu jest wojna i tutaj mamy vor, bo tę wieś najechali jesmy, więc po prostu idę między chaty, miecz wysoko, vom Tag i otwierają się drzwi, plecami do mnie staje Żmudzin z bartą w ręce i zaraz przestępuję jego trupa, i idę dalej, dalej, pcham, siekę, jest ich wielu i są rozbici, w strachu, bez wodza.

O, jakże piękną rzeczą jest wojna!

Jak dobrze, kiedy jest więcej cierpienia niż tylko moje własne, jak dobrze.

Czarne bogi siedzą na moich ramionach: na lewym Zmej, na prawym zaś Perun, i mruczą mi do ucha swoje stare pieśni i pieśń Zmeja, pieśń ziemi, pieśń wilgotna wygrywa z pieśnią słońca, nieba i piasku. I walczę źle, bez słonecznego miłosierdzia, z którym ruszał do bitwy Ardżuna, zabijam z nienawiści.

I patrzę na mnie rycerze goście i bracia zakonni, i nie rozumieją tego, ale czują; nie jestem ich. Nie jestem taki jak oni, mam coś, czego oni nie mają, mam tę plebejską, wściekłą furję – i nie mam czegoś, co oni mają, a co na przykład nie pozwala im zejść teraz z koni, bo czują, że muszą być wyżej, muszą teraz być wyżej od tych, z którymi walczą i którymi dowodzą. Oni zwracają się ku słońcu; ja zwracam się ku ziemi.

I patrzę na tych, co uchodzą, niektórym zawsze udaje się ujść, to dobrze, zanoszą wśród swoich wieść o śmierci i zniszczeniu.

I oczywiście pójdą potem z odwetem, jakby była to rodowa wróżda, może to nic więcej nie jest niż tylko wielka, rodowa wróżda, więc pójdą, spalą pruską wieś, zabiją mężów, w jęstwo wezmą dziatki i żeny, zbeszczeszczą kościół, obedrą ze skóry niemieckiego albo pruskiego rycerza, a gdyby złapali gdzie zakonnego brata, to ten umierał będzie wiele dni. A jeśli księdza znajdą, to spalą go razem z kościołem.

I patrzę na tych, co uchodzą: jakże wstrętne mi się wydają brodaci mężowie, co uchylając się beltom, biegną w las, przyciskając do piersi swoich pierworodnych, i te kobiety, uciekające wierzchem, na koniu jednego z naszych Prusów, dzieci przywiązały sobie na piersi i na plecach, i jadą, z bosemi nogami w strzemionach, jakże to wstrętne i podłe.

I nie wzruszam się, widząc tych, co własnym ciałem zasłaniają od belta swoje dziatki, bo wiem – nie podejrzewam, nie sądzę, lecz wiem, bośm widział – że tak samo strzelali do dziątek pruskich, że synom rycerskim pruskim i niemieckim łebki rozbijali obuchem barty, a żeny w jęstwo brały, z dobrych rodów kobiety jako najgorsze niewolnice. I nie patrzę też na to jak na sprawiedliwą pomstę za tamte śmierci, po prostu patrzę: Spartanin zostawia swe pierworodne dziecko na puszczy, aby umarło, Aztek rozrywa dziecięcą pierś, aby spadł deszcz, lew zabija lwiątką po swoim poprzedniku, którego pokonał i przegnał, więc zabija lwiątką, aby zrobić na świecie miejsce dla swego pomiotu, a Prusak, ledwo co wychrzczony, syn poganina, zabija pogańskie dziecko żmudzkie nie z nienawiści czy to może przypadek je zabija, Czech po prostu strzela z samostrzału, a w co belt się wbije? Nie wiadomo.

I te ich kobiety, co uciekają boso, brudne, chroniąc swoje małe Żmudziątka w zawiniątkach na piersiach: czyż nie zostawiały wcześniej niechcianych noworodków w lesie

na żer wilkom i rysiom? Czy nie zduszały ich po porodzie? Z woli własnej albo z woli męża, albo z woli bogów, jeśli dziecię narodziło się kalekie czy zdeformowane albo słabe.

Więc nasza zbrodnia nie spada na niewinnych, a jednak nie przestaje być zbrodnią i ich zbrodnie nie usprawiedliwiają naszej zbrodni, tak jak nasza zbrodnia nie usprawiedliwi tych klęsk, które na nas spadną. Świat cierpienia nie ma żadnej wewnętrznej logiki ani wewnętrznego porządku. Tak jak nie ma wewnętrznego porządku w cyklu suszy i deszczów; rzeki, Wisła czy Ren, czasem wylewają, czasem bydlę umiera, topiąc się u pował własnych obór, i nurt zabiera dziecię, co zsuwa się po strzesze w szarą, błotnistą toń, bo rozerwało się giezło, za które ociec chwycił, próbował ratować.

I nie oddzielałam już, ile z tego rozumiałem w istnym światowaniu. Zapewne – niewiele. W istnym światowaniu brzydziłem się tylko szpetotą pokonanych Żmudzinów i sromotą uchodzących boso i brudno Żmudzinek. I czułem na sobie spojrzenia rycerzy, kiedyś wpadł pieszo między pruskie chaty, razem z knechty i wrócił spomiędzy tych chat, tak krótko, ulotnie szczęśliwy, krwią żmudzka spryskany niczym Habsburg po bitwie, którego pas ze skrwawionej jak i zdjąwszy, ustalił przyszły kształt austriackiej flagi.

I spoglądałem na naszych rycerzy: jak dumnie i pięknie wyglądają, inni ludzie. Cóż może mieć wspólnego rycerz, który żyje tak bardzo, z tą brudną niewiastą, która boso uchodzi ze swojej płonącej wsi?

I ze mną cóż rycerz może mieć wspólnego? Wsiadam na koń, oni może jeszcze tego nie wiedzą, na pewno tego nie wiedzą, w końcu mam białą szatę z czarnym krzyżem i miecz mam, i harnasz, i „von” przed fałszywym nazwiskiem, więc oni nie wiedzą, żeśm nie jest im równy; ale czują to.

I tak samo, wiele lat później, kiedy polska rejza wbija się w Prusy, jak pięknie wyglądają polscy rycerze, na destrierach tańczących, zwijających się między płonącymi chatami, szczęśliwi, pijani piwem i zwycięstwem, ochlapani krwią i wywijający mieczami. I jak nędzni są wtedy nasi Prusacy, jak do mnie podobni.

Tak to wtedy widziałem, tak na ten obrazek spojrzalby każdy, kto żył w prawdziwych czasach mojego istnego światowania: z przychylnością na zwycięskiego, pięknego rycerza i z odrazą na bieżących w las prostaków, brudnych i bosych. Wy oczywiście patrzycie inaczej, tak was wytresowano, że ofiara zawsze zdaje wam się moralnie lepsza od oprawcy, zawsze niewinna, ale w rzeczywistości rzeczy mają się inaczej. niesprawiedliwa śmierć spada jak jej wypadnie: na złych i dobrych, winnych i niewinnych. A jeśli mówicie, że to Bóg Gospodzin docześnie karze, to czemu karze tych niewinnych? A czemu okrutnicy lat dożywają w ciepłe, klepią się po tłustych brzuchach? Nie ma żadnej kary, ani w tern świecie, ani po śmierci, po śmierci jest tylko nie-bycie i dopiero potem, kiedy upłyną mirady godzin i wieków, potem powstaje się z martwych, ale nie przez Boga Gospodna do niby-życia powołanym i nie w ciele chwalebny, lecz przez okrutnego wszechbożka, ku przezwiecznemu umieraniu, w nie-ciałach, które są zlepkiem całego cierpienia, bólu, brzydoty, złości naszych ciał istnych, z

istnego światowania.

I w tym przezwiecznym mrzeniu patrzę, jak to wszystko się zmienia, jak się ta rycerskość rafinuje, jak ludzie miecza stają się ludźmi szabli albo szpady; a więc rolnikami i ludźmi dworu, jak z wojowników stają się oficerami i jak się te rycerskie obyczaje szlifują. Jak rycerska hałaśliwość i pyszałkowatość zamieniają się w skromność i pozorne umniejszanie samych siebie, które są tylko wyższą formą pychy. Jak wiktoriański dżentelmen, kiedy z wyszukaną uprzejmością zwraca się do gazeciarza albo biletera, albo dorożkarza, albo do własnego kamerdynera – z uprzejmością, która jest najwyższą obelgą, z uprzejmością, która zakreśla granice wielkiego, nieprzebywalnego dystansu, jaki dzieli dżentelmena od prostaka. Jest to dystans tak wielki, że nie trzeba go już potwierdzać waleniem chama w pysk ani wsiadaniem po jego grzbiecie na koń. Przez tę wyszukaną uprzejmość podkreśla się tego dystansu oczywistość. Tak jak wytrawny szachista w towarzyskiej grze oddaje słabemu przeciwnikowi kolejne figury i wskazuje mu najlepsze posunięcia.

Więc następuje nieustana licytacja: skoro kiedyś złotem cyzelował zbroję, nosił pyszne pióra i jaskrawe atłasy, to potem nosi ubranie szare i skromne: a jednak, zamawia je u krawców artystów i płaci za to ubranie więcej niż robotnik pracujący w fabryce w rok wydaje na jedzenie dla swoich dzieci. Wełna nie może być zwykłą wełną, krawatowy jedwab zwykłym jedwabiem, oto rafinacja tej pychy, oto jest już pycha względem pysznych! I przecież to ubranie nie jest w żadnym sensie lepsze od niebieskiego drelicha, jaki nosi robotnik – ani lepiej grzeje, ani lepiej chroni ciało, bo też nie do tego służy, służy do tego, aby udowodnić, jak wiele środków człowiek tym strojem odziany może zmarnować.

I właśnie tak pogardę wobec bosych i brudnych wypiera opiekuńczość, ale przecież to nie koniec. Kiedyś przełamuje się ta masa krytyczna. Kiedyś francuska królowa ku swemu zdumieniu odkrywa, że jej pokojówka ma tyle samo palców co ona sama i w efekcie tę opiekuńczość wypiera poczucie winy i zawieść, i nienawiść do własnej klasy, do samych siebie, ale po ich przygiętych klasowym wyrzutem sumienia plecach wspinają się już nowi, ci, którzy chętnie poczują nową pogardę i nową wyższość.

I tylko tacy jak ja zawsze tęsknią, spoglądają w górę, ku tym, których uznają za prawdziwych ludzi – i jednocześnie nie są w stanie wspiąć się do nich, dorównać im – ale nie z powodu obiektywnych przeszkód, bo takie nie istnieją. Nawet w najbardziej skamieniałych światach niewolnicy zostawali cesarzami, bękarty następcami tronu, a kurwy królowymi. Wystarczy chcieć. Jednak to nie świat społeczny jest przeszkodą największą, największą przeszkodę każdy nosi w sobie, w środku.

To moja własna pogarda do samego siebie i moja własna nienawiść do samego siebie. W istnym światowaniu, oddzielam, nikt nie patrzył na mnie z taką niechęcią, z jaką ja sam na siebie patrzyłem. I innym wystarczyłoby, abym w zbroi dosiadł destriera, bym nosił miecz przy boku, białe szaty z czarnym krzyżem – i byłem dla nich już wtedy tym, kim zawsze chciałem się stać, prawdziwym człowiekiem, jednym z kilkuset, wojenną i duchową elitą

władzy Prus. A w swoich oczach – ciągle byłem nikim. Niegodnym uzurpatorem.

I dwa są Przewieczne Grunwaldy, jakie oddziela: w jednym aantropiczni rycerze pasowani tylko są prawdziwie Polakami i, odpowiednio, Niemcami, bo człowiek nie może być prawdziwie Polakiem ani Niemcem, za wiele mają wspólnego ludzie Polacy i ludzie Niemcy, przecież kiedy ich zwlec z mundurów i insygniów, i kiedy śpią, kiedy kopulują, kiedy srają, kiedy się poca, to niczym się nie różnią i mogą mieć ze sobą dzieci, takie jak ja, Niemiec z Polką i Polak z Niemką, co przecież brzmi prawie jak bluźnierstwo, bo jak to możliwe, że do polskiej cipki pasuje niemiecki fiut i odwrotnie, i to już jest bluźnierstwo, więc knechci są tam jak krowy albo jak psy, bo psy też rozumieją komendy tylko w jednym języku, a nikt przecież nie przypisuje im narodowości, prawdziwą narodowość mają tylko aantropy, a knechci nie.

Ale jest też taka linia Przewiecznego Grunwaldu, gdzie knecht jest Polakiem i samiczka w lebensbornie jest Niemką, i coś ich łączy z aantropami, jakaś wspólnota ich łączy z aantropami, w których zawiera się pełnia narodowości i tam aantropi są dla knechtów nie jak właściciele bydła, tylko jak starsi bracia – i tam właśnie, w tym Przewiecznym Grunwaldzie, gdzie aantropi są naszymi braćmi, w tym Przewiecznym Grunwaldzie wybuchają chłopskie bunty. Dla Sprawy.

Staję na czele jednego z nich, dawno, pokolenia temu, nauczyliśmy się, jak oszukiwać Matkę Polskę, a aantropy dalej tego nie wiedzą, aantropów to nie interesuje, aantropy tylko czują Rozkaz, aantropy marzą tylko o tym, aby zaspokoić Matki Polski chuć niezaspokajalną, a my, tak samo szarpani rozkazami, z tajnych ulotek uczymy się zatykać nosy i osłaniać skórę, spotykamy się w tajnych trójkach rewolucyjnych, uczymy się mówić tak, żeby nas Matka Polska nie słyszała i odkrywamy, że zaspokoić żądzę można nie tylko w ciepłym, mokrym łonie Matki Polski, lecz także ciało innego nieprzemienionego może być pożądane i może to pożądanie zaspokoić. A kiedy przez pederastię uwalniamy się z najsroźszych pęt Matki Polski i nie jesteśmy już jej niewolnikami, wtedy zaczynamy spiskować. Matka Polska jest wobec naszych knoń bezradna, sześćset pokoleń uczyło się, a ona trwała niezmienną i niezmienna, i nauczyliśmy się ścieżek w jej ciele, i nauczyliśmy się zatykać jej uszy i zasłaniać jej oczy, i wymykać się jej dłoniom, i oszukiwać jej receptory.

Nauczyliśmy się delikatnie zbierać kropelki Rozkazu z jej gruczołów, aby potem spryskiwać nimi aantropów, aby pochłonęło ich szaleństwo.

I potem przyszedł taki czas, że przez wymiany jeńców zaczęliśmy przysyłać informacje knechtom niemieckim, i tak rodziła się Sprawa.

Sprawy nie trzeba było definiować, Sprawa nie potrzebowała manifestów, oczywistość Sprawy jawiła się każdemu, kto przez ułamek sekundy zastanowił się, czego chce może knecht albo nieprzemieniony. Jasne stawały się cele i drogi.

Ja oczywiście umarłem, zanim Sprawa stała się wielka, zanim jej widmo zaczęło krążyć nad Europą; ale przecież krążyć zaczęło i widziałem, dwadzieścia pokoleń nieprzemienionych

później, jak bardzo boją się Sprawy aantropowie, boją się Sprawy, której siła leży w jej oczywistości. Boją się, bo jej nie rozumieją – a nie trzeba jej wyklądać tym, których aantropowie traktują jak młodszych braci, nie trzeba jej tłumaczyć.

Więc Sprawa rosła w środku ziemi niczyjej, czyli w środku Militargrenze, rosła, zlepiona z ochłapów ciała Matki Polski, zasilana niemiecką Blut, którą po cichu kradła z niemieckich tętnic, odżywiana materią skrycie przenoszoną przez wyznawców – a jeśli biomasy kradzionej brakowało, to sami dawali się strawić, byle Sprawa żyła.

A ona rozbierała nasze ciała i trawiła wszystko, poza mózgami, mózgi nasze Sprawa wchłaniała w swoje ciało, wpuszczała w nie swoje nerwy i ruszały nasze mózgi nieprzemienione, chłopskie, sprzęgały się razem, i pracowały dla Sprawy. I mój mózg, czyli ja, również wprzągłem się w Sprawę, zanurzyłem się w nią, pozwoliłem jej wejść we mnie, wbić we mnie jej synapsy i neurony, które nie były ani polskie, ani niemieckie, i chciałem Sprawie służyć, bo myślałem, oddzielam, że to uleczy moją nienawiść.

Nie mogę być jak oni, jak dżentelmeni, rycerze i aantropy, nie mogę być taki nie tylko dlatego, że mi tego zabraniają, ale dlatego, że jestem do tego wewnętrznie niezdolny i nawet w tych gałęziach, w których podniesion jestem do godności rycerskiej albo i królewskiej, albo w których rodzę się i przewiecznie mrę jako aantrop, to czegoś we mnie, w środku, brakuje. A skoro nie mogę być jak oni, to kiedy ich zniszczę, przestanę ich pragnąć. Nie będę cierpieł, bo ich nie będzie.

Więc tej Sprawie właśnie chciałem służyć, bo tym była Sprawa. I dlatego dałem jej siebie strawić, i pozwoliłem jej wślizgnąć się we mnie jej neuronami, spenetrować mnie, abym był jej, tylko jej, aby mnie wypełniła i abym się w niej rozpuścił.

A ona mnie wypluła z ust swoich.

Sprawa mnie nie chciała. Sprawa mnie odrzuciła, Sprawie byłem obcy.

I wiele razy próbowałem: poświęcałem wszystko. Aby przyjęli mnie do organizacji, wydałem im mojego ojca – był rosyjskim gubernatorem, a ja zapewniłem im stały dostęp do jego kalendarza, przez sekretarkę, z którą utrzymywałem intymne stosunki.

I zastrzelili go, kiedy przesiadał się na Okęciu z pancernego cadillaca do helikoptera, zastrzelili go z odległości siedmiuset metrów, i pozwolili mi patrzeć na to przez potężną lunetę, i myślałem, że znajdę swoją drogę do sprawy, przez tę dziurę, która pojawiła się w jego torsie po uderzeniu rozpędzoną grudką ołowiu. A oni, organizacja, po prostu zniknęli. W melinie, w której się z nimi spotykałem – zastałem tylko puste ściany. Telefony, przez które kodem umawialiśmy na spotkania – milczały i puste były skrytki, w których przekazywaliśmy sobie wiadomości. Już wołałbym, żeby mnie zastrzelili, zabili, żebym czegoś nie wygadał, nie zdradził, bo to znaczyłoby, że byłem dla nich kimś na tyle ważnym, żeby mnie zabić. Ale nie byłem.

Ale mimo że beze mnie – to Sprawa rosła, a Matka Polska z jednej strony i Oberstheeresleitung z drugiej – byli bezsilni. Potrafili walczyć tylko ze sobą. I bezsilne były

aanropy, które nie znały w ogóle pojęcia „walki” czy „wojny” jako takiej – to, co znały, to wojnę z Niemcami lub Polakami, pojęcie „wojny z kimś innym” było dla nich logicznie niezrozumiałe. Więc nie potrafili walczyć z nikim innym: pancery, które potrafiły odeprzeć atak chorągwi nadwornej aantropicznych polskich rycerzy wobec Sprawy były jak żuki, umierające wolną, ku niebu skierowaną śmiercią. I tak samo: aantropiczny rycerz polski albo bojochód, tysiące pokoleń doskonalenia się dla jednego celu, do walki z Niemcami, wobec Sprawy był jak dziecko, tak łatwo było go omamić i oszukać – bo w ogóle nie podejmował walki. Bo jak mógł walczyć-z-Niemcami kiedy przeciwko niemu stawał nie Niemiec, a Sprawa?

Więc Sprawa rosła, powoli wypełniała całą Militargrenze, odpychała Matkę Polskę od Germanii i Germanię od Matki Polski i w końcu uderzyła, najpierw na Germanię.

Przez sto lat sprawa zatruwała krwiobieg Niemiec: od zatrutej Krwi słabły aantropy: głupiały mózgi Oberstheeresleitung, Leber grafen i Leber freiherrn stawali się marscy i zastęgały w polu pancery i zerstorery, freinachtjegrzy nagle tracili cel i zamiar, i Niemcy słabły, Matka Polska zaś rosła w siłę, korzystając z ich słabości, bo przecież byli jak naczynia połączone.

Więc rosła Matka Polska: przerosła Łabę i powoli rosła w stronę Wezery, a ogłupiałe pancery i freinachtjegrzy był bezsilni przeciwko polskim bojochodom i rycerzom aantropicznym. Hochmeister, miast zawiadywać polem bitwy, układał poemat i wsączał go w Blut, i oszołomieni poezją frejnachtjegrzy rzucali się do szalonych szarż na polskie chorągwie pancerne. Pancernami zawiadywał złamany poczuciem winy ordenstressler – i ustawiał je na stokach gór Harzu niedaleko dawnego miasta Goslar, ustawiał swoje pancery pod pomnikami, w miejscach, gdzie z daleka trafiały je spojrzenia polskich rycerzy aantropicznych, i płonęły pancery, i płonęły w nich aantropiczne panzergrenadiery: z radością przyjmując płomienie, prosili swoimi małymi, piskliwymi głosami wydobywającymi się z dziecięcych ust, prosili o przebaczenie.

Za tysiące lat tyranii, za cierpienia małych matek i robotnic erotycznych, za knechtów, traktowanych jak bydło i za bydło, traktowane jak biomasa, i za rośliny, traktowane jak biomasa, za to, że sensem istnienia całego świata było wzbogacanie Blut w składniki organiczne.

Płonęli więc i błagali o przebaczenie.

Matka Polska wygrywała zatem bitwy, nie potrafiła jednak skonsumować swoich zdobyczy, bo pożerając pozostałą po Niemczech materię, zarażała się Sprawą.

I na gnijących szczątkach Niemiec to właśnie Sprawa rosła, nie Matka Polska.

Sprawa była wszechstronna: gdyby Matka Polska zdobyła zamek w Norymberdze, a w którymś wątku, którego nie oddzielam, bez wątpienia tak było, i gdyby polscy rycerze weszli do sali Oberstheeresleitung, mogliby tylko wyciągnąć mózgi hochmeistra, groftkomtura, ordensmarschalla, grofsspittlera i ordenstresslera i dać je postępującej za nimi Matce Polsce

na pożarcie; Sprawa zaś, kiedy weszła do niebronionego już norymberskiego zamku, nie rozbijała wielkiego zbiornika z solami, lecz po prostu wrosła w system nerwowy Niemiec, przejęła bitewne sensorium i moc obliczeniową mózgow Oberstheeresleitung: i nagle panzergrenadierzy, ciągle przytłoczeni winą, zamiast z tej winy szukać okazji do śmierci, zaczynają walczyć: przeciwko Matce Polsce, w której ciągle aantrop gnębi nieprzemienionego.

I tak właśnie przeciwko Matce Polsce występuje Sprawa, wzmocniona tym, co zostało z Niemiec, i Matka Polska wobec sprawy jest bezbronna, ale inaczej niż Niemcy, zamiast upaść zupełnie, rozpaść się, zgnić i zostać przez Sprawę przetrawiona, Matka Polska Sprawie się poddaje: najpierw walczy bohatersko, zagony aantropów giną pozornie heroicznymi, niepotrzebnymi nikomu śmierciami, które jednak nie są heroiczne, bo nie wiążą się z żadnym wysiłkiem, aantrop umiera za Matkę Polskę tak odruchowo, jakby oddychał, i tylko w wierszach, w poematach Joachima Węgierskiego pojawia się dramat tej śmierci, bo na polu bitwy żadnego dramatu nie ma, jest tylko kula, którą wystrzelili dla Sprawy z niemieckiego muszkietu i płonie bojochód albo wali się aantrop w piach, nie wiedząc, co właśnie zrobił, na co się poważył i w ogóle nie znając wartości swojego czynu.

Więc kiedy w ciało Matki Polski zapadają się kolejne trupy aantropów, wtedy Matka Polska się poddaje i Matka Polska otwiera się na Sprawę, i zrasta się ze Sprawą, i Sprawa się w niej rozpuszcza, stajemy się jakby prawdziwymi ludźmi, panujemy nad aantropami i Matka Polska nam służy, i to my władamy jej łonami, tak jak władamy łonami niemieckich małych matek i robotnic erotycznych, z których poczynają się misz-lingi, mieszańce, niebędący ani Polakami, ani Niemcami, prawdziwie oddani Sprawie.

I ja też rodzę się jako miszling, i wydaje mi się, kiedy jestem młody, że będę panem tego świata, bo tak mi mówią w szkole, tak śpiewamy, kiedy zastępami idziemy przez Matkę Polską Sprawną, przecież sam fakt mojego polsko-niemieckiego istnienia najlepiej wyraża nową, do Sprawy należącą Europę, Europę ludzi, Europę, w której nie masz już Niemca ani Polaka – ale, ku własnemu zdziwieniu, tutaj też jestem niczym więcej, jak tylko knechtem, ciurą, nikim. Bo Matka Polska Sprawna jest Sprawna, ale przede wszystkim jest polska, Matka Polska jest niewolnicą, która oładnęła swoją panią. A my, miszlingi, sól tej ziemi, jesteśmy sługami tych knechtów, którzy zajęli miejsce aantropów – bo są Polakami.

A czasem jest zupełnie inaczej, bo właśnie w tym momencie Przez-wiecznego Grunwaldu, który tutaj nie jest prawdziwie przezwieczny, bo przezwieczne są tylko te wątki, w których Sprawy nie ma, w tym momencie Grunwaldu często mrę przezwiecznie jako aantrop. Już nie miszling; bo są, oddzielam, są takie wątki, w których aantropów zachowano. Więc mrę w nich przezwiecznie, jako zwierzę domowe ludzi, jako zwierzę pociągowe i juczne, szarpane tylko wspomnieniem dobrej Krwi, która płynie w mych żyłach, i kiedy stoimy w boksach, w stajniach, obok siebie, przykuci do ścian, wtedy wspominamy, każdy osobno, od kogo pochodzimy, wspominamy, jak nasi przodkowie walczyli z germańską

zawieruchą, jak ścierali się w strasznych pojedynkach z frejnachtjegrami i jak palili pancery, i bojochodami rozbijali zerstorerom pojemniki z nekrotycznym jadem, oddzielałam.

A potem przychodzi, to znaczy przychodzi do stajni, ktoś nieprzemieniony, władca Matki Polski i wyprowadza mnie z tej stajni, i zaprzęgają mnie do pracy fizycznej albo sprzedają, albo prowadzą uśpić, albo do rzeźni, aby mnie podzielili na mięso, bo smakuje nam mięso z aantropów, albo prowadzimy ich, nas prowadzą do dworów na to, co kiedyś nazywało się mnożną audiencją i pokrywamy łona Matki Polski, która jest ich niewolnicą, i jej łona wydają nam podobnych, aantropicznych niewolników, którzy nie mamy swojej Sprawy, bo żadna sprawa nas nie łączy i nie łączyła.

Matka Polska nie była nigdy naszym wspólnym dobrem, byliśmy wszyscy przyrodnimi braćmi, ale jednak nic nas nie łączyło, nie było relacji między nami, nie było sieci społecznej, była tylko relacja pojedyncza, każdego z nas z osobna, do Matki Polski.

I dlatego teraz również jesteśmy w swej niewoli samotni; każdy z nas pragnie wolności dla siebie i dla Matki Polski, ale nie jest w stanie pragnąć wolności dla swoich braci aantropów, my nawet nie mamy słowa, które by określało nas wspólnie, każdy z nas ma tylko imię, i znamy imię Matki Polski, które jest prostym zaimkiem – Ona, ale nie znamy żadnego „my”. Każdy z nas zna tylko dwa światy: siebie samego i Matkę Polskę w jednym, i całą resztę, nieprzemienionych, aantropów, miszlingów, wszystkich – w drugim. I Matka Polska nas wcale nie pociesza. Nie przemawia do nas rozkazami, bez których jesteśmy prawie jak niemowlęta, zdani na łaskę ludzi. Jesteśmy sami.

A w istnem światowaniu wracamy z rejzy. Prawie wszyscy wracamy, niewiele siodeł jest pustych, za nami długa kolumna brudnych i bosych Żmudzinek, z szyjami powiązаныmi powrozami i Żmudziątek, które idą sobie wolno, bo trzyma je przy matkach i przy nas pęto o wiele mocniejsze niż powróż, mocniejsze nawet niż miłość matczyna i miłość dziatków do maćki, pęta je widmo głodu.

A dla nas księża odprawia mszę dziękczynną w kościele i tylko głupcy się na to oburzają, że w kościele Jezukrysta i Boga Gospodna odprawia się msze dziękczynne, w podziękowaniu Bogu Gospodnu za powodzenie rejzy, na której było tak wiele krwi i tak wiele cierpienia i bólu wśród pogan – ale ciągle ludzi.

Tylko głupcy, którzy nie rozumieją świata, mogą się na to oburzać, bo nauki Krysta Pana to jedno, zapisane w tej starej, żydowskiej książce, a sacrum to drugie – człowiek potrzebuje Jezukrysta po to, aby wołać do niego de profundis w nieszczęściu i dziękować mu w powodzeniu, innego Jezukrysta nikomu nie trzeba, jeno mnichom, i po to oni są mnichami, aby wielbić prawdziwego, być może, Jezukrysta. A żołnierz musi tylko mieć kogo prosić o szczęście przed bitwą, o ratunek w klęsce i dziękować, kiedy weźmie łupy.

A potem jest zwykle życie: ciągle w mundurze, za biurkiem, podpisywanie papierów, wieczorami bankiety albo z fajką, z gazetą przed kominkiem, czasem, po cichu, jakaś kobita, mundur to już nie del mongolski, del wisi sobie w szafie i zakłada się go dwa razy do roku,

mundur ma krój zwykły, europejski, jednorzędowa kurtka odkrywająca krawat i spodnie na kant zaprasowane, baretki odznaczeń na lewej piersi i dyskretna świaszczyca w klapie, i czakram Dharmy na prawym ramieniu, nic więcej.

Czasem wychodzi się do burdelu, nikt już na takie rzeczy nie zwraca uwagi, bo to nie te czasy, żeby się czepiać, że bhakta idzie na baby, przyjmujemy już chrześcijan, wiele mówi się o ekumenizmie.

Ale wojna wisi w powietrzu.

A potem do zamku przyjeżdża machlerz Wszesław. Samopiąt, na wozie, i dwóch konnych jako eskorta, z samostrzałami i w kapalinach, a on, machlerz Wszesław jest machlerzem Wszesławem, nie rycerzem von Konigsegg. Podaje się za kupca, ale nic się nie zmienił. Tak samo gruby, te same poulaine na nogach, ten sam chaperon. Ta sama twarz, której nienazrę i do którejśm tęsknił, i którą miłuję.

Wychodzę doń na dziedziniec, witamy się wylewnie, mówi mi, zem zmęźniał, pyta się, jak mi się żyje w konwencie, czy uprawuję. Ano uprawuję, ale nie tyle, aby stworność zachować taką, jakąśm miał u Dobringera meistra. I młodszych braci ćwiczę, a jakże i knechtów nawet, ale żołnierz stworności szyrmirskiej nie potrzebuje, więc jeno tyle, jak iść z mieczem, jak nacierać biegnąc. Rycerzy to co innego, ale oni wszyscy swoje nauki już odebrali.

Z komturem się handlerz Wszesław dogaduje i jakiegoś tam handlu dobijają, a ja ciągle ten sam rytm modlitw i pracy: ślęczenia nad księgami, objazdów i doglądania gospodarstw, i spierania się z kmieństwem i z rycerzami, co chętniej by się widzieli w Koronie Polskiej, a nie w naszym państwie, i człowiek jest jak ekonom w majątku.

A ja nie potrafię samym spojrzeniem uciszyć chłopa, z którym mam spór, nie mówiąc o rycerzu pruskim albo polskim, albo niemieckim, co się u nas osiedlili, albo i siedzą od czasów, zanim jeszcze my, to znaczy Zakon Niemiecki, tu przyszliśmy. I oni to wyczuwają, że ja nie umiem, że nie ma we mnie tej dumy z czarnego krzyża na białej szacie, którą mają inni rycerze zakonni, więc nie udaje mi się załatwiać spraw, czym irytuję komtura i spycha mnie do spraw coraz to pośledniejszych, i błędne koło zamyka się, i samo napędza: im pośledniejszymi sprawami się zajmuję, tym mnie mniej szanują i mniej na moje słowa zważają, i mniej, i gorzej robią gbury.

Więc w całym państwie zakonnym jestem kimś, bo należę do tych kilkuset, dla których i dzięki którym to państwo istnieje. Śpię z nimi w jednej komnacie, jadam w jednym refektarzu, razem śpiewamy w kościele, a między nimi jednak wszyscy wiedzą, że ta szata mi się nie należy, że nie jestem tacy jak oni.

Nie jestem. Maćko moja, któraś mię powiła, oćcze mój, królu Kazimirze, coś mię spłodził, dlaczegoście mnie do takiego świata sprowadzili?

Byłbych wiedział jeśm, w istnem światowaniu, jakże dobry, życzliwy, ciepły był to świat... Jak wiele jeszcze przede mną-nie-mną cierpienia. Chociaż może ten ja, to nie ja

tamten, z istnego światowania, może ja tamten śpię spokojnie w nicości, czarnej ciszy i czarnym zimnie. Może w tym mogę szukać pocieszenia, że tamten Paszko, którego ja jestem cieniem, po prostu zginął, nie wiedząc, w jak dobrym świecie żyć mu przyszło, oszalał i znalazł swój koniec na polu pod Tannenbergiem, a ja końca nie znajdę ani w Ewiger Tannenberg, ani na pokładzie landkreuzera, ani w szarym, a potem plamistym mundurze Wenedii, ani w mundurze huzarów Hadika.

I przyszedł do mnie wtedy Wissegerd, do zamku, jak do drogi dalekiej i pieszej obleczon, kijem, samostrzałem i kordem opatrzon, i rzekł:

– Poć se mną, Paszko. Ze sukni zwłócz się, odziew chudy oblecz na się, a poć se mną. Nie bierz harnasza, jeno miecz jeden, niczs sporzej.

I myślałem: byłbych mu niepowolny, to może z tego jęstwa, w jakie jeszcze maćkę moją ujął, wyzwolił bych się był. Byłbych mu niepowolnem, może uczyniłoby to mnie człowiekiem, byłem już dorosły, miałem trzydzieści pięć lat, był już wiek piętnasty i mogłem to już zrozumieć – i rozumiałem. Odejść od niego, odepchnąć go, Wissegerda, to stać się człowiekiem.

A stać się człowiekiem: to zapomnieć o krwi nieprawej a szlachetnej, to zapomnieć o tern, kto siemię swoje, poczynając mię, w łonie maćki mojej słożył, to zapomnieć, jak maćka moja odwiązuje troczki przy nogawicach, jeden po drugim, wielikie masz rzapie, mój panie miły, o tym byłbych mógł zapomnieć, gdybych go odepchnął był.

A to byłoby, jak wyzwolić się na czeladnika, albo jak wyjechać na zawsze z kraju, do nowego miejsca, tyle że ja wyjeżdżałbym od siebie, od własnej nienawiści i wtedy dopiero, zapomniwszy, stać bych się mógł godzien krwie oćca mego Kazimira króla.

Ale jaśm kaźń kalizdą jiścił krom mieszkania, jakoć jiściła maćka moja, i zakonną suknię zwłókl jeśm, w odziew chudy oblekl się jeśm i ostawiwszy wszystko krom miecza mego, najpierwszego z moich mieczy, poszedł jeśm za machlerzem Wszesławem. Jakoć niewolnik.

I myślałem: może będą mnie szukać, może pójda za nami, a wcześniej – może mnie kto na bramie zatrzyma, może spojry, pomyśli, że z reguły chcę ujść, może mnie do lochu wtrąca, a może zabija, a potem znowu – a może nas żmudzka rejza zagarnie albo polska, albo raubriterzy zabija, a może nas lichu weźmie albo utopce, niechże cokolwiek się stanie, niechże świat się skończy nawet, Jezukryst ukaże się na niebiesiech.

I nic się nie dzieje, a ja postępuję za Wissegerdem i idziemy na wschód, pieszo, i zaraz schodzimy z głównego traktu, i zaczynamy przedzierać się przez las, na przełaj, co sprawia, że poruszamy się bardzo powoli i kluczymy po tym lesie, skręcamy to na północ, to przez dwa dni idziemy na północny zachód, aby potem znowu wstać i ruszyć w inną stronę, znowu na wschód, jakby prowadziła nas jakaś niewidzialna, kręta droga i nie krzyżowała się ta nasza droga niewidzialna z drogami innych ludzi; a żywiliśmy się jagodami, grzybami i buczyną, i Wissegerd czasem polował, i piekliśmy na ognisku jakieś zwierzę niewielkie albo ptaka.

W służbie Zakonowi Niemieckiemu przytyłem: obowiązywało nas wiele postów, ale po

raz pierwszy w życiu jadłem tak regularnie i tak obficie, rzadko oddając się cielesnym uprawom. Więc brzuch mi się zaokrąglił, piersi miękkie i urosły, i miałbym więcej dumy miast pychy szalonej w spojrzeniu, to i gburstwo traktowało by mię z szacunkiem, nie jak byle chudzielaka – a tutaj, teraz, na leśnej diecie tłuszczu pozbyłem się w dwa tygodnie, a potem zaczęły mi niknąć mięśnie.

Do spania rozścielaliśmy skóry i derki na mchu, pod leszczyną, a któregoś dnia wstaliśmy z posłania i nie zabraliśmy go ze sobą, i spaliśmy już na gołej ziemi. I nie zabraliśmy też krzesiwa, zostało razem z naszymi posłaniami, które przesiąkły deszczem, potem przykrył je śnieg i zamarzyły na kość, potem odtajały, kiedy przyszła wiosna, i zgniły, wtopiły się w ziemię, i porosły je mech i trawa, a potem ciągnięty za traktorem pług odsłonił moje krzesiwo, a potem idący skibą rolnik podniósł je i cisnął na miedzę, oczyszczając swoje pole ze śmieci.

A my szliśmy, już bez posłań, bez krzesiwa, mając tylko te szaty, co na grzbiecie i broń, i nic więcej. Wissegerd, od kiedy powiedział „poć se mną, Paszko” – nie odezwał się już ani razu. Więc ja też milczałem. Jedliśmy to, co urodził las i jedliśmy surowe mięso, nie paliliśmy już ognia. Byłem coraz słabszy. Brodę nosiłem już wcześniej, bo było to dobrze widziane w zakonie, lepiej niż częste golenie się, trefienie włosów, bo to zbytnia dla zakonnika dbałość o wygląd zewnętrzny. Teraz broda mi urosła, splątała się i sfilcowała, opierała się na piersi i kiedy spuściłem głowę, to widziałem poruszające się w tej brodzie owady.

Więc szliśmy, klucząc, ale jednak głównie na wschód, przecinaliśmy strumienie i płytkie rzeki, i Wissegerd, który w niczym już nie przypominał kupca, wybierał drogę tak, że ani razu nie natknęliśmy się na ślad człowieka. Musieliśmy za to wiele razy przeganiać miedźwiedzie, zainteresowane śmierdzącymi ludźmi, którzy pojawili się w ich królestwie, raz uciekaliśmy przed wielkim, czarnym jak smoła turem, bykiem z płową pręgą wzdłuż kręgosłupa i rogami jak straszne włócznie.

– Czarne bogi dają nam znamiony – odezwał się Wissegerd, czyli machlerz Wszesław, jedyny ociec, jakiegoś miał – i zamilkł znowu, i nie odezwał się więcej, a ja nie odważyłem się odpowiedzieć.

Ile razy w przezwiecznym mrzeniu odchodziłem potem, odwracałem się od świata, od ludzi, a puszcza, czyli pustka, mówiła mi: wnijdź we mię. I wstępowałem na puszcze: w lasy wstępowałem, przezmierne lasy rasiejskie, na Sibirze, modrzewiowe i nieprzebyte, wstępowałem na puszcze piaszczyste, wyschnięte, ku sobie tylko znanej kierując się oazie, na Saharze, kiedym zdezerterował od Rommla albo od Kopańskiego spod Tobruku i stary Berber poprowadził mnie przez piaski ku wodzie, i na Gobi, kiedy uciekłem od Ungerna von Sternberg i gdzie zamarłem na śmierć już pierwszej zimy, a potem wyschłem i przez dwa stulecia leżał mój trup zasuszony, ramię w ramię z trupami Tocharów, Hunów, Mongołów i różnych Chińczyków, i ludów już zapomnianych, które nie mają już żadnej nazwy, a potem trupa mojego znalazły sępy i spróbowały zeżreć, ale już się nie dało, a potem znaleźli mię

ludzie i wstawili do muzeum, opatrzywszy fałszywym komentarzem. Więc odchodziłem również daleko na północ od ostatnich drzew: na Nowej Ziemi albo na Wyspie Wrangla odwracałem się od kolegów ze swastykami podhalańczyków na kołnierzach albo od przebranych w mundury Wehrmachtu meteorologów na Grenlandii i na Svalbardzie, i na Labradorze, i na wyspie Baffina, i odchodziłem, niosąc karabin, nóż i siekiere, budowałem chaty z dryftowego drewna i żyłem albo umierałem od razu.

Wstępowałem więc na puszcze z zamiarem, by pozostać w nich już na zawsze. I udawało mi się to czasem w czasie krótszym, niż zamierzałem: bo jednak, na puszcze wstępowałem po to, aby w niej żyć, nie po to, aby w niej umrzeć od razu, umrzeć przecież można łatwo, szczególnie na wojnie, a całe moje przewieczne mrzenie wokół wojny krąży. Więc uciekałem lub odchodziłem, aby żyć, a jednak często to „na zawsze” przychodziło do mnie jeszcze tego samego dnia: spadałem w szczelinę lodowca, chwytały mnie i zabijali tybetańscy rozbójnicy, pożerały mnie wilki albo niedźwiedzie polarne – a po tygodniach marłem z braku wody, kiedy nie znalazłem oazy, którą znaleźć miałem, lub z zimna, lub z głodu.

Dlaczego więc uciekałem? Uciekałem, bo pragnąłem wolności albo przynajmniej wyzwolenia; lecz były to próby skazane na porażkę. Moje niewolnictwo było we mnie, we Wszechpaszku. I wiedziałem, tak naprawdę wiedziałem: nie ma ucieczki.

Nie ma ucieczki nigdzie, bo nie było jej w mojem istnem światowa-niu i nie było jej w Przewiecznym Grunwaldzie, gdzie Matka Polska i Niemcy pokryły ziemię, tak jak yin i yang pokrywają powierzchnię koła, każde drzewo i każdy kawałek lodu, każde ziarno piasku i każdy kamień, każdą kroplę wody i źdźbło trawy, wszystko jest albo polskie, albo niemieckie.

Nie ma obojętnych jak Budda fok i morsów na kamienistych plażach Nowej Ziemi, które przed śmiercią nigdy nie zaznały człowieka i dlatego ich istnienie ma inny zupełnie wymiar, i których mięsem się żywiłem a tłuszczem oświeślałem i grzałem moją chatę – w Przewiecznym Grunwaldzie wszystko, co żyje, służy Matce Polsce lub Niemcom.

A w mojem istnem światowaniu Wissegerd powiedział:

– Czarne bogi dają nam znamiony.

I poszliśmy dalej, ku głębiom lasów Żmudzi, i szliśmy przez puszcę ludzką stopą nietkniętą, i z szat odzierały nas gałęzie, jak paznokcie wiedźm, i odarły ze mnie kozik nawet, którym Tworzyjankaśm przebódl, i nawet płatek batystowy, dla któregośm go przebódl, i szliśmy nadzy i zbrojni, i skórę moją i Wissegerda siekły te gałęzie jak pazury, i w końcu przyszliśmy do miejsca, w którym las się otwierał, na polanę, trawną i otwartą ku Dziwowi Pacierzowi, ku świętemu słońcu, ku jasnemu sklepieniu nieba.

Było to trzebiszcze, do którego nigdy nie przyszedł jeszcze żaden żerca i żertwy nikt w nim nie złożył, i stanęliśmy w nim nadzy, i wbiliśmy miecze w ziemię, i usiedliśmy, pod gałęziami perkwu, czyli dębu, i weźrzeliśmy ku jasnemu sklepieniu nieba.

A potem Wissegerd rozkazał mi znaleźć i ubić tura. I wziąłem miecz, i poszedłem, nagi, w las, i znalazłem tura po pięciu dniach zasiadek i błędzenia, i szedłem za nim tak długo, aż

udało mi się zagnać go w miejsce z poszyciem tak gęstym, że ciężki zwierz nie mógł ująć w nim człowiekowi, i doszedłem tura, i otewrocił się k mnie, i zaatakował, ale jaśm mu uszedł, i zatopiłem miecz w jego boku, i przebodłem go, i dosięgłem serca, i padł tur.

A Wissegerd przyszedł k mnie i sporządziliśmy ciągną z gałęzi, wycinając je mieczami i, trując się wielce, zaciągnęliśmy czarnego byka na nasze trzebiszczce i ułożyliśmy stos wielki, a na nim zwierza, i rozpaliliśmy ten stos, dla Czarnych Bogów, aby zatańczyli dookoła, a oni tańczą, wszyscy, solami i chtoniczni, suche bogi i mokre bogi, Weles, Zmej, Swarog, Indra, Kryszna i Radogoszcz, Dziw Pacierz z imieniem we wszystkich językach potomków Ariów, a więc Tiwaz, Zeus Pater, Iove Pater, Dyaus Pitar i najstarszy Dyeus Phater. I jeszcze Odyn, i Thor, i jeszcze inni.

I Wissegerd mówi: wyzwól się wreszcie. Niech cię czarne bogi poniosą, pokłoń się czarnym bogom, zlej się z nimi w jedno. A oni wszyscy zlewają się w jednego i znika Indra, i znika Dziw Pacierz, i wszyscy stają się Czernobogiem, i układają się z dymu ofiarnego, z płonącego tura, cośm go ubił i na żertwę dał jeśm.

A ja nie kłaniam się jeśm. Nie kłękam. Non serviam. Może jestem zbyt dumny albo niegodny, tego nie wiem – ale nie kłaniam się. Czarne bogi prowadziły mnie od czasu kiedyśm Tworzijanka kozikiem przebodł i donikąd mnie nie zaprowadziły.

Więc odwracam się, chcę odejść, ale machlerz Wszesław zastępuje mi drogę, dzierży bartę i mówi, że jeśli chcę odejść, to muszę go najpierw zabić, że żywym go nie mogę tu pozostawić, a ja patrzę na kłęby dymu z żertwy mojej, które oblepiają gałęzie świętego perku, i nie widzę w nich czarnych bogów, tak jak w kościołach nie widziałem Krysta Pana, i już rozumiem, że nie muszę Wszesława zabijać, i już rozumiem, że byłbych go ubił jeśm, to na zawsze w jego jęstwie byłbych, w jego niewoli, więc opuszczam mój miecz i odchodzę, i wiem, że nie podniesie na mnie barty, i nawet spoglądam za się, i widzę go, patrząc przez ramię: kijem rozgarnia żar płonącego jeszcze stosu i próbuje zeń wyciągnąć kawał spalonego mięsa: głodny jest.

A ja odszedłem, we siole jakimś żmudzkiem skradłem szaty proste i szedłem dalej, zupełnie już samotny: bez maćki, bez Tworzijanka, bez machlerza Wszesława, bez Krysta Pana, bez Boga Gospodna, bez czarnych bogów.

I w końcu zrozumiałem: nie jestem chłopem, ni rycerzem, Niemcem ni Polakiem, nie jestem dobrym krześcijanem ani poganem, jestem nikt. I pomyślałem wtedy, że chcę umrzeć – ale nie zwyczajnie, bo przecież umierałem z nienawiści do ludzi i świata, jaki tworzyli.

Więc szedłem, przed siebie, kradnąc strawę albo grzejąc się przy ogniu tam, gdzie mnie zaprosili, obojętnie słuchając nowin, niczego nie pragnąc, poza wielkim nic, poza ciemnością, która weszłaby mi w głowę i zamknęła ją.

A potem doszły mi wieści o wojnie – o wojnie tych, których nienazrzałem, z tymi, których nienazrzałem takż. I pomyślał jeśm, że tak mogę ciemność najść.

I na drodze napadłem litewskiego bojara, co się modlił po rusińsku i mówił: spasi,

Kryste! Aleśm go zabił zaraz, zabrał mu harnasz i konia, i kapalin, i pojechałem w stronę mojej śmierci, o której już wszystko wiecie, więc nie muszę już o niej opowiadać nic poza tym, żeśm na pole bitwy dostał się w szeregach chorągwi Lingwena, a potem odjechałem od szeregu, zsiadłem z konia, zabijałem i zginałem.

I umierając myślał jeśm: jeśm krolowic. I szepnąłem: jeśm krolowic.

I potem trafiłem na tę bitwę miriady razów: z krzyżem rycerskim mit Goldenem Eichenlaub, Schwertern und Brillanten jako oficer artyleryjski na pokładzie „Gautamy”, flagowego landkreuzera hochmeistra Ungerna von Sternberg, i w eskorcie tego landkreuzera, i pod wielką gąsienicą tego landkreuzera, i w kokpicie czeskiego stukasa, kiedy szara sylweta „Gautamy” wchodzi w mój celownik i rozpoczynam nurkowanie, i ćwierćtonowa bomba odrywa się od mojego samolotu, a mi świat czernieje, jednak nie od śmierci, tylko od przeciążenia, przekraczającego sześć gie.

I byłem w Wiecznym Grunwaldzie, i Ewiger Tannenberg, i byłem pod drugim Tannenbergiem w wojskach Ludendorffa i Hindenburga, i w wojskach Samsonowa byłem, pobity i złamany, i byłem przy zakładaniu Tannenbergbund przez szaloną Mathilde Ludendorff i Ludendorffa samego – tego, którego babkę musiałem oddać Polakom w Ewiger Tannenberg, bo była von Dziembowski.

Byłem pod Tannenbergiem zwinięty za wieżyczką sowieckiego czołgu, pędzącego na złamanie karku naprzód, za Stalina, za ojczyznę i siedziałem też w okopie, w którego stronę ten długolufy t-34 zmierzał, siedziałem, ściskając rurę panzerschrecka, którego nie potrafiłem używać albo ładowałem stary jednostrzałowy karabin, bo taką bioń wydawano wtedy nam, volkssturmistom.

I byłem pod Grunwaldem w wojnie toczonej z głębokich, podziemnych bunkrów, gdzie zamiast ludzi na polu potykały się drony i roboty bojowe, i byłem w takiej wojnie, która nie była wojną fizycznego wyniszczenia, lecz polegała już na innych zasadach, a toczono ją w eleganckich garniturach przy stołach zastawionych bardzo kosztownym winem i potrawami, toczono ją, podając sobie ręce, tytułując „przyjaciółmi” i poklepując po plecach.

I byłem wtedy, kiedy polscy rycerze zaczęli śpiewać: Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja, u twego syna Gospodna matko zwolena, Maryja! Zyszczy nam, spuści nam. Kyrieleison. Twego dzieła Krzciciela, bożycze, usłysz głosy, napełń myśli człowiecze. Słysz modlitwę, jaż nosimy, a dać raczy, jegoż prosimy: a na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt. Kyrieleison.

I byłem, kiedy rycerze w czarnokrzyżnych płaszczach białych modlili się do patronki swojego zakonu: Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus et benedictus fructus ventris tui, Jesus.

Miriady razy słuchałem tych modlitw. I słuchałem, jak szepczą te słowa umierając i jak wzywają Jej imienia rąbiąc mieczami, i jak upadają na ziemię i krew ich w ziemię wsiąka, i jak wierzą, że w Jej imieniu podnoszą prawicę na wroga i w Jej imieniu umierają.

I przecież słyszałem to również w istnym światowaniu i nie obchodziło mnie to wcale, bo nie wierzyłem w Pannę Maryję ani w Jezukrysta, ani w czarnych bogów nawet nie wierzyłem, chociaż oni przecież przemawiali do mnie, a nie przemawiał do mnie nigdy Kryst Pan.

W mrzeniu przezwiecznym tęskniłem do końca, a zły wszechbożek tego końca nie mógł i nie chciał mi dać, i cierpienie przezwieczne jest mi dane, i miriady śmierci, miriady nienawiści, miriady bólu. Mam miriady lat.

I lepak, stajam sam a usłachawam, a po lewiczej bocznicy gaść jęli: Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja, u twego syna Gospodna matko zwolena, Maryja! Zyszczy nam, spuści nam. Kyrieleison. Twego dzieła Krzciciela, bożycze, usłysz głosy, napełń myśli człowiecze. Słysz modlitwę, jaż nosimy, a dać raczy, jegoż prosimy: a na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt. Kyrieleison.

I lepak, stajam sam a usłachawam, a po prawiczej bocznicy modłę dawać jęli: Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus et benedictus fructus ventris tui, Jesus.

I nagle rozumiem: przypominam sobie miriady moich Grunwaldów i Tannenbergów, i przypominam sobie wszystkie moje śmierci i moje nieumarcie, i po miriadach razy – rozumiem.

I nagle rozumiem: nie powinienem robić tego, co chcę zrobić i co zawsze robię. Odpinam miecz, zrzucam kapalin, chwytam wodze konia, nie mojego, chwytam wodze konia, którego właściciel leży już tutaj i wsiąka w to pole, dosiadam tego konia, i jadę.

Odrywam mojego stukasa od klucza. Zawracam pumę. Odchodzę spomiędzy szeregów, odchodzę z ziemi niczyjej, daję całą wstecz w landkreuzerze, wychodzę z Militargrenze.

I nagle rozumiem: wystarczy się odwrócić. Sile przeciwstawić słabość i słabości siłę, tak mię uczył Döbringer.

I Ona jest tutaj, i jest Kryst, i są za nimi bogi, nie czarne już, czarnych już nie ma, ale jest świetlista kopuła nieba, Dziw Pacierz jest za nimi. I przecież nie wierzę w nich, wiem, że ich nie ma, a jednak są.

Nie wierzyłem w nich w istnym światowaniu i nie wszechwierzę w moim wszechbyciu, bo tu ich nie ma na pewno, a jednak są.

I bitwa zostaje za mną: za mną zostają pancery Ewiger Tannenberg, za mną zostają czołgi, landkreuzery, langenschwerter, drony, harnasze, kopie, rohatyny, miecze i barty, i hotchkissy, i browningi, i pakty, i bojochody, i lepkie teorie. Za mną zostają rycerze, pułkownicy, chorąży, gerfajtrzy, komturzy, panosze, bojary, meister Döbringer i wszyscy ci, których ubił jeśm i od których ubitym został jeśm.

Wszystko zostaje za mną. Cały strach, którego słuchaliśmy, wszystko to, co ze sobą sprzeczne, inne, czarne bogi, co są i ich nie ma, i Jezukryst, co jest i go nie ma, i cierpienie, które jest najważniejsze, i cierpienie, które jest nieważne, wszystko, cały Wszechpaszek, zostaje za mną.

I wyciąga do wszechmię rękę Ona, i wyciąga rękę Jezukryst, a wszechja wszechchcę tylko jednego: wszechumrzeć, nie wszechbyć już więcej, wszechsobą wszechpragnę nie być więcej.

I wszechwy, którzy słuchacie, oddzieleni ode mnie przepaścią – wszechwy również o tern wszechmarŻycie. O wszechniebyciu.

I oddzielam, przepominam: mam trzy lata, budzę się w nocy, bo śniłem o złym, strasznym psie, który wczoraj poszarpał moje giezło i boję się, że mnie pożre, i budzę się, i płaczę, i wołam maćkę moją, a ona jest obok, jest przy mnie i tuli mnie, i całuje, i z ciepła jej ciała matczynego, z jej pieszczoty, z jej objęć i z jej miłości wyrastają wokół mnie potężne mury, których żaden potwór nie skruszy i zasypiam, spokojny, cichy, bezpieczny.

I teraz – Ona dotyka Wszechpaszka.

A Wszechpaszko zapada się w ciemność.

KONIEC

Pilchowice, wiosna 2010